

Amber 2 - Karabiny Avalonu

Zelazny Roger



calibre 0.9.27

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 01

Stałem na piasku, powiedziałem: "Żegnaj Motylu", a mały stateczek zawrócił i powoli skierował się ku głębokim wodom. Wiedziałem, że zdoła powrócić do Cabry, do małej przystani przy latarni. To miejsce leżało blisko Cienia.

Odwróciłem się i spojrzałem na niedaleką, czarną ścianę lasu. Wiedziałem, że czeka mnie długa wędrówka. Ruszyłem w tamtą stronę, dokonując po drodze koniecznych poprawek. Chłód przedświt uległ pomiędzy milczącymi drzewami. To mi odpowiadało.

Miałem około dwudziestu pięciu kilo niedowagi i od czasu do czasu kłopoty z widzeniem. Dochodziłem jednak do siebie. Uciekłem z lochów Amberu i odzyskałem nieco sił z pomocą szalonego Dworkina i pijanego Jopina, właśnie w tej kolejności. Teraz musiałem znaleźć pewne miejsce, podobne do innego, które już nie istniało. Odnalazłem szlak. I wkroczyłem nań.

Zatrzymałem się obok drzewa, które musiało tu być. Sięgnąłem do dziupli i wydobyłem mój srebrzysty miecz. Nie miało znaczenia, że znajdował się gdzieś w Amberze. Teraz był tutaj, ponieważ las, przez który szedłem, leżał w Cieniu.

Maszerowałem jeszcze przez kilka godzin. Niewidoczne słońce świeciło gdzieś za moim lewym ramieniem. Odpocząłem chwilę, a potem ruszyłem dalej. Dobrze było widzieć liście, gałęzi, martwe i żywe pnie drzew, trawę i czarną ziemię. Dobrze było czuć wszystkie słabe zapachy życia, dyszeć brzęczące, świergocące głosy. Bogowie! Jakże cenne były moje oczy. Mieć je znowu, po czterech latach ciemności... Brakowało mi słów, by to opisać. I mogłem swobodnie spacerować.

Szedłem dalej, a poranna bryza szarpała moim podartym płaszczem. Wychudzony, kościsty, z pomarszczoną twarzą musiałem wyglądać na pięćdziesięciolatka. Któż potrafiłby rozpoznać we mnie człowieka, którym byłem naprawdę? I tak szedłem, szedłem przez Cień, dążąc do pewnego miejsca, i nie dotarłem do niego. Pewnie zrobiłem się trochę za miękki. A oto, co się stało...

Przy drodze spotkałem siedmiu ludzi. Sześciu martwych leżało na ziemi w różnych stadiach krwawego okaleczenia. Siódmy pólleżał, wsparty o omszały pień starego dębu. Miecz trzymał na kolanach, a w prawym boku miał rozległą ranę, z której płynęła jeszcze krew. Nie nosił zbroi, choć niektórzy z pozostałej szóstki mieli ją na sobie. Jasne oczy były otwarte, choć szkliste. Miał skórę zdartą z kostek palców i oddychał płytko. Spod krzaczastych brwi przyglądał się ptakom, wyjadającym oczy zabitych. Nie przypuszczam, żeby mnie zauważył.

Naciągnąłem kaptur i spuściłem głowę, by ukryć twarz. Podeszedłem bliżej. Znałem go kiedyś. Albo kogoś bardzo podobnego.

Jego miecz drgnął; ostrze uniosło się, gdy się zbliżyłem.

- Jestem przyjacielem - powiedziałem. - Czy chcesz trochę wody?

Zawahał się, lecz skinął głową.

- Tak.

Podąłem mu otwartą manierkę. Łyknął, zakrztusił się i wypił jeszcze trochę.

- Dzięki ci, panie - powiedział, oddając naczynie. Żałuję tylko, że to nie mocniejszy trunek. Niech diabli wezmą to cięcie!

- Mam i mocniejszy. Czy jesteś pewien, że dasz sobie z nim radę?

Wyciągnął rękę, a ja odkorkowałem i podałem mu niedużą flaszkę. Krztusił się chyba ze

dwadzieścia sekund po jednym łyku tego, co zwykł pijać Jopin. Potem uśmiechnął się lewą częścią ust i mrugnął.

- Dużo lepiej - oświadczył. - Czy mogę wylać kropelkę na swoją ranę? Nie znoszę marnowania dobrej whisky, ale...

- Wylej wszystko, jeżeli musisz. Ręce masz jednak niezbyt pewne. Może lepiej ja poleję. Kiwnął głową, a ja rozpiąłem mu kurtkę i rozciąłem sztyletem koszulę, by odsłonić cięcie. Wyglądało brzydko. Biegło do samych pleców, parę cali nad biodrem. Były też inne, mniej groźne draśnięcia na rękach, piersi i ramionach. Z dużej rany lała się krew, więc wysuszyłem ją trochę i oczyściłem swoją chustką.

- W porządku - oświadczyłem. - A teraz zaciśnij zęby i nie patrz tutaj. Połałem. Skoczył w paroksyzmie bólu, a potem drżał już tylko. Nie krzyknął. Zresztą nie sądziłem, że będzie krzyczał. Złożyłem chustkę i przycisnąłem do rany. Przywiązałem ją długim pasem, oddartym od dołu mojego płaszcza.

- Napijesz się jeszcze? - spytałem.
- Wody - odparł. - Obawiam się, że teraz muszę się przespać. Łyknął trochę, zaraz głowa mu opadła i broda wsparła się na piersi. Zasnął. Przykryłem go płaszcami zabitych, a jeden podłożyłem mu pod głowę.

Później usiadłem przy nim i obserwowałem piękne czarne ptaki.

Nie rozpoznał mnie. Ale, w końcu, któż by rozpoznał? Gdybym powiedział, kim jestem, okazałoby się może, że mnie zna. Ten ranny mężczyzna i ja nigdy się naprawdę nie spotkaliśmy. A jednak, w pewnym sensie, byliśmy znajomymi.

Szedłem przez Ciebie i szukałem miejsca. Bardzo szczególnego miejsca. Kiedyś zostało zniszczone, lecz ja miałem moc odtworzenia go. Amber bowiem rzuca nieskończenie wiele Cieni, a dziecię Amberu może je przemierzać - i to właśnie było moim dziedzictwem. Jeśli macie ochotę, możecie nazwać te Cienie światami równoległymi, jeśli chcecie - wszechświatami alternatywnymi, jeśli wolicie - tworamizwichrowanego umysłu. Ja nazywam je Cieniami, jak wszyscy, którzy mają moc chodzenia wśród nich. Wybieramy jakąś możliwość i idziemy, póki nie dotrzemy do niej. W pewnym sensie więc stwarzamy ją. I na razie przy tym pozostajemy.

W łodzi rozpocząłem wędrówkę do Avalonu. Mieszkałem tam całe wieki temu. To długa, złożona, bolesna i pełna chwały opowieść. Być może później do niej powrócę. O ile pożyję wystarczająco długo.

Szedłem do mojego Avalonu, gdy spotkałem rannego rycerza i sześciu zabitych. Gdybym zdecydował się iść dalej, dotarłbym może do miejsca, gdzie leżało sześciu zabitych, a rycerz stał nawet nie draśnięty... albo gdzieś, gdzie on leżał martwy, a oni śmiali się nad jego ciałem. Niektórzy powiedzieliby, że to bez znaczenia, gdyż wszystkie te sytuacje są możliwe, a więc wszystkie istnieją gdzieś w Cieniu.

Żadne z moich braci i sióstr - może z wyjątkiem Gerarda i Benedykta - nawet by się nie obejrzało. Ja jednak zrobiłem się jakby trochę miękki. Nie zawsze byłem taki, lecz być może Ciebie Ziemia, gdzie spędziłem tak wiele lat, złagodził nieco mój charakter. A może pobyt w lochach Amberu uświadomił mi wartość ludzkiego cierpienia. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie mogłem zostawić rannego, w którym poznałem kogoś, kto kiedyś był mi przyjacielem. Gdybym szepnął mu do ucha swoje imię, usłyszałbym może, jak mnie przeklina. A na pewno usłyszałbym opowieść o klęsce.

Dobrze więc, spłacę przynajmniej część ceny: postawię go na nogi, a potem się urwę. Nie stanie

się nic złego, a może coś dobrego wyniknie dla tego Cienia.

Siedziałem i obserwowałem go, póki, po kilku godzinach, nie obudził się.

- Witaj - powiedziałem otwierając manierkę. - Napijesz się?

- Dzięki - wyciągnął rękę. - Wybacz - rzekł oddając mi naczynie - że się nie przedstawiłem. Nie byłem w nastroju...

- Znam cię - przerwałem. - Nazywaj mnie Corey.

Spojrzał, jakby chciał powiedzieć: "Corey skąd?", ale zmienił zdanie i skinął głową.

- Dobrze więc, sir Coreyu - chyba zmałałem w jego oczach. - Pragnę ci podziękować.

- Najlepszym podziękowaniem jest to, że wyglądasz lepiej - rzekłem. - Chcesz coś zjeść?

- Tak, bardzo.

- Mam tu trochę suszonego mięsa i chleb, który mógłby być świeższy - stwierdziłem. - I jeszcze spory kawał sera. Jedz, ile chcesz.

Podąłem mu jedzenie.

- A ty, sir Coreyu? - spytał.

- Jadłem już, kiedy spałeś.

Spojrzał na mnie znacząco i uśmiechnął się.

- Załatwiłeś wszystkich sześciu całkiem sam? - zapytałem.

Kiwnął głową.

- Niezła robota! I co ja teraz z tobą zrobię?

Próbował spojrzeć mi w twarz, ale bez rezultatu.

- Nie rozumiem - stwierdził.

- Dokąd zmierzasz?

- Mam przyjaciół - wyjaśnił. - Jakies pięć lig stąd na północ. Szedłem tam, kiedy to się stało. I wątpię, czy jakikolwiek człowiek, a nawet sam demon, potrafiłby nieść mnie na plecach choć jedną ligę. Gdybym zdołał wstać, sir Coreyu, zyskałbyś lepsze pojęcie o moich rozmiarach.

Wstałem, wyjąłem miecz i jednym cięciem zwałem młode drzewko, jakies dwa cale średnicy.

Odrąbałem gałęzie i przyciąłem do odpowiedniej długości. Powtórzyłem operację, po czym z pasów i płaszczy zabitych zmontowałem nosze.

Przyglądał mi się w milczeniu, póki nie skończyłem.

- Nosisz groźną klingę, sir Coreyu - zauważył. - I to srebrną, jak się wydaje...

- Masz ochotę na niewielką podróż? - spytałem.

Pięć lig to mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów.

- Co z zabitymi? - chciał się dowiedzieć.

- Chcesz może dać im przyzwoity chrześcijański pochówek? - zdziwiłem się. - Do diabła z nimi!

Natura sama zatroszczy się o to, co do niej należy. Wynosmy się stąd. Oni już zaczynają śmierdzieć.

- Można by chociaż przysypać ich czymś. Dzielnie stawali.

Westchnąłem.

- No dobrze, jeżeli masz z tego powodu nie sypiać po nocach. Nie mam łopaty, więc usypię im kopiec. Ale to będzie wspólny grób.

- Wystarczy - oświadczył.

Ułożyłem sześć ciał obok siebie. Słyszałem, jak mruży coś, co pewnie było modlitwą za zmarłych.

Obłożyłem ciała kamieniami. W pobliżu było ich pełno, więc pracowałem szybko, wybierając największe, żeby nie tracić czasu. I to był mój błąd. Jeden z głazów musiał ważyć koło stu czterdziestu kilogramów, a ja nie przetoczyłem go, tylko podniosłem i położyłem na miejsce.

Usłyszałem, jak głośno wciąga powietrze, i pojąłem, że zauważył. Zakląłem.

- Cholera, mało brakowało, a przerwałbym się przy tym głazie - oświadczyłem i starałem się odtąd wybierać mniejsze kamienie. - No dobrze - stwierdziłem, kiedy robota była skończona. - Możemy ruszać?

- Tak.

Wziąłem go na ręce i ułożyłem na noszach. Zacisnął zęby.

- W którą stronę? - spytałem.

Machnął ręką.

- Z powrotem na szlak i drogą w lewo, do miejsca, gdzie się rozwidła. Tam skrećisz w prawo.

Jak masz zamiar..

Uniosłem nosze w ramionach trzymając je tak, jak się trzyma niemowlę razem z kołyską i całą resztą. Potem zawróciłem do drogi.

- Coreyu - powiedział.

- Tak?

- Jesteś jednym z najsilniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem... i mam wrażenie, że powinienem cię znać.

Odpowiedziałem nie od razu.

- Staram się trzymać w dobrej kondycji - wyjaśniłem. - Zdrowy tryb życia i w ogóle.

- ...I twój głos brzmi znajomo.

Spoglądał w górę, cały czas starając się zobaczyć moją twarz. Postanowiłem szybko zmienić temat.

- Kim są ci przyjaciele, do których idziemy?

- Zmierzamy do Twierdzy Ganelona.

- Tego skurwiela?! - krzyknąłem, niemal wypuszczając go z rąk.

- Nie rozumiem wprawdzie określenia, którego użyłeś - powiedział - jednak z twego tonu poznaję, że jest obraźliwe. W takim przypadku muszę być jego obrońcą w...

- Zaczekaj - przerwałem. - Zdaje się, że mówimy o dwóch różnych osobach noszących to samo imię. Przepraszam.

Wyczułem przez nosze, że się odprężył.

- Na pewno - stwierdził.

I tak niosłem go, aż dotarliśmy do szlaku, gdzie skrećilem w lewo.

Znów zapadł w sen, więc mogłem trochę podgonić. Minałem rozwidlenie, o którym mówił, i gdy on chrapał, popędziłem biegiem. Zacząłem się zastanawiać, co to za sześciu typów próbowało go załatwić i prawie im się udało. Miałem nadzieję, że ich kumple nie pętają się po krzakach.

Zwolniłem, kiedy usłyszałem zmianę w rytmie jego oddechu.

- Zasnąłem - powiedział.

- I chrapałeś - dodałem.

- Daleko mnie doniosłeś?

- Chyba jakieś dwie ligi.

- I nie jesteś zmęczony?

- Trochę - odparłem. - Ale nie na tyle, żeby już potrzebować odpoczynku.

- Mon Dieu! - zawołał. - Cieszę się, że nigdy nie byłeś moim wrogiem. Czyś pewien, że nie jesteś demonem?

- Pewnie, że jestem - oświadczyłem. - Nie czujesz siarki? A prawe kopyto okropnie mnie uwiera.

Zanim zachichotał, pociągnął parę razy nosem, co trochę zraniło moje uczucia.

Według mojego rozeznania przemierzaliśmy już ponad cztery ligi. Miałem nadzieję, że znowu zaśnie i nie będzie się zbytnio interesował odległością. Zaczynały mnie boleć ręce.

- Kim było tych sześciu ludzi, których zabiłeś? - spytałem.

- To Strażnicy Kręgu - odrzekł. - I nie byli już ludźmi, lecz opętanymi. Módl się, sir Coreyu, by ich dusze zaznały spokoju.

- Strażnicy Kręgu? - zdziwiłem się. - Jakiego Kręgu?

- Ciemnego Kręgu... siedziby nikczemności i obydných bestii - odetchnął głęboko. - źródła choroby, która draży tę krainę.

- Okolica nie wydaje mi się szczególnie chora - stwierdziłem.

- Jesteśmy daleko od tego miejsca, a dziedzina Ganelona jest wciąż zbyt potężna dla napastników.

Lecz Krąg rozszerza się. Czuję, że tutaj rozegra się ostatnia bitwa.

- Rozbudziłeś moją ciekawość.

- Sir Coreyu, jeśli nie wiedziałeś o niczym, to lepiej zapomnij, co ci rzekłem, omiń Krąg i idź swoją drogą. Byłbym zachwycony mogąc walczyć u twego boku, lecz to nie twoja wojna. I któż może przewidzieć jej wynik?

Szlak zaczął więc się w górę. Daleko, pomiędzy drzewami, zobaczyłem coś, co przypomniało mi inne, podobne miejsce. - Co?!... - rzekł mój bagaż, i rozejrzał się. - No cóż, szedłeś o wiele prędej, niż sądziłem. To cel naszej wędrówki. Twierdza Ganelona.

Pomyślałem wtedy o tamtym Ganelonie. Nie chciałem tego, ale nie mogłem się powstrzymać. Był zdrajcą i skrytobójcą. Wygnałem go z Avalonu całe stulecia temu. A naprawdę, tu przerzuciłem go przez Ciebie w inne miejsce i w inny czas, tak jak to później zrobił ze mną mój brat Eryk. Miałem nadzieję, że to nie tutaj go posłałem. Choć niezbyt prawdopodobne, było to jednak możliwe. Był wprawdzie człowiekiem śmiertelnym, z wyznaczoną dla siebie długością życia, a ja wypędziłem go stamtąd jakieś sześćset lat temu, lecz niewykluczone, że w tym świecie minęło kilka lat zaledwie. Czas także jest funkcją Cienia i nawet Dworkin nie zna wszystkich jego tajników. A może i zna? Może właśnie od tego oszalał? Jeśli chodzi o czas, jak zdążyłem się nauczyć, najtrudniejsze jest tworzenie go. W każdym razie czułem, że ten tutaj Ganelon nie mógł być moim byłym zaufanym adiutantem i starym nieprzyjacielem. On z pewnością nie stawiłby czoła zalewającej kraj fali nikczemności. Zanurzyłby się w niej razem z ohydnyimi bestiami. Jestem pewien.

Pozostawał jedynie problem człowieka, którego niosłem. Jego odpowiednik żył w Avalonie w czasie wygnania, a to oznaczało, że różnica czasu może być mniej więcej odpowiednia.

Wolałbym nie spotykać Ganelona, którego znałem. Wolałbym też nie być przez niego rozpoznany. On nie miał pojęcia o Cieniu. Wiedział tylko, że rzuciłem na niego czary, choć mogłem go zabić. Przeżył wprawdzie, ale być może była to gorsza z dwóch możliwości.

Człowiek w moich ramionach potrzebował schronienia i odpoczynku. Szedłem więc dalej. Zastanawiałem się jednak...

Jakaś częśćka mnie skłaniała się do wyjaśnienia temu człowiekowi prawdy. Jaką formę przybrały wspomnienia o moim cieniu, jeśli były jakieś w tym miejscu tak podobnym, a przecież różnym od Avalonu? Jak wpłyną na moje przyjęcie, jeżeli zostaną odkryte?

Słońce chyliło się ku zachodowi. Powiał chłodny wiatr, zapowiadający zbliżanie się zimnej nocy. Mój podopieczny znów zachrapał, postanowiłem więc przebyć biegiem resztę dzielącej nas od celu odległości. Miałem nieprzyjemne przeczucie, że po zmroku las może zaroić się od nieczystych mieszkańców jakiegoś przeklętego Kręgu, o których nie miałem pojęcia, ale od których się tu pewnie roilo. Pobiegłem więc, starając się nie myśleć o pościgu, zasadzce, śledzeniu. Wkrótce jednak

przecucie zamieniło się w pewność: usłyszałem za plecami ciche tup, tup, tup, jakby odgłos kroków. Położyłem nosze na ziemi i wyciągając miecz odwróciłem się.

Były dwa. Wyglądały dokładnie jak koty syjamskie, tyle że rozmiarów tygrysa. Ich pozbawione źrenic oczy miały barwę słonecznej żółci. Gdy się obejrzałem, przysiadły na zadach i przyglądały mi się bez mrugnięcia.

Były jakieś trzydzieści kroków ode mnie. Stałem trochę z boku, pomiędzy nimi a noszami. Uniosłem miecz.

Ten z lewej otworzył paszczę. Nie wiedziałem, czy powinienem oczekiwać ryku, czy mruczenia. A on, zamiast tego, przemówił:

- Człowiek. Z pewnością śmiertelny.

Nie mógłby to być głos człowieka. Był zbyt wysoki.

- A jednak żyje jeszcze - odrzekł drugi. Głos miał równie piskliwy.

- Zabijmy go.

- A ten, co go pilnuje i ma miecz, i wcale mi się nie podoba?

- Śmiertelnik?

- Podejdźcie i przekonajcie się - powiedziałem cicho.

- Jest chudy i chyba stary.

- Ale niósł tamtego od kopca aż tutaj, szybko i bez odpoczynku. Otoczmy go.

Skoczyłem do przodu, gdy tylko się poruszyły. Ten z lewej rzucił się na mnie. Miecz rozplątał mu czaszkę i wszedł głębiej, w łopatkę. Odwróciłem się, by wyrwać ostrze, a wtedy drugi kot przemknął obok mnie, pędząc do noszy. Ciąłem na oślep. Klinga trafiła go w grzbiet i przeszła na drugą stronę tułowia. Rozplątany, wydał krzyk ostry, jak zgrzyt kredy po tablicy, upadł i zaczął się palić. Pierwszy płonął także.

Rozpołowiony nie był jeszcze martwy. Przekręcił głowę i spojrzał na mnie błyszczącymi oczyma.

- Umieram ostateczną śmiercią - powiedział. - I dlatego poznaję Ciebie, Który Otworzyłeś.

Dlaczego nas zabijasz?

Wtedy płomienie ogarnęły jego głowę.

Odwróciłem się, wytarłem miecz i schowałem do pochwy, podniosłem nosze i starając się zignorować natłok pytań w mojej głowie, ruszyłem dalej. Gdzieś w głębi mojego umysłu rodziło się przekonanie, że wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Odtąd widuję czasem w snach płonąca kocią głowę. Budzę się wtedy mokry od potu, a noc wydaje się ciemniejsza i pełna kształtów, których nie potrafię określić.

Fosa otaczała Twierdzę Ganelona, a zwodzony most był podniesiony. Na czterech rogach wysokiego muru wznosiły się wieże. a liczne inne wystawały z wnętrza, wyższe jeszcze, łechtające brzuchy nisko zawieszonych chmur, przesłaniające przedwcześnie rozbłysłe gwiazdy i rzucające atramentowoczarne cienie na stoki wzgórze, na którym stał zamek. W kilku oknach paliły się już światła i cichy gwar ludzkich głosów dobiegał do mnie z wiatrem.

Stałem przed zwodzonym mostem. Opuściłem swój ładunek na ziemię, zwinąłem dłonie w trąbkę i zawołałem:

- Halo! Ganelonie! Czeka tu para zbłąkanych wędrowców!

Usłyszałem szcęk metalu o kamień, poczułem, że jestem obserwowany gdzieś z góry. Spojrzałem w tamto miejsce, lecz nie zobaczyłem niczego - moim oczom daleko jeszcze było do normalnego stanu.

- Kto tam jest? - usłyszałem krzyk, donośny i dudniący.

- Lance, który jest ranny, i ja, Corey z Cabry, który go przyniósł.

Czekałem, a tamten przekazał informację kolejnemu strażnikowi. Słyszałem wraz więcej głosów, w miarę jak coraz dalej podawano wiadomość. Po kilku minutach w ten sam sposób nadeszła odpowiedź.

- Cofnijcie się! - krzyknął wartownik. - Będziemy opuszczać most! Możecie wejść!

Zanim dokończył, rozległ się zgrzyt i po chwili most opadł na ziemię po naszej stronie fosy. Po raz ostatni uniosłem swój ciężar i przeszedłem.

I tak wniosłem sir Lancelota du Lac do Twierdzy Ganelona, któremu ufałem jak bratu. To znaczy, żeby wyrazić się precyzyjniej - ani trochę.

Wokół mnie zaroilo się od ludzi. Stwierdziłem, że otacza mnie pierścień zbrojnych. Nie przejawiali wrogości, jedynie zainteresowanie. Wkroczyłem na wielki, wybrukowany dziedziniec, oświetlony pochodniami i zasłany legowiskami. Czuję pot, dym, konie i niewątpliwie kuchenne zapachy. Biwakowała tu najwyraźniej niewietka armia.

Wielu ludzi podchodziło i przyglądało mi się, mrużąc coś między sobą. Po chwili zbliżyło się dwóch żołnierzy w pełnym ekwipunku, gotowych do bitwy. Jeden z nich dotknął mego ramienia.

- Chodź ze mną - powiedział.

Usłuchałem, a oni szli obok mnie, z obu stron. Pierścień ludzi rozstał się, by nas przepuścić. Most zgrzytał znowu, powracając na dawne miejsce. Kierowaliśmy się w stronę głównego kompleksu budynków z ciemnego kamienia.

Wewnątrz przeszliśmy korytarzem mijając coś, co wyglądało na pokój przyjęć. Dotarliśmy do schodów, i człowiek idący po mojej prawej stronie pokazał gestem, że powinienem wejść na górę. Na drugim piętrze zatrzymaliśmy się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami. Strażnik zapukał.

- Wejść! - zawołał głos, który wydał mi się, niestety, bardzo znajomy.

Weszliśmy.

Siedział przy ciężkim stole obok szerokiego okna, wyglądającego na dziedziniec. Miał na sobie brązową skórzaną kurtkę, włożoną na czarną koszulę. Spodnie też miał czarne, wypuszczone na wysokie ciemne buty. Nosił szeroki pas podtrzymujący sztylet o rękojeści z racicy. Przed nim, na stole, leżał krótki miecz. Włosy i brodę miał rude, a oczy czarne jak heban.

Spojrzał na mnie, po czym obrzucił wzrokiem dwóch strażników, którzy weszli z noszami.

- Połóżcie go w moim łóżku - polecił. - Zajmij się nim, Roderyku.

Lekarz Roderyk był staruszką i nie wyglądał mi na takiego, który mógłby narobić choremu szkody. Trochę mi ulżyło. Nie po to niosłem Lance'a kawał drogi, żeby się teraz wykrawił.

Ganelon znowu zwrócił się do mnie.

- Gdzie go znalazłeś? - zapytał.

- Pięć lig stąd na południe.

- Kim jesteś?

- Nazywają mnie Corey - odparłem.

Przyglądał mi się dokładnie, wykrzywając pod wąsem wąskie wargi w niewyraźnym uśmiechu.

- Jaki jest twój udział w tej sprawie?

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

Przygarbiłem się. Mówiłem powoli, cicho i nieco drżącym głosem. Brodę miałem dłuższą niż on i szarą od kurzu. Miałem nadzieję, że wyglądam na starego człowieka, a jego zachowanie zdawało się wskazywać, że za takiego mnie uważał.

- Pytam, dlaczego mu pomogłeś.

- Ludzka solidarność i w ogóle... - wyjaśniłem.

- Jesteś cudzoziemcem?

Kiwnąłem głową.

- No cóż, jesteś miłym gościem tak długo, jak długo zechcesz tu pozostać.

- Dzięki. Prawdopodobnie jutro ruszę dalej.

- A teraz wypij ze mną kielich wina i opowiedz, w jakich okolicznościach go znalazłeś.

Tak też zrobiłem.

Ganelon słuchał nie przerywając i cały czas wpatrywał się we mnie swoimi świdrującymi oczami. Zawsze uważałem, że przewiercanie kogoś wzrokiem to tylko banalne powiedzonko, lecz teraz nie byłem już tego pewien. Przeszywał mnie spojrzeniem. Zastanawiałem się, co o mnie wie i czego się domyśla.

Zmęczenie dopadło mnie zniecka. Wysilek, wino, ciepły pokój - wszystko to zsumowało się i nagle poczułem, że stoję gdzieś z boku, słucham siebie i przyglądam się sobie z oddalenia. Zdałem sobie sprawę, że jestem zdolny do wielkiego, lecz krótkotrwałego wysiłku i że nie jest jeszcze zbyt dobrze z moją wytrzymałością. Zauważyłem też drżenie mej ręki.

- Przepraszam - usłyszałem swój głos. - Trudy dnia zaczynają dawać mi się we znaki.

- Oczywiście - rzekł Ganelon. - Jutro porozmawiamy dłużej. A teraz śpij. śpij dobrze.

Przywołał strażnika i kazał mu odprowadzić mnie do komnaty. Musiałem iść niezbyt pewnie, pamiętam bowiem na swym łokciu rękę tego człowieka, kierującą moimi krokami.

Noc przespałem jak zabity. Była czymś wielkim, czarnym i długim na czternaście godzin.

Rankiem wszystko mnie bolało.

Umyłem się. Na serwantce stała miednica, a ktoś troskliwy położył obok niej mydło i ręcznik. Czuję się tak, jakbym gardło miał zapchane wiórami i oczy pełne piasku.

Usiadłem i zastanowiłem się.

Były czasy, kiedy mógłbym nieść Lance'a całe pięć lig i nie rozlatywać się potem na kawałki. Były czasy, kiedy wyrąbywałem sobie drogę przez ścianę Kolviru do samego serca Amberu. Te czasy minęły. Nagle poczułem się wrakiem, takim, na jaki zapewne wyglądałem.

Coś trzeba było z tym zrobić. Zbyt wolno nabierałem ciała i sił. Musiałem przyspieszyć ten proces.

Powiedziałem sobie, że tydzień czy dwa zdrowego życia i intensywne ćwiczenia mogłoby mi w tym pomóc. Nic nie wskazywało, że Ganelon mnie rozpoznał. Doskonale. Skorzystam więc z gościnności, którą mi zaofiarował.

Z tym postanowieniem w duszy odszukałem kuchnię i zjadłem solidne śniadanie. Wprawdzie pora była raczej obiadowa, wolę jednak nazywać rzeczy ich właściwymi imionami. Strasznie chciało mi się palić i odczuwałem perwersyjną radość z faktu, że nie mam tytoniu. Fata zmówiły się, by nie pozwolić mi szkodzić zdrowiu.

Wyszedłem na dziedziniec, na jasny, rześki dzień. Przez dłuższą chwilę patrzyłem na kwatrujących tu ludzi i ich ćwiczenia.

Na przeciwnym końcu placu łucznicy strzelali do tarcz, przymocowanych do bali słomy. Zauważyłem, że nie używali pierścieni i stosowali orientalny uchwyt cięciwy, nie trójpalcową technikę preferowaną przeze mnie. Tak, ten Cień był doprawdy zastanawiający. Szermierze równie często stosowali sztychy jak cięcia, dostrzegłem też dużą różnorodność broni i techniki fechtunku. Na oko było tu koło osmiuset ludzi, a nie miałem pojęcia, ilu jeszcze nie widziałem. Włosy, oczy i cery

zmieniały się, od bladych do całkiem ciemnych. Poprzez brzęk cięciw i szcęk mieczy słyszałem głosy mówiące różnymi akcentami. Na ogół jednak był to język Avalonu, który pochodzi od mowy Amberu.

Gdy przyglądałem się walczącym, jeden z szermierzy podniósł rękę, opuścił miecz, otarł czoło i cofnął się. Jego przeciwnik nie wyglądał na szczególnie zmęczonego. Oto była szansa na mały trening, którego potrzebowałem. Uśmiechając się podszedłem bliżej.

- Jestem Corey z Cabry - powiedziałem. - Obserwowałem was.

Zwróciłem się do potężnego, smągłego mężczyzny, który z uśmiechem spoglądał na zmęczonego partnera.

- Czy moglibyśmy poćwiczyć chwilę, póki twój przyjaciel odpoczywa?

Wciąż uśmiechnięty wskazywał na swoje usta i ucho. Spróbowałem kilku innych języków, lecz bezskutecznie. Pokazałem więc miecz, jego i siebie. Wtedy zrozumiał, o co mi chodzi. Jego kolega uznał to za niezły pomysł i zaproponował mi swoją broń.

Wziąłem ją. Była krótsza i cięższa niż Grayswandir (tak się nazywa mój miecz, o czym, wiem, nie wspominałem do tej pory; jest to historia interesująca sama w sobie i opowiem ją może, a może i nie, zanim dowiecie się, jak się to wszystko skończyło; w każdym razie gdybym znowu użył tego imienia, będziecie wiedzieli, o czym mowa).

Machnąłem mieczem kilka razy, by go wypróbować, zdjąłem płaszcz, odrzuciłem na bok i stanąłem en garde.

Wielkolud zaatakował. Odparowałem i natarłem. On odbił i zripostował. Sparowałem ripostę, zrobiłem zwód i pchnąłem. Et caetera. Po pięciu minutach wiedziałem, że jest dobry. I że ja jestem lepszy. Dwa razy przerwał, bym nauczył go pchnięć, których użyłem. Oba oponował bardzo szybko. Po piętnastu minutach jego uśmiech stał się szerszy. Domyśliłem się, że mniej więcej w tym punkcie przełamywał opór swych oponentów samą wytrzymałością, o ile zdołali dotąd odpierać jego ataki. A był wytrzymały, trzeba to przyznać. Po dwudziestu minutach na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Po prostu nie wyglądałem na tu. że dotrвам tak długo. Ale cóż, czy ktokolwiek mógł coś wiedzieć o tym, co siedzi w środku potomka Amberu?

Po dwudziestu pięciu minutach był zlany potem, ale walczył dalej. Mój brat Random wygląda i zachowuje się czasami jak astmatyczny nastolatek, lecz kiedyś fechtowaliśmy się ponad dwadzieścia sześć godzin, żeby zobaczyć, kto pierwszy poprosi o remis. Jeśli chcecie wiedzieć, to tym kimś byłem ja; następnego dnia miałem randkę i chciałem być w możliwie dobrym stanie. Mogliśmy jednak ciągnąć dalej. Wtedy nie miałbym nic przeciwko takiej demonstracji. Teraz jednak wiedziałem, że potrafię przetrzymać przeciwnika. Był w końcu tylko człowiekiem.

Po mniej więcej półgodzinie dyszał ciężko i opóźniał kontrataki. Wiedziałem, że jeszcze kilka minut i zacznę się domyślać, że go oszczędzam. Podniosłem rękę i opuściłem miecz tak, jak zrobił to jego poprzedni partner. On też się zatrzymał, a potem podbiegł i uściśnął mnie. Nie rozumiałem, co powiedział, domyśliłem się jednak, że jest zadowolony z treningu. Ja też byłem rad.

Niestety, czułem tę zabawę w kościach. I trochę kręciło mi się w głowie. Mimo wszystko to było to, czego potrzebowałem. Postanowiłem, że dorżnę się ćwiczeniami, wieczorem zapcham jedzeniem, wyspię solidnie i rano zacznę od początku.

Poszedłem więc do miejsca, gdzie stali łucznicy. Po pewnym czasie pożyczyłem łuk i stosując swoją trójpalcową technikę, wypuściłem około selki strzał. Nie wyszło mi to najgorzej. Później obserwowałem przez chwilę konnych z kopiami, tarczami i buzdyganami. Zostawiłem ich, żeby popatrzeć na ćwiczenia w walce wręcz.

W końcu położyłem trzech ludzi po kolei. I poczułem się wykończony. Absolutnie. Całkowicie.

Spocony i zdyszany usiadłem na ocienionej ławce.

Myślałem o Lance'u. o Ganelonie i o kolacji. Po jakichś dziesięciu minutach wróciłem do przydzielonej mi komnaty i wykapałem się.

Byłem już wściekle głodny, wyruszyłem więc szukać jedzenia i informacji.

Zanim zdążyłem oddalić się od drzew, jeden ze strażników, którego pamiętam z wczorajszego wieczoru - ten, który odprowadził mnie do komnaty - zbliżył się i powiedział:

- Lord Ganelon prosi cię, byś, kiedy zabrzmi gong, zechciał przybyć do jego komnat i zjeść z nim posiłek.

Podziękowałem, obiecałem, że przyjdę, wróciłem do siebie i odpoczywałem leżąc na pościeli, póki nie nadszedł czas. Wtedy wyszedłem.

Bolały mnie wszystkie mięśnie, miałem też parę nowych siniaków. To dobrze, pomyślałem, będę wyglądał bardzo staro. Zastukałem do drzwi Ganelona. Otworzył mi paź i zaraz pobiegł pomóc innemu młodzikowi, zajętemu nakrywaniem do stołu koło ognia.

Ganelon, w zielonej koszuli i zielonych spodniach. W zielonych wysokich butach i pasie, siedział na krześle z wysokim oparciem. Gdy wszedłem, wstał i zbliżył się, by mnie przywalać.

- Słyszałem, sir Coreyu, o twych dzisiejszych wyczynach - powiedział ściskając dłoń. - Sprawily one, że przyniesienie Lance'a stało się bardziej godne wiary. Muszę przyznać, że jest w tobie więcej, niż można sądzić z wyglądu... Mam nadzieję, że cię nie uraziłem.

- Nie uraziłeś - roześmiałem się.

Podprowadził mnie do krzesła i podał kielich wina, zbyt słodkiego jak dla mnie.

- Gdy patrzę na ciebie, wydaje mi się, że mógłbym cię pokonać jedną ręką... A jednak niosłeś Lance'a pięć lig, a po drodze zabiłeś dwa z tych piekielnych kotów.

A sam Lance opowiedział mi o kopcu, który zbudowałeś. Z ciężkich głazów...

- Jak on się dzisiaj czuje? - przerwałem.

- Musiałem postawić strażnika w jego komnacie, żeby mieć pewność, że wypoczywa. Ten węzeł mięśni chciał wstać i pospacerować. Zostanie w łóżku jeszcze tydzień, jak mi Bóg miły.

- Musi zatem czuć się lepiej.

Kiwnął głową.

- Za jego zdrowie.

Wypiliśmy.

- Gdybym miał armię ludzi takich, jak ty czy Lance - powiedział po chwili milczenia - ta historia mogłaby potoczyć się całkiem inaczej.

- Jaka historia?

- Kręgu i jego Strażników - wyjaśnił. - Nie słyszałeś o nich?

- Lance coś wspominał. To wszystko.

Jeden z paziów obracał na różnie wielki kawał mięsa, od czasu do czasu spryskując go odrobiną wina. Za każdym razem, kiedy dolatywał do mnie zapach jedzenia, mój żołądek burczał, a Ganelon śmiał się cicho. Drugi paź poszedł do kuchni po chleb.

Mój gospodarz mięzał przez dłuższą chwilę. Dopił wina i nalał sobie drugi kielich. Ja wolno sączyłem swój pierwszy.

- Słyszałeś kiedy o Avalonie? - zapytał w końcu.

- Tak - odrzekłem. - Był taki wiersz... usłyszałem go wiele lat temu od wędrownego barda: "Za rzeką Błogosławionych usiedliśmy wszyscy tak, i zapłakaliśmy wspomniawszy Avalon. Strzaskane

były miecze w naszych rękach, a tarcze zawiesiliśmy na dębie. Srebrzyste wieże runęły w morze krwi. Wiele stąd mil do Avalonu? Ani jedna, odpowiem, i wszystkie. Srebrzyste wieże runęły".

- Avalon upadł..? - zapytał.

- Sądzę, że ów człowiek był obłąkany. Nic nie wiem o żadnym Avalonie, jednak ten wiersz pozostał w mej pamięci.

Ganelon odwrócił twarz i milczał przez kilka minut.

- Był... - odezwał się w końcu zmienionym głosem. - Była kiedyś taka kraina. Żyłem tam dawno temu. Nie wiedziałem, że padła.

- Jak doszło do tego, że przybyłeś tutaj? - spytałem.

- Zostałem wygnany przez władcę czarnoksiężnika, lorda Corwina z Amberu. Posłał mnie przez mrok i szaleństwo do tego miejsca, bym cierpiał i zginął. I cierpiałem, i wiele razy byłem bliski śmierci. Próbowałem odnaleźć drogę powrotną, lecz nikt jej nie znał. Pytałem czarowników, pytałem nawet schwytanego w Kręgu stwora, nim go zabiliśmy. Nikt jednak nie wiedział, którą prowadzi droga do Avalonu. Tak jak mówił ten bard: "Ani mili, i wszystkie" - niezbyt dokładnie zacytował mój wiersz. - Pamiętasz może jego imię?

- Przykro mi, ale nie.

- A gdzie leży owa Cabra, skąd przybywasz?

- Daleko na wschodzie, za morzem - wyjaśniłem. Bardzo daleko. To wyspiarskie królestwo.

- Może mogliby przysłać nam paru żołnierzy? Stać mnie, żeby im nieźle zapłacić.

Pokręciłem głową.

- To nieduży kraj. Ma tylko niezbyt liczną milicję. I dzieli nas kilka miesięcy podróży lądem i wodą. Jego mieszkańcy nigdy nie walczyli jako najemnicy, zresztą nie przejawiają zbytniej wojowniczości.

- Wydaje się zatem, że różnisz się od swych rodaków? - zauważył i spojrzał na mnie badawczo.

- Byłem nauczycielem sztuk walki - wyjaśniłem. - W Gwardii Królewskiej.

- Może więc choć ty dasz się wynająć i poćwiczysz moich żołnierzy?

- Zostanę tu kilka tygodni i zajmę się tym.

Skinął głową i króciutko się uśmiechnął.

- Zasmuca mnie wzmianka o tym, że przeminął piękny Avalon - powiedział po chwili. - Lecz jeśli to prawda, to ten, który mnie wygnął, także zapewne nie żyje - wychylił swój kielich. - Zatem nawet demon ma chwile, gdy nie potrafi bronić swoich - zadumał się. Ta myśl dodaje mi otuchy. Oznacza bowiem, że my tutaj też możemy mieć pewną szansę w wojnie z demonami.

- Wybacz - przerwałem, by wyjaśnić sprawę, która wydała mi się istotna. - Jeśli mówisz o owym Corwinie z Amberu, to on nie zginął, gdy stało się to, co się stało.

Szkło trzasnęło w jego rękę.

- Ty znasz Corwina? - spytał.

- Nie, ale słyszałem o nim. Kilka lat temu spotkałem jednego z jego braci, człowieka o imieniu Brand. Opowiedział mi o miejscu zwanym Amberem i o bitwie, w której Corwin i jego brat, Bleys, poprowadzili armię przeciw innemu swemu bratu, Erykowi, panującemu w kraju. Bleys runął w przepaść z góry Kolvir, a Corwin dostał się do niewoli. Po koronacji Eryka Corwinowi wypalono oczy i wrzucono go do lochów Amberu, gdzie pewnie jeszcze przebywa. O ile nie umarł do tej pory.

W miarę jak mówiłem, twarz Ganelona bladła coraz bardziej.

- Wszystkie imiona, które wymieniłeś: Brand, Bleys, Eryk... - powiedział. - Słyszałem niegdyś, jak wspominał je... Jak dawno słyszałeś o tym wszystkim?

- Jakies cztery lata temu.

- Zaslugiwał na coś lepszego.

- Po tym, co ci zrobił?

- No cóż - zamyślił się. - Miałem wiele czasu, żeby to sobie przemyśleć. Trudno było twierdzić, że nie dałem mu powodu do takiego postępu. Był silny, silniejszy nawet niż ty czy Lance. I mądry. Potrafił także się bawić, jeśli zdarzyła się okazja. Eryk powinien zabić go szybko, nie w taki sposób. Ten demon nie zasłużył na taki los, to wszystko.

Paź powrócił z koszem chleba. A młodzik, który pilnował mięsa, zdjął je z rożna i ułożył na tacy, na środku stołu.

Ganelon skinął głową w tamtą stronę.

- Jedźmy - powiedział.

Wstał i podszedł do stołu. Ruszyłem za nim. Przy posiłku nie rozmawialiśmy prawie wcale.

Napchałem żołądek tak, że nie mógłbym już więcej zmieścić. Spłukałem wszystko kielichem zbyt słodkiego wina i zacząłem ziewać. Ganelon zaklął po trzecim razie.

- Do diabła, Corey! Przestań! To zaraźliwe.

Stłumił własne ziewnięcie.

- Wyjdźmy na powietrze - zaproponował wstając.

Poszliśmy zatem wzdłuż murów, mijając po drodze stanowiska wartowników. Stawali na baczność i oddawali honory, gdy tylko poznawali zbliżającego się Ganelona, a on rzucał im pozdrowienie, i szliśmy dalej. Przystanęliśmy na blankach i siedliśmy na kamieniach, wdychając wieczorne powietrze, zimne, wilgotne i pełne zapachów lasu. Jedna po drugiej zapalały się gwiazdy na ciemniejszym niebie. Czułem chłód muru pod sobą. W ogromnej dali, zdawało mi się, dostrzegłem migotanie morskich fal. Gdzieś z dołu słyszałem krzyk nocnego ptaka. Ganelon wyjął z sakiewki u pasa tytoń i fajkę, nabił ją, ubił i zapalił. Jego oświetlona płomykiem twarz miała sataniczny wygląd, gdyby nie coś, co wykrzywiało usta i ściągało mięśnie policzkowe do kąta, utworzonego przez wewnętrzne kąciaki oczu i ostry grzbiet nosa. Był zbyt przygnębiony, jak na demona, który przecież powinien uśmiechać się szyderczo.

Poczułem dym. I naraz Ganelon zaczął mówić, z początku cicho i bardzo powoli.

- Pamiętam Avalon - zaczął. - Nie pochodziłem z plebsu, lecz cnota nigdy nie była moją mocną stroną. Szybko przepuściłem swoje dziedzictwo i zacząłem napadać podróżnych na drogach. Później dołączyłem do bandy takich samych jak ja. Kiedy odkryłem, że jestem najsilniejszy i najlepiej nadaję się na przywódcę, zostałem nim. Naznaczono ceny na nasze głowy, najwyższą na moją.

Mówił teraz szybciej, starannie akcentując i dobierając słowa, będąca jakby echem jego przeszłości.

- Tak, pamiętam Avalon - powiedział. - Krainę światła, cienia i spokojnych wód, gdzie gwiazdy błyszczały niby nocne ogniska, a zieleń dnia zawsze była zielenią wiosny. Młodość, miłość, piękno..., znałem je w Avalonie. Dumne wierzchowce, jasna stal, słodkie usta, ciemne piwo... Honor...

Potrząsnął głową.

- Później - mówił - gdy w kraju wybuchła wojna domowa, władca obiecał całkowite darowanie win wszystkim przestępcom, którzy pójdą za nim przeciwko rebeliantom. To był Corwin. Przyłączyłem się do niego i ruszyłem na wojnę. Zostałem oficerem, a potem członkiem jego sztabu. Wygraliśmy bitwy, stłumiliśmy rokosz. Corwin znowu rządził w spokoju, a ja zostałem przy jego dworze. To były piękne czasy, zdarzały się różne potyczki graniczne, lecz zawsze wychodziliśmy z nich zwycięsko. Corwin ufał mi i pozwalał takie sprawy załatwiać samodzielnie. A potem, by

wynieść ród drobnego szlachcica, którego córki zapragnął za żonę, nadał mu księstwo. Ja chciałem je otrzymać, a on od dawna napomykał, że pewnego dnia da mi je. Byłem wściekły i zdradziłem go, gdy tylko wyruszyłem, by rozstrzygnąć jakiś zatarg na południowej granicy, gdzie zawsze wrzało. Wielu moich ludzi zginęło, a najeźdźcy wkroczyli na nasze ziemie. Zanim zostali rozgromieni, lord Corwin znowu musiał chwycić za broń. Przybyli w wielkiej sile i miałem nadzieję, że zdobędą kraj. Chciałem, żeby im się udało. Ale Corwin pokonał ich swą lisią taktyką. Uciekłem, lecz zostałem schwyty i przyprohwadzony do niego. Miałem usłyszeć wyrok. Przeklinałem go i plulem mu pod nogi. Nie chciałem prosić o litość, nienawidziłem ziemi, po której stąpał. Człowiek skazany na śmierć nie ma powodów, żeby się poniżać; może zachować twarz i odejść jak mężczyzna. Corwin oświadczył, że za dawne zasługi okaże mi łaskę. Powiedziałem, żeby się udławił swoją łaską, i wtedy pojąłem, że kpi ze mnie. Kazał mnie puścić zbliżył się. Wiedziałem, że potrafiłby mnie zabić gołymi rękoma. Próbowałem walczyć, lecz bez skutku. Raz tylko mnie uderzył i straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie, byłem związany i leżałem przerzucony przez grzbiet jego konia. Jechaliśmy, a on naigrawał się ze mnie. Nie odpowiadałem na jego zaczepki. Przejeżdżaliśmy przez krainy cudowne i koszmarny, i w ten sposób poznałem jego czarnoksięską moc - żaden bowiem spotkany podróżnik nie wiedział nico miejscach, jakie ja tego dnia oglądałem. A potem oświadczył, że skazuje mnie na wygnanie, uwolnił tu, w tym miejscu, i odjechał.

Przerwał, by zapalić wygastłą fajkę, i zanim zaczął znowu, przez pewien czas pykał w milczeniu.

- Wiele ran, sińców, ukąszeń i ciosów odebrałem tu od ludzi i bestii, z trudem tylko utrzymując się przy życiu. On pozostawił mnie w najdzikszej części kraju. Aż pewnego dnia koło fortuny obróciło się. Jakiś zbrojny rycerz kazał mi zejść z drogi, którą szedłem, aby on mógł przejechać. Wtedy nie zależało mi już, czy będę żył, czy zginę, więc nazwałem go dziobatym bękartem i kazałem iść do diabła. Natarł na mnie, a ja chwyciłem jego kopię i wepchnąłem ostrze w ziemię, w ten sposób zrucając go z konia. Jego własnym sztyletem wyciąłem mu uśmiech pod brodą, i tak stałem się posiadaczem wierzchowca i broni. Potem zająłem się wyrównywaniem rachunków z tymi, którzy źle się ze mną obeszli. Powróciłem do dawnego rzemiosła na drogach i zebrałem nową bandę. Było nas coraz więcej. Kiedy liczba moich ludzi sięgnęła kilku setek, nasze potrzeby stały się niemałe. Zdobywaliśmy całe miasteczka, a miejscowa milicja bała się nas. To także było dobre życie, choć nigdy już nie zaznam tak wspaniałego, jak w Avalonie. Przydrożne zajazdy drżały z lęku, gdy dobiegał tętent naszych koni, a podróżni robili w portki słysząc, jak nadjeżdżamy. Ha! Trwało to parę lat. Duże oddziały zbrojnych próbowały nas wytropić i zniszczyć, lecz zawsze udawało się nam uciec lub wciągnąć je w zasadzkę. Aż pewnego dnia pojawił się Ciemny Krąg, i nikt naprawdę nie wie dlaczego.

Wpatrzony w dal energiczniej pyknął z fajki.

- Mówiono mi, że wszystko zaczęło się od małego pierścienia muchomorów, gdzieś daleko na zachodzie. W centrum pierścienia znaleziono martwą dziewczynę, a człowiek, który ją znalazł - jej ojciec - zmarł w konwulsjach kilka dni później. Natychmiast uznano, że to jest miejsce przekłete. Przez następne miesiące zakazany obszar powiększał się szybko, aż osiągnął ligę średnicy. Trawy tam ciemniały i lśniły jak metal lecz nie umierały. Skręcały się drzewa i czerniały liście, kołysały się, gdy nie było wiatru, a nietoperze latały i tańczyły między nimi. O zmroku dostrzegano tam dziwne kształty - zawsze wewnątrz Kręgu, uważasz - a w nocy widać było światła podobne do małych ognisk. Krąg rósł nadal i ci, którzy mieszkali w pobliżu, uciekli. Większość z nich. Mówiono, że pozostali dobili jakiegoś targu ze stworami ciemności. A Krąg rozszerzał się, rozprzestrzeniał, niby Fala wzburzona rzuconym do stawu kamieniem. Coraz więcej ludzi zostawało, by żyć w jego wnętrzu. Rozmawiałem z tymi ludźmi, walczyłem z nimi, zabijałem ich. Było w nich jakby coś

martwego. Ich głosom brakowało głębi, jaka cechuje głosy tych, co smakują swoje słowa. Ich twarze rzadko cokolwiek wyrażały i przypominały raczej maski pośmiertne. Wychodzili z Kręgu całymi grupami i rabowali. Zabijali dla samego zabijania. Popelniali okrucieństwa i bezczęścili świątynie. Odchodząc podkładali ogień. Nigdy nie zabierali przedmiotów ze srebra. A później, wiele miesięcy później, zaczęły pojawiać się inne stwory, niezwykle, takie jak te piekielne koty, które zabiłeś... Potem Krąg zwolnił swój rozrost, jak gdyby zbliżał się do jakiejś granicy. lecz teraz wychodzili stamtąd rabusie wszelkiego rodzaju, niektórzy nawet za dnia, i pustoszyli tereny wokół jego brzegów. A kiedy wyniszczyli obszar wokół całego obwodu, Krąg powiększał się, by objąć nowe ziemie. Stary król Uther, który tak długo na mnie polował, zapomniał o moim istnieniu i posłał swe wojska, by patrolowały granice tego przeklętego Kręgu. Ja także zaczynałem się martwić - niezbyt podobała mi się możliwość, że jakaś pijawka z piekła rodem napadnie mnie podczas snu. Wziąłem więc pięćdziesięciu ludzi - to byli wszyscy, jacy się zgłosili, a nie chciałem tchórzy - i pewnego popołudnia pojechaliśmy tam. Natrafiliśmy na bandę ludzi o martwych twarzach, którzy palili na ołtarzu żywego kozła. Rozbiliśmy ją. Wzięliśmy jednego jeńca, przywiązaliśmy do jego własnego ołtarza i wypyaliśmy. Powiedział, że Krąg będzie rósł tak długo. aż pokryje cały ląd od oceanu do oceanu. Pewnego dnia jego granice zetkną się po drugiej stronie świata. Jeżeli chcemy ocalić swe skóry, to powinniśmy się do nich przyłączyć. Wtedy jeden z moich ludzi uderzył go nożem i on umarł. Naprawdę umarł. Potrafię rozpoznać trupa, gdy go zobaczę, wystarczająco często zabijałem. Lecz kiedy jego krew polała się na kamień, otworzył usta i wydał z siebie najgłośniejszy śmiech, jaki w życiu słyszałem. Był niby grom. A potem usiadł nie oddychając, i zaczął się palić. I zmieniał swą postać, aż stał się niby ten płonący na ołtarzu kozioł, tylko większy. Wtedy usłyszeliśmy jego głos. Mówił: "Uciekaj, śmiertelniku! Lecz nigdy nie opuścisz tego Kręgu!" I uwierz mi, uciekaliśmy! Niebo pociemniało od nietoperzy i innych stworzeń. Słyszeliśmy tętent koni. Gnaliśmy z mieczami w dłoniach mordując wszystko, co się zbliżyło. Były tam koty, takie jak te, które zabiłeś, węże i jakieś skaczące stwory, i Bóg wie co jeszcze. Kiedy zbliżaliśmy się do granicy Kręgu, dostrzegł nas jeden z patroli króla Uthera i przybył z pomocą. Z pięćdziesięciu ludzi, którzy poszli ze mną, wyjechało szesnastu. A żołnierze też stracili ze trzydziestu swoich. I kiedy tylko zobaczyli, kim jestem, zaciągnęli mnie przed trybunał. Tutaj. To był pałac króla Uthera. Opowiedziałem mu, czego dokonałem, co widziałem i słyszałem. Zrobił to samo, co kiedyś Corwin: zaproponował całkowite darowanie win mnie i moim ludziom, jeżeli przyłączymy się do niego w walce ze Strażnikami Kręgu. Przeszedłszy to, co przeszedłem, zrozumiałem, że trzeba powstrzymać diabelstwo, zgodziłem się więc. Potem zachorowałem i podobno przez trzy dni bredziłem w gorączce. Byłem słaby jak dziecko, kiedy przyszedłem do siebie. Dowiedziałem się, że podobnie zostali porażeni wszyscy, którzy ze mną wjechali do Kręgu. Trzech umarło. Wróciłem do reszty moich ludzi, opowiedziałem im wszystko, a oni zaciągnęli się. Wzmocniliśmy patrole wokół Kręgu. Nie mogliśmy jednak powstrzymać jego wzrostu. Przez następne lata stoczyliśmy wiele potyczek, a on rozszerzał się. Awansowałem, aż stałem się prawą ręką Uthera, tak jak niegdyś Corwina. A potem starcia stały się czymś więcej niż potyczkami. Coraz większe bandy atakowały nas z tej piekielnej dziury. Przegraliśmy kilka bitew. Zniszczyli kilka naszych stanowisk. Aż pewnej nocy nadciągnęła stamtąd cała armia, horda ludzi i innych stworów. Starliśmy się wtedy z największą siłą, z jaką dane nam było się spotkać. Król Uther osobiście wyruszył do walki, choć odradzałem mu to - był podeszłego wieku - i zginął owej nocy, a kraj pozostał bez władcy. Chciałem, by został nim mój kapitan, Lancelot. Był o wiele godniejszym człowiekiem niż ja... To dziwne... Znałem Lancelota, takiego jak on, w Avalonie, ale ten tutaj nie poznał mnie, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy. Niezwykłe... W każdym razie odmówił i ja musiałem przejąć tę funkcję. Nie cierpię jej, ale cóż... Powstrzymuję ich już przez trzy lata.

Wszystkie moje instynkty kazały mi uciekać. Co jestem winien tym przeklętym ludziom! Co mnie obchodzi, że ten piekielny Krąg się rozrasta? Mógłbym odpłynąć za morze, do jakiegoś kraju, gdzie nie dotarłby za mojego życia. Do diabła! Nie chciałem tej odpowiedzialności! A jednak teraz nie mogę jej odrzucić.

- Dlaczego? - spytałem i zaskoczyło mnie brzmienie mojego głosu.

Zapadła cisza.

Wypróżnił fajkę. Nabił ją ponownie. Zapalił. Pyknął.

Cisza panowała nadal. Dopiero po długiej chwili milczenia odezwał się.

- Nie wiem - powiedział. - Wbiłbym człowiekowi nóż w piecy dla pary butów, gdyby on je miał, a mnie marzły stopy. Zrobiłem to kiedyś, więc wiem. Ale... to tutaj coś innego. To zagraża każdemu, a ja jestem jedyny, który potrafi wykonać tę robotę. Na Boga! Wiem, że kiedyś pochowają mnie tutaj razem z nimi wszystkimi. A przecież nie potrafię się wycofać. Muszę powstrzymać to diabelstwo, jak długo zdołam.

Chłodne powietrze nocy studziło moją głowę, dając że się tak wyrażę - dodatkowy ciąg mej świadomości, mimo że ciało reagowało dość słabo.

- Czy Lance nie mógłby ich poprowadzić? - spytałem.

- Moim zdaniem tak. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego zostaję. Myślę, że ten kozłostwór na ołtarzu, czymkolwiek jest, trochę się mnie boi. Byłem tam, on powiedział, że nie zdołam wrócić, a jednak wróciłem. Przeżyłem chorobę, na którą potem zapadłem. On wie, że to ja walczę z nim przez cały czas. Zwyciężyliśmy w tej wielkiej, krwawej bitwie owej nocy, kiedy zginął Uther. Spotkałem go wtedy w innej postaci i on mnie poznał. Może po części właśnie to powstrzymuje go teraz.

- W jakiej postaci?

- Stwora o ludzkim ciele, ale z kozimi rogami i czerwonymi oczami. Dosiadał srokatego konia. Starliśmy się z sobą, lecz rozdzieliła nas fala walczących. Zresztą dobrze się stało, bo wygrywał. Kiedy skrzyżowaliśmy miecze, przemówił do mnie, a ja poznałem ten głos, jak gdyby huczący w mojej głowie. Nazwał mnie głupcem i powiedział, żebym nie żywił nadziei na zwycięstwo. Lecz kiedy nadszedł świt, pole było nasze. Pognaliśmy ich z powrotem do Kręgu. Zabijaliśmy uciekających, ale jeździec na srokaczu uszedł. Od tamtej nocy zdarzały się wypadki, lecz żaden nie był taki, jak tamten. Gdybym opuścił ten kraj, nadciągnęłaby następna taka armia - ta, która już teraz się przygotowuje. Ten stwór dowiedziałby się o moim wyjeździe, tak jak dowiedział się, że Lance wiezie dla mnie kolejny raport o ruchach wojsk wewnątrz Kręgu, i wysłał Strażników, by go zabili. Do tej pory dowiedział się także i o tobie. Z pewnością zastanawia się. Chciałby wiedzieć, kim jesteś i skąd pochodzi twoja siła... Pozostanę tutaj i będę walczył, póki nie padnę. Nie pytaj, dlaczego. Mam tylko nadzieję, że nim nadejdzie dzień mojej śmierci, dowiem się, skąd wzięło się to wszystko i dlaczego istnieje Krąg.

Usłyszałem trzepot koło głowy. Schyliłem się, by uniknąć tego, w nadlatywało. Niepotrzebnie. To był tylko ptak. Biały ptak. Usiadł mi na lewym ramieniu i świergotał cicho. Uniosłem dłoń, a on przeskoczył na nią. Miał przywiązaną do nogi karteczkę. Odczepiłem ją, przeczytałem i zgmiotłem w rękę. I zapatrzyłem się w odległe, niewidoczne stąd rzeczy.

- Co się stało, sir Coreyu?! - zawołał Ganelon.

Wiadomość, którą wysłałem przed sobą do celu mej podróży, pisana moją własną ręką, niesiona przez ptaka moich pragnień, mogła dotrzeć jedynie do miejsca, które miało być przystankiem na mojej drodze. Wprawdzie niezupełnie to miejsce miałem na myśli, potrafię jednak odczytywać własne wróżby.

- Co to jest? - spytał Ganelon. - Co takiego trzymasz w rękę? Wiadomość?

Kiwnąłem głową i podałem mu ją. Nie bardzo mogłem wyrzucić tę karteczkę, skoro widział, jak ją czytałem. Było na niej napisane: "Przybywam". A niżej był mój podpis.

Ganelon pyknął z fajki i w świetle jarzącego się tytoniu odczytał kartkę.

- On żyje? I przybędzie tutaj? - zdumiał się.

- Tak nateżałoby sądzić.

- Dziwne - stwierdził. - Nie rozumiem...

- To wygląda na obietnicę pomocy - odrzekłem, odprawiając ptaka, który zagruchał dwa razy, zatoczył krąg nad moją głową i odleciał: Ganelon pokręcił głową.

- Nie rozumiem.

- Po cóż darowanemu koniowi zaglądać w zęby? Tobie udało się jedynie powstrzymać Krąg.

- To prawda - przyznał. - On go może zdoła zniszczyć.

- A jeśli to tylko żart? Dość okrutny?

Znowu pokręcił głową.

- Nie. To nie w jego stylu. Zastanawiam się, o co może mu chodzić.

- Prześpij się z tym problemem - zaproponowałem.

- Niewiele więcej mogę teraz zrobić - odrzekł tłumiając ziewanie.

Wstaliśmy i ruszyliśmy wzdłuż muru. Na korytarzu życzyliśmy sobie dobrej nocy, po czym ja, zataczając się, powędrowałem ku otchłani snu, w którą zwałem się na łeb, na szyję.

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 02

Dzień. Więcej zmęczenia. Więcej bólu.

Ktoś zostawił mi nowy płaszcz, brązowy. Uznałem, że dobrze się zdarzyło. Zwłaszcza gdy nabiorę ciała, a Ganelon przypomni sobie, jakie kolory nosiłem. Nie zgoliłem brody - kiedy mnie znał, nie byłem taki owłosiony. Staralem się też zmienić głos, ilekroć on był w pobliżu. Grayswandira ukryłem pod łóżkiem.

Przez cały tydzień orałem sobą bez litości, ćwiczyłem do siódmych potów. W końcu bóle minęły i mięśnie nabrały twardości. Sądzę, że w ciągu tych siedmiu dni przybrałem na wadze jakieś siedem kilo. Powoli, bardzo powoli zaczynałem znowu czuć się sobą.

Ta kraina nazywała się Lorraine, tak jak ona. Gdybym był akurat w romantycznym nastroju, powiedziałbym, że spotkaliśmy się na łące pod murami zamku, że ona zbierała kwiaty, a ja wyszedłem na spacer, żeby rozluźnić mięśnie i odetchnąć świeżym powietrzem. Bzdura.

Wydaje się, że można określić ją słowem: markietanka. Spotkałem ją wieczorem, po ciężkim dniu spędzonym głównie z mieczem i buzdyganem. Kiedy zauważyłem ją po raz pierwszy, stała obok pala ćwiczeń, czekając na tego, z którym była umówiona. Uśmiechnęła się do mnie, więc ja także się uśmiechnąłem, skinąłem głową, mrugnąłem i poszedłem dalej.

Następnego dnia spotkaliśmy się znowu i mijając ją rzuciłem: "Dzień dobry". I tyle.

A potem dalej na nią wpadałem. Pod koniec mojego długiego tygodnia tutaj, kiedy mięśnie przestały mnie boleć, ważyłem osiemdziesiąt kilogramów i tak też się czułem, umówiłem się z nią na wieczór. Wiedziałem już, jaki jest jej status, ale nie przeszkadzało mi to.

Jednak tej nocy nie robiliśmy tego, czego można by się spodziewać. Nie. Zamiast tego rozmawialiśmy, a potem zdarzyło się jeszcze coś.

W jej kasztanowych włosach dostrzegłem kilka pasemek szarości, sądzą jednak, że nie miała

jeszcze trzydziestki. Bardzo błękitne oczy. Lekko szpiczasty podbródek. Czyste, równe zęby w ustach, które tak często się do mnie uśmiechały. Głos miała nieco zbyt nosowy, włosy za długie, makijaż nałożony zbyt grubą warstwą, kryjący za wiele znużenia, cerę za bardzo piegowatą, suknie zbyt jaskrawe i obcisłe. Jednak lubiłem ją. Nie spodziewałem się, że tak właśnie będę to odczuwał, gdy umawiałem się z nią na tę noc, ponieważ - jak już mówiłem - nie o lubienie mi chodziło.

Nie mieliśmy gdzie iść, chyba że do mojej komnaty. No więc poszliśmy tam. Byłem już kapitanem i wykorzystałem swoje stanowisko, każąc przynieść kolację i dodatkową butelkę wina.

- Ludzie się ciebie boją - powiedziała. - Mówią, że nigdy się nie męczysz.

- Męcę się - odparłem. - Możesz mi wierzyć.

- Oczywiście - zgodziła się z uśmiechem, potrząsając zbyt długimi włosami. - Wszyscy się męczymy.

- Tak też sądzę - potwierdziłem.

- Ile masz lat?

- A ile ty masz lat?

- Dżentelmen nie zadaje takich pytań.

- Dama także nie.

- Kiedy zjawiałeś się tu, wszyscy myśleli, że ponad pięćdziesiąt.

- I...?

- I teraz nie mają pojęcia. Czterdzieści pięć? Czterdzieści?

- Nie - stwierdziłem.

- Ja tak nie myślałam. Ale twoja broda zmyliła wszystkich.

- Tak to jest z brodami.

- Z każdym dniem wyglądasz lepiej - Jesteś większy...

- Dziękuję. Czuję się lepiej niż wtedy, kiedy tu przybyłem.

- Sir Corey z Cabry - powiedziała - gdzie leży Cabra? Co to jest Cabra? Czy zabierzesz mnie tam ze sobą, jeśli cię ładnie poproszę?

- Mógłbym ci to obiecać - odrzekłem - Ale kłamałbym.

- Wiem. Mimo to przyjemnie byłoby to usłyszeć.

- Więc dobrze, zabiorę cię tam ze sobą. To paskudne miejsce.

- Czy naprawdę jesteś taki dobry, jak mówią?

- Boję się, że nie. A ty?

- Nie bardzo - Chcesz już iść do łóżka?

- Nie. Wolę porozmawiać. Napij się wina.

- Dzięki... Twoje zdrowie!

- I twoje.

- Jak to się stało, że jesteś takim dobrym szermierzem?

- Zdolności i dobrzy nauczyciele.

...I niosłeś Lance'a przez cały czas... i zabiłeś tamte bestie...

- Plotka rośnie w miarę powtarzania.

- Ale ja cię obserwowałam. Naprawdę jesteś lepszy od innych. To dlatego Ganelon zaproponował ci to, co ci zaproponował. On poznaje takie rzeczy na pierwszy rzut oka. Miałam wielu przyjaciół szermierzy i przyglądałam się ich ćwiczeniom. Ty mógłbyś ich pociąć na kawałki. Ludzie mówią, że jesteś dobrym nauczycielem. Lubią cię, mimo że się ciebie boją.

- Dlaczego się boją? Bo jestem silny? Na świecie jest wielu silnych. Bo potrafię stać i wywijać mieczem przez dłuższy czas?

- Myślę, że jest w tym coś nadprzyrodzonego.

Roześmiałem się.

- Nie. Po prostu jestem drugim szermierzem w okolicy. Przepraszam, może trzecim. Ale staram się.

- Kto jest lepszy?

- Eryk z Amberu. Może.

- Kim on jest?

- Istotą nadprzyrodzoną.

- I on jest najlepszy?

- Nie.

- Więc kto?

- Benedykt z Amberu.

- Ten też jest istotą nadprzyrodzoną?

- Jeżeli jeszcze żyje, to tak.

- Jesteś dziwnym człowiekiem - oświadczyła. - Dlaczego? Powiedz. Czy też jesteś istotą nadprzyrodzoną?

- Napijmy się jeszcze wina.

- Uderzy mi do głowy.

- To dobrze.

Nalałem do kielichów.

- Wszyscy umrzemy - stwierdziła.

- W końcu tak.

- Ale tutaj, niedługo, walcząc z tym czymś.

- Dlaczego tak sądzisz?

- To jest zbyt silne.

- Więc dlaczego tu jesteś?

- Nie mam dokąd iść. Dlatego pytałam cię o Cabrę.

- I dlatego przysłaś tu wieczorem?

- Nie. Przyszłam, żeby się przekonać, jaki jesteś.

- Jestem atletą, który przerwał treningi. Czy tutaj się urodziłaś?

- Tak. W lasach.

- Dlaczego spotykasz się z tymi ludźmi?

- A dlaczego by nie? Zawsze to lepiej niż co tydzień czyścić obcasy ze świńskiej mierzwy.

- Nigdy nie miałaś swojego mężczyzny? Takiego na stałe?

- Tak. Nie żyje. To właśnie on znalazł... Magiczny Pierścień.

- Przepraszam.

- Nie ma powodu. Miał zwyczaj upijać się, kiedy tylko udało mu się pożyczyć lub ukraść dość pieniędzy. Potem wracał do domu i bił mnie. Cieszyłam się, kiedy spotkałam Ganelona.

- Więc uważasz, że to... ta rzecz jest zbyt silna? I że w walce z nią przegramy?

- Tak.

- Może masz rację. Ale uważam, że raczej się mylisz.

Wzruszyła ramionami.

- Czy będziesz walczył razem z nami?

- Boję się, że tak...

- Nikt nie wiedział na pewno. Powiedzieliby mi. To może być ciekawe. Chciałabym widzieć, jak

walczysz z kozłoludem.

- Dlaczego?

- Bo zdaje się, że on jest ich przywódcą. Gdybyś go zabił, mielibyśmy jakąś szansę. Może potrafisz tego dokonać.

- Muszę - powiedziałem.

- Masz jakieś specjalne powody?

- Tak.

- Osobiste?

- Tak.

- Powodzenia.

- Dzięki.

Dopiła swoje wino, więc znów napełniłem jej kielich.

- Wiem, że on jest istotą nadprzyrodzoną.

- Może byśmy zmienili temat?

- Dobrze. Ale zrobisz coś dla mnie?

- Tylko powiedz.

- Włóż jutro zbroję, weź kopię, dosiądź konia i wysadź z siodła Haralda, tego wielkiego oficera kawalerii.

- Dlaczego?

- Pobił mnie w zeszłym tygodniu tak, jak to robił Jarl. Zrobisz to dla mnie?

- Jasne.

- Naprawdę?

- Czemu nie? Możesz uważać go za wysadzonego.

Podeszła i przytuliła się do mnie.

- Kocham cię - powiedziała.

- Bzdura.

- No dobrze. A co powiesz na: lubię cię?

- To już lepiej. Ja...

Zimny, paraliżujący powiew dmuchnął mi w kark. Zesztywniałem i próbowałem oprzeć się temu, co miało nastąpić, całkowicie blokując swój umysł. Ktoś mnie szukał. Bez wątplenia był tu ktoś z rodu Amber i używał mojego Atutu czy czegoś w tym rodzaju. Tego uczucia nie można było pomylić z żadnym innym. Jeśli to był Eryk, to robił to lepiej, niż mógłbym się spodziewać. W końcu ostatnim razem, kiedy byliśmy w kontakcie, niemal mu wypaliłem mózg. Nie mógł to być Random, chyba że wydostał się z więzienia, w co trudno było uwierzyć. Julian i Caine mogli iść do diabła. Bleys prawdopodobnie nie żył. Być może Benedykt także. Pozostawali Gerard, Brand i nasze siostry. Z nich wszystkich jedynie Gerard mógł mi dobrze życzyć. Tak więc opierałem się odkryciu, i to z dobrym skutkiem. Zajęło mi to jakieś pięć minut, po których drżałem mokry od potu. Lorraine patrzyła na mnie dziwnie.

- Co się stało? - spytała. - Nie jesteś przecież pijany. Ja też nie.

- To tylko atak. Zdarzają mi się czasami - wyjaśniłem. - Taka choroba, którą złapałem na wyspach.

- Widziałam twarz - oświadczyła. - Może była na podłodze, a może tylko w mojej głowie... To był stary człowiek. Kołnierz jego szaty był zielony, a on sam bardzo podobny do ciebie. Tylko brodę miał siwą. Wtedy ją uderzyłem.

- Kłamiesz! Nie mogłaś...

- Mówię tylko, co widziałam! Nie bij mnie! Nie wiem, co to znaczyło! Kim on był?

- Myślę, że to był mój ojciec. Boże, to dziwne...

- Co się stało? - powtórzyła.

- Atak - stwierdziłem. - Kiedy mnie dopadnie, to ludziom wydaje się, że widzą mojego ojca, na ścianie albo na podłodze. Nie przejmuj się. To nie jest zaraźliwe.

- Bzdury - oświadczyła. - Oszukujesz mnie.

- Wiem. Ale zapomnij o tym, proszę cię.

- Dlaczego?

- Bo mnie lubisz - odparłem. - Pamiętasz? I dlatego, że jutro wysadzę z siodła Haralda.

- To prawda - przyznała.

Znowu zacząłem się trząść, więc zdjęła z łóżka koc i zarzuciła mi go na plecy. Podała wino, a ja wypilem. Potem usiadła obok i oparła mi głowę na ramieniu. Objąłem ją. Zaczął wyc piekielny wicher, usłyszałem szybki stukot kropelek deszczu, który przyszedł wraz z wiatrem. Przez chwilę zdawało mi się, że coś wali w okiennice. Lorraine skuliła się.

- Nie podoba mi się to, co dzieje się tej nocy - powiedziała.

- Mnie też nie. Idź i załóż sztabę na drzwi. Są tylko zaryglowane.

Zajęła się tym, a ja przesunąłem ławkę tak, by stała na wprost jednego okna w komnacie. Wyjąłem spod łóżka Grayswandira i wyciągnąłem go z pochwy. Potem wygasilem wszystkie światła prócz jednej świecy, stojącej na stoliku po mojej prawej ręce. Usiadłem z klingą na kolanach.

- Co robimy? - spytała Lorraine, siadając z lewej strony.

- Czekamy - odrzekłem.

- Na co?

- Nie jestem przekonany, ale ta noc z pewnością jest odpowiednia. Zadrzała i przysunęła się bliżej.

- Może będzie lepiej, jeśli sobie pójdziesz - zaproponowałem.

- Wiem - odparła. - Ale boję się wyjść. Potrafisz mnie obronić, jeśli tu zostanę, prawda?

Pokręciłem głową.

- Nie wiem nawet, czy siebie potrafię obronić.

Dotknęła Grayswandira.

- Jaki piękny miecz! Takiego nigdy nie widziałam.

- Nie ma drugiego takiego - wyjaśniłem. Za każdym moim poruszeniem światło inaczej padało na ostrze, tak że raz zdawało się pokryte nie ludzką krwią o pomarańczowym odcieniu, a raz leżało zimne i blade jak śnieg lub pierś kobiety, drżące, gdy ogarniał mnie chłód.

Zastanawiałem się, jak doszło do tego, że Lorraine podczas próby kontaktu zobaczyła coś, czego ja nie widziałem. Nie mogła przecież po prostu wymyślić czegoś takiego.

- W tobie też jest coś niezwykłego - powiedziałem.

Świeca zamigotała cztery czy pięć razy, zanim Lorraine się odezwała.

- Mam szczątkowy dar jasnowidzenia - powiedziała w końcu. - Moja matka była bardziej uzdolniona. Ludzie mówią, że babka była czarownicą. Ja się na tym nie znam. Zresztą niewielki to dar. Od lat już z niego nie korzystam. Zawsze w rezultacie tracę więcej, niż zyskuję.

- Co masz na myśli? - spytałem, kiedy umilkła.

- Rzuciłam urok, by zdobyć mojego pierwszego mężczyznę - wyjaśniła. - I sam widzisz, co z tego wynikło. Gdyby nie to, radziłabym sobie dużo lepiej. Chciałam mieć śliczną córeczkę i sprawiłam, że tak się stało...

Przerwała nagle i zrozumiałem, że płacze.

- O co chodzi? Nie rozumiem...

- Myślałam, że wiesz...

- Nie wiem o niczym.

- To ona była tą małą dziewczynką w Magicznym Kręgu. Myślałam, że wiesz...

- Przykro mi.

- Chciałabym utracić ten dar. Nie korzystam z niego. Ale on nie daje mi spokoju. Ciągłe zsyła mi sny i znaki, a one nigdy nie dotyczą spraw, na które mogłabym coś poradzić. Chciałabym, żeby mnie opuścił i dręczył kogo innego!

- To jedyna rzecz, Lorraine, której twój dar nie uczyni. Obawiam się, że otrzymałaś go na dobre.

- Skąd wiesz?

- Po prostu znałem kiedyś takich ludzi jak ty.

- Ty też masz podobne zdolności? Prawda?

- Mam.

- Więc czujesz, że tam, na zewnątrz coś jest?

- Tak.

- Ja także. Czy wiesz co ono robi?

- Szuka mnie.

- Tak, ja też to wyczuwam. Ale dlaczego!

- Może chce wypróbować moje siły. Ono wie, że tutaj jestem. A jeżeli jestem nowym sprzymierzeńcem Ganelona, to musi się zastanawiać, co sobą reprezentuję, co potrafię...

- Czy to sam rogaty?

- Nie wiem. Ale chyba nie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo jeśli naprawdę jestem tym, który może go zniszczyć, to bez sensu byłoby mnie szukać w twierdzy wroga, gdzie otacza mnie siła. Sądzę, że to któryś z jego pacholków próbuje mnie znaleźć. Może to duch mojego ojca... nie wiem. Ale jeśli sługa rogatego odszuka mnie i pozna moje imię, on będzie wiedział, jak ma się przygotować. Jeśli ów sługa znajdzie mnie i pokona, problem będzie rozwiązany. A jeśli ja zwyciężę, to on uzyska pewne informacje dotyczące moich możliwości. Zyska więc, jakkolwiek rzecz się ułoży. Po co więc miałby na tym etapie gry narażać własną rogatą czaszkę?

Czekaliśmy w spowitej mrokiem komnacie, a świeca wypalała minuty.

- Co miałaś na myśli - spytała - kiedy powiedziałeś, że jeśli cię odszuka i pozna twoje imię.. - Jakie imię?

- Imię tego, który z trudem tu dotarł - odrzekłem.

- Myślisz, że może znać cię skądś, w jakiś sposób?

- Myślę, że może - potwierdziłem.

Wtedy odsunęła się ode mnie.

- Nie bój się - powiedziałem. - Nie skrzywdzę cię.

- Boję się i skrzywdzisz mnie - oświadczyła. Wiem o tym. Ale chcę ciebie. Dlaczego tak jest?

- Nie wiem - odparłem.

- Tam, na zewnątrz, coś jest - powiedziała z odcieniem hysterii w głosie. - Jest blisko! Bardzo blisko! Słuchaj! Słuchaj!

- Zamknij się! - rzuciłem. Poczulem, jak chłód opada mi na kark i owija się wokół szyi. - Odejdź pod ścianę, za łóżko.

- Boję się ciemności - zaprotestowała.

- Odejdź, bo będę musiał cię ogłuszyć i zanieść. Zawadzasz mi tutaj.

Przez wycie wichru usłyszałem ciężkie uderzenie skrzydeł, a gdy Lorraine poruszyła się, by spełnić moje polecenie, coś zaczęło się drapać po murze. A potem spoglądałem w dwoje gorących, czerwonych ślepi, które wpatrywały się w moje oczy. Spuściłem wzrok. Stwór stał na występie muru za oknem i przyglądał mi się. Miał ponad sześć stóp wzrostu, a z czoła wyrastały mu wielkie rogi. Jego nagie ciało było barwy jednostajnie szaropopielatej. Wydawał się bezpłciowy, a jego wielkie błoniaste skrzydła rozciągały się daleko w noc. W prawej dłoni trzymał krótki, ciężki miecz; runy pokrywały całą klingę. Lewą ręką ścisnął kratę w oknie.

- Wejdz, ale na własne ryzyko - powiedziałem głośno i skierowałem ostrze Grayswandira w stronę jego piersi.

Zaśmiał się. Po prostu stał tam i chichotał. Próbował znów spojrzeć mi w oczy, ale nie pozwalałem mu na to. Gdyby mu się udało, poznałby mnie, jak poznał mnie tamten piekielny kot. Kiedy się odezwał, brzmiało to tak, jakby Fagot przemówił ludzkim głosem.

- Ty nim nie jesteś - powiedział. - Jesteś mniejszy i starszy. A jednak ta klinga... może należeć do niego. Kim jesteś?

- A kim ty jesteś? - spytałem.

- Strygalldwir, to moje imię. Zaklnij na nie, a pożrę twoje serce i wątrobę.

- Zakląć? Nie potrafiłbym tego imienia wymówić - oświadczyłem. - A moja marskość przyprawi cię o rozstrój żołądka. Odejdź.

- Kim jesteś? - powtórzył.

- Misli gammi gra'dil Strlygalldwir - powiedziałem, a on podskoczył, jakby przypalono mu piętę.

- Chcesz mnie odegnać tak prostym zaklęciem? - zapytał, gdy znowu przysiadł. - Nie należę do istot niższych.

- Zdaje się, że było ci trochę nieprzyjemnie.

- Kim jesteś? - zapytał znowu.

- Nie twój interes, robaczku. Biedroneczko, leć do nieba...

- Cztery razy muszę cię zapytać i cztery razy nie otrzymać odpowiedzi, nim będę mógł wejść i cię zabić. Kim jesteś?

- Nie - odparłem wstając. - Wejdz i spłoń!

Wtedy on wyrwał kratę, a wiatr, który wpadł wraz z nim do komnaty, zdmuchnął świecę. Rzuciłem się naprzód. Iskry trysnęły, gdy Grayswandir napotkał ciemne, pokryte runami ostrze. Starliśmy się i odskoczyłem. Moje oczy przyzwyczaiły się do półmroku i brak światła nie oślepił mnie. Stwór także widział w ciemności. Był silniejszy niż człowiek, ale ja również jestem silniejszy. Okrążyliśmy komnatę. Wokół nas wirował lodowaty wicher, a gdy znowu znaleźliśmy się przy oknie, w moją twarz uderzyły krople deszczu. Za pierwszym razem, kiedy go dosięgłem - długie cięcie przez pierś - nie wydał z siebie głosu, choć wokół brzegów rany zatańczyły maleńkie płomyki. Kiedy trafiłem go po raz drugi - wysoko w ramię - krzyknął, przeklinając mnie.

- Dzisiejszej nocy wyssam szpik z twoich kości! - zawołał. - Potem wysuszę je i przerobię na niezwykle instrumenty! A ile razy na nich zagram, tyle razy twój duch będzie się wił w bezcielesnej agonii!

- Ślicznie się palisz - odparłem.

Zwolnił na ułamek ukundy i w tym zobaczyłem swoją szansę. Odbiłem w bok ostrze ozdobione runami, a mój wypad był bez zarzutu. Celowałem w jego pierś. I trafiłem.

Zawył, ale nie upadł... Grayswandir, szarpnięty, wypadł mi z reki, a wokół rany wykwitły płomienie. Strygalldwir stał płonący. Potem postąpił krok w moją stronę, a ja chwyciłem małe

krzesło i trzymałem je niby tarczę.

- Nie mam serca tam, gdzie zwykli ludzie - powiedział.

Zaatakował, lecz zablokowałem cios, dźgając go w oko nogą krzesła. Odrzuciłem je, chwyciłem jego prawy nadgarstek, wykręciłem i z całej siły walnąłem go kantem dłoni w łokieć. Usłyszałem suchy trzask i runiczny miecz brzęknął o podłogę. Wtedy on uderzył mnie lewą ręką w głowę. Upadłem. Chciał skoczyć po broń, ale chwyciłem go za kostkę i szarpnąłem. Rozciągnął się jak długi, a ja podskoczyłem i złapałem go za gardło. Pochyliłem głowę na ramię opierając brodę o pierś. On starał się dosięgnąć mej twarzy palcami lewej dłoni. Gdy zaciskałem śmiertelny chwyt, poszukał spojrzeniem mych oczu. Tym razem nie unikałem jego wzroku. W głębi umysłu poczułem niewielki wstrząs - obaj wiedzieliśmy, że znamy prawdę.

- Ty! - zdołał wycharczeć, nim mocno skręciłem ręce i życie zgasło w czerwonych ślepiach.

Wstałem, oparłem mu nogę na piersi i wyszarpnąłem Grayswandira z rany. Stwór buchnął ogniem i płonął, póki nie została po nim jedynie wypalona plama na podłodze.

Wtedy nadeszła Lorraine. Objąłem ją, a ona poprosiła, żeby ją odprowadzić na kwaterę i do łóżka. Tak uczyniłem, ale nie robiliśmy nic, leżeliśmy tylko obok siebie, póki nie zasnęła płacząc. I tak poznałem Lorraine.

Lance, Ganelon i ja, konno, staliśmy na szczycie wzgórza, a przedpołudniowe słońce grzało nam karki. Patrzyliśmy w dół. Wygląd okolicy potwierdził to, czego już się domyślałem. Splątane gąszcze przypominały dolinę na południe od Amberu.

O mój ojcie! Cóż uczyniłem?! - krzyknąłem w duchu, lecz jedyną odpowiedzią był ciemny Krąg, rozciągający się dalej, niż sięgał wzrok. Przyglądałem mu się przez kratę przyłbicy, spopielonemu, wyniszczonemu i cuchnącemu zgnilizną. W ostatnich dniach nie zdejmowałem hełmu. Ludzie uważali to za pozę, lecz ranga dawała mi prawo do dziwactw. Nosiłem go już dwa tygodnie, od czasu walki ze Strygaldwirem. Włożyłem zaraz następnego ranka, zanim wysadziłem z siodła Haralda, dotrzymując obietnicy danej Lorraine. Rozrastałem się; uznałem więc, że lepiej będzie nie pokazywać twarzy.

Ważylem jakieś dziewięćdziesiąt kilo i czułem się jak za dawnych czasów. Gdyby udało mi się pomóc w sprzątaniu bałaganu w krainie zwanej Lorraine, wiedziałbym, że zyskałem przynajmniej możliwość spróbowania tego, czego pragnąłem najbardziej. A może i wygranej.

- Więc to jest to - powiedziałem. - Nie widzę, by gdzieś gromadziły się wojska.

- Chyba musimy pojechać dalej na północ - stwierdził Lance. - A i tak tylko w nocy zdołamy ich wypatrzeć.

- Jak daleko na północ?

- Trzy, cztery ligi. Nie trzymają się jednego miejsca.

Dwa dni jechaliśmy, by dotrzeć do Kręgu. Wcześniej tego ranka spotkaliśmy patrol. Powiedzieli nam, że każdej nocy wojska zbierały się wewnątrz, ćwiczyły i z nadejściem świtu odchodziły w głąb. Podobno wiecznie huczały nad nimi gromy i burza nie stawała ani na chwilę.

- Zanim ruszymy, zjedźmy śniadanie - zaproponowałem.

- Czemu nie? - zgodził się Ganelon. - Jestem głodny, a czasu mamy dość.

Zsiedliśmy więc z koni i zabraliśmy się do suszonego mięsa.

- Wciąż nie pojmuję, o w chodziło w tej wiadomości - powiedział Ganelon, kiedy już beknął, poklepał się po brzuchu i zapalił fajkę. - Czy on stanie z nami do decydującej bitwy, czy nie? I gdzie jest, jeżeli naprawdę zamierza nam pomóc? Dzień starcia zbliża się coraz bardziej.

- Zapomnij o nim - poradziłem. - To pewno był żart.

- Nie potrafię! - zawołał. - Niech to lichy! Cała ta sprawa jest więcej niż dziwna.

- O co chodzi? - spytał Lance i wtedy pojąłem, że Ganelon nic mu nie powiedział.

- Mój dawny suweren, lord Corwin, przysłał dziwną wieść - wyjaśnił Ganelon. - Przyniósł ją ptak. Píše w niej, że przybywa. Myślałem, że on nie żyje, ale napisał tę kartkę. Wciąż nie wiem, jak to rozumieć.

- Corwin? - upewnił się Lance, a ja wstrzymałem oddech. - Corwin z Amberu?

- Tak, z Amberu i z Avalonu.

- Zapomnij o tej wiadomości.

- Dlaczego?

- To człowiek bez bonoru i jego obietnice nic nie znaczą.

- Znasz go?

- Słyszałem o nim. Dawno temu władał tą krainą. Nie pamiętasz opowieści o władcy - demonie? To był właśnie on, Corwin, w czasach przed moim urodzeniem. Najlepszą rzeczą, jaką uczynił, była abdykacja i ucieczka, gdy opór stał się zbyt silny.

To była nieprawda!

A może?

Amber rzuca nieskończenie wiele Cieni, a mój Avalon - ze względu na moją tam obecność - także niemało. Mogę być znany w wielu miejscach, w których nie stanęła moja stopa, ponieważ przybywały tam moje cienie, w niedoskonały sposób kopiujące moje czyny i myśli.

- Nie - rzekł Ganelon. - Nigdy nie poświęcałem uwagi dawnym opowieściom. Ale zastanawiam się, czy tutejszy władca mógł być tym samym człowiekiem. To ciekawe.

- Był czarownikiem - oświadczył Lance.

- Ten, którego ja znałem, był nim na pewno - stwierdził Ganelon. - Wypędził mnie z krainy, której teraz ani magia, ani wiedza nie potrafią odnaleźć.

- Nigdy o tym nie mówiłeś - zdziwił się Lance. - Jak to się stało?

- Nie twoja sprawa - odparł Ganelon i Lance umilkł.

Wyjąłem swoją fajkę - dostałem ją dwa dni temu - i Lance zrobił to samo. Moja była z gliny, ciężko ciągnęła i szybko się grzała. Zapaliliśmy.

- No cóż, chytrze mnie podszedł - powiedział Ganelon. - Zapomnijmy o tym.

Nie zapomnieliśmy, oczywiście. Ale nie wracaliśmy do tego tematu. Gdyby nie ów mroczny obszar w pobliżu, byłoby całkiem przyjemnie leżeć tak i odpoczywać. Poczulem nagle, że ci dwaj są mi bliscy. Chciałem coś powiedzieć, ale niczego nie mogłem wymyślić. Ganelon rozwiązał mój problem, wracając do spraw bieżących.

- Więc proponujesz uderzyć na nich, zanim zdążą nas zaatakować? - zapytał.

- Zgadza się - potwierdziłem. - I przenieść wojnę na ich terytorium.

- Kłopot w tym, że to, jest rzeczywiście ich terytorium. Znają je lepiej od nas, a kto wie, jakie potęgi będą mogli tam przywołać na pomoc?

- Trzeba zabić rogatego, wtedy pójdą w rozsypkę.

- Może. A może i nie. Może zdołasz tego dokonać - zastanawiał się Ganelon. - Nie wiem, czy ja bym to potrafił, chyba że miałbym szczęście. On jest zbyt ważny, by łatwo dać się zabić. Wydaje mi się wprawdzie, że jestem tak samo dobry jak parę lat temu, ale niewykluczone - że oszukuję sam siebie. Może zmiękłem. Do diabła, nigdy nie chciałem przyjąć tej siedzącej pracy!

- Wiem - stwierdziłem.

- Wiem - powiedział Lance.

- Lance - zapytał Ganelon - czy sądzisz, że powinniśmy działać tak, jak proponuje nam przyjaciel? Powinniśmy atakować?

Mógł wzruszyć ramionami i wykręcić się, ale nie zrobił tego.

- Tak - oświadczył. - Ostatnim razem prawie nas dostali. Owej nocy, gdy zginął król Uther, niewiele już brakowało. Jeśli nie uderzymy na nich teraz, to czuję, że następnym razem mogą nas załatwić. Och, nie będzie im łatwo i na pewno solidnie ich wyszczerbimy. Ale może im się udać. Trzeba teraz zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia, a po powrocie wziąć się do planowania ataku.

- Dobrze - zgodził się Ganelon. - Ja też mam dość czekania. Jak wrócimy, powiedz mi to jeszcze raz, a postąpię tak, jak radzisz.

I tak też zrobiliśmy.

Po południu pojechaliśmy na północ, ukryliśmy się wśród wzgórz i obserwowaliśmy Krąg. Po tamtej stronie granicy oni ćwiczyli i odprawiali swe obrzędy. Siły ich oceniłem na cztery tysiące żołnierzy. My mieliśmy dwa i pół tysiąca. Z nimi były jeszcze różne niezwykle, latające, skaczące i pełzające stwory, które hałasowały w ciemnościach. Z nimi - nasze mężne serca. Otóż to.

Potrzebowałem jedynie kilku minut sam na sam z ich przywódcą. Wtedy wszystko się rozstrzygnie, tak czy inaczej. Wszystko. Nie mogłem tego powiedzieć swoim towarzyszom, ale taka była prawda. Widzicie, to ja byłem odpowiedzialny za cały ten Krąg. Ja go stworzyłem i do mnie należało jego zniszczenie.

Jeżeli potrafię to uczynić.

Bałem się, że nie potrafię.

W wybuchu pasji, spowodowanej wściekłością, bólem i zgrozą, spuściłem tę rzecz z uwięzi, a ona teraz odbijała się cieniem na każdej istniejącej ziemi. Taka jest moc klątwy księcia Amberu.

Obserwowaliśmy ich, Strażników Kręgu, przez całą noc, by odjechać o świcie.

Decyzja bamała: atakować!

Przez całą drogę powrotną nic nas nie ścigało. Wróciliśmy do Twierdzy Ganelona i usiedliśmy do planów.

Żołnierze byli gotowi, może nawet za bardzo. Postanowiliśmy uderzyć przed upływem dwóch tygodni.

Leżąc obok Lorraine opowiedziałem jej o wszystkim. Czulem, że powinna wiedzieć. Posiadałem wystarczającą moc, by ukryć ją gdzieś w Cieniu - natychmiast, jeszcze tej nocy, gdyby się tylko zgodziła.

Odmówiła.

- Zostanę z tobą - powiedziała.

- Jak chcesz.

Nie mówiłem jej o swoim przekonaniu, że wszystko jest w moich rękach. Miałem jednak uczucie, że wie o tym i z jakichś powodów ufa mi. Ja bym nie ufał. Ale to w końcu jej sprawa.

- Wiesz, co może się zdarzyć - powiedziałem.

- Wiem - odpowiedziała i czulem, że wie naprawdę.

I to było to.

Potem zajęliśmy się innymi sprawami, by w końcu zasnąć.

Miała sen.

- Miałam sen - powiedziała mi rano.

- O czym?
 - O nadchodzącej bitwie - wyjaśniła. - Widziałam ciebie, jak walczysz z rogatym.
 - Kto zwyciężał?
 - Nie wiem. Ale gdy spałeś, zrobiłeś coś, co może ci pomóc.
 - Wolałbym, żebyś dała sobie z tym spokój - odparłem. - Potrafię sam o siebie zadbać.
 - A potem śniłam o własnej śmierci.
 - Pozwól mi zabrać cię do pewnego miejsca, które znam.
 - Nie. Moje miejsce jest tutaj.
 - Nie twierdzą, że jesteś moją własnością - przekonywałem ją. - Ale potrafię uchronić cię przed tym, co ci się śniło. Uwierz mi, jest to w mojej mocy.
 - Wierzę ci, ale nie pójdę.
 - Jesteś cholerną idiotką.
 - Pozwól mi zostać.
 - Jak chcesz... Posłuchaj, mogę cię posłać nawet do Cabry.
 - Nie.
 - Jesteś idiotką.
 - Wiem. Kocham cię.
 - I do tego głupią. To słowo brzmi "lubię", pamiętasz?
 - Dokonasz tego - powiedziała z przekonaniem.
 - Idź do diabła.
- Wtedy zaszlochała i łkała, póki znów jej nie pocieszyłem.
Taka była Lorraine.

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 03

Rankiem zacząłem wspominać wszystko, co przeminęło. Myślałem o moich braciach i siostrach, jakby byli kartami do gry, co było niesłuszne. Wspominałem klinikę, w której się obudziłem, bitwę o Amber i przejście przez Worzec w Rebmie. Wspominałem dni z Moire, która teraz mogła już należeć do Eryka. Wspominałem Bleysa i Randoma, Deirdre, Caine'a, Gerarda i samego Eryka. Był to poranek dnia bitwy i staliśmy obozem w pobliżu Kręgu. Po drodze kilkakrotnie nas atakowano, były to jednak drobne potyczki. Dotarliśmy do planowanego miejsca, rozbiliśmy obóz, wystawiliśmy strażę i poszliśmy spać. Noc minęła spokojnie. Zbudziłem się i zacząłem rozważać, czy moje siostry i bracia myślą o mnie tak, jak ja o nich. Nie był to wesoły temat.

Ukryty w niewielkim zagajniku napełniłem hełm wodą z mydłem i zgoliłem brodę. Potem powoli włożyłem moje własne podarte ubranie. Byłem twardy jak skała, smagły jak ziemia i raz jeszcze ostry jak sam diabeł. Dzisiejszy dzień miał zadecydować. Założyłem hełm i kolczugę, zapiąłem pas i przywiesiłem u boku Grayswandira. Okryłem się płaszczem, który spiąłem pod szyją srebrną różą. Wtedy znalazł mnie goniec z wiadomością, że wszystko już prawie gotowe.

Pocałowałem Lorraine - uparła się, by z nami jechać - dosiadłem konia, deresza o imieniu Gwiazda, i ruszyłem naprzód, w stronę pierwszej linii. Ganelon i Lance już na mnie czekali.

- Jesteśmy gotowi - poinformowali.

Wezwałem swoich oficerów i wydałem im rozkazy.

Zasalutowali i odjechali.

- Już wkrótce - powiedział Lance, zapalając fajkę.

- Jak twoje ramię?

- Teraz już dobrze - odrzekł. - Po tym masażu, który zaaplikowałeś mi wczoraj, zupełnie dobrze.

Odchyliłem przyłbicę i także zapaliłem fajkę.

- Zgoliłeś brodę - zdziwił się Lance. - Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie bez niej.

- Hełm lepiej leży - wyjaśniłem.

- Niech szczęście sprzyja nam wszystkim - rzekł Ganelon. - Nie znam żadnych bogów, ale jeśli

jacyś zechcą nam pomóc, to będę im wdzięczny.

- Jest tylko jeden Bóg - stwierdził Lance. - Modlę się, by był dzisiaj z nami.

- Amen - dodał Ganelon. - Za dzisiejszy dzień.

- Będzie nasz - oświadczył Lance.

- Na pewno - zgodziłem się. Słoneczny blask rozjaśnił niebo na wschodzie, a śpiew ptaków

wypełnił powietrze. - Sprawiał takie wrażenie.

Dopalaliśmy fajek. Potem podopinaliśmy paski przy zbrojach.

- Bierzmy się do robory - powiedział Ganelon.

Moi oficerowie zdali raporty: oddziały były gotowe.

Zjechaliśmy ze wzgórza i stanęliśmy w szyku na granicy Kręgu. W jego wnętrzu nie było widać żadnego ruchu, żadnego wrogiego żołnierza.

- Myślę o Corwinie - odezwał się Ganelon.

- Jest z nami - zapewniłem, a on spojrzał na mnie dziwnie. Zdaje się, że dopiero teraz zauważył moją różę.

Skinął głową.

- Lance - polecił, gdy wojsko było gotowe. - Wydadaj rozkaz.

I Lance uniósł miecz.

- Naprzód! - krzyknął, a echa odpowiedziały mu ze wszystkich stron.

Zanim cokolwiek się zdarzyło, wjechaliśmy już pół mili w głąb Kręgu. Było nas pięciuset na przodzie, wszyscy konno. Zjawiała się czarna kawaleria i starliśmy się z nią. Po pięciu minutach rozpierzchli się, a my jechaliśmy dalej.

Wtedy usłyszeliśmy grom. Błysnęło, zaczął padać deszcz. W końcu rozszalała się burza. Wąski szyk pieszych, głównie pikinierów, zagroził nam drogę. Ze stoickim spokojem oczekiwali starcia. Wszyscy chyba przeczuwaliśmy zasadzkę, lecz ruszyliśmy na nich. Wtedy kawaleria runęła na nasze skrzydła. Wykonaliśmy zwrot i walka zaczęła się na serio.

To było może dwadzieścia minut później... Trzymaliśmy się czekając, aż nadciągną główne siły. A potem dwustu z nas, mniej więcej, pojechało dalej...

Ludzie. To ludzi zabijaliśmy i oni nas zabijali - ludzie z szarymi twarzami i ponurymi minami. Ludzie. Chciałem więcej. Jednego więcej...

Musiał ich męczyć na pół metafizyczny problem organizacji tyłów. Ilu można przepchnąć przez Bramę? Nie byłem pewien. Już wkrótce...

Wyjechaliśmy na wzniesienie. Daleko przed nami, w dole, wznosiła się czarna cytadela.

Uniosłem miecz.

Zaatakowali, gdy zjeżdżaliśmy w dół. Syczeli, krakali, trzepali. Byli dla mnie znakiem, że zaczyna im brakować ludzi. Grayswandir stał się płomieniem w mej dłoni, błyskawicą, śmiertcioną jak krzesło elektryczne. Zabijałem ich tak szybko, jak się pojawiali, a oni płonęli

konając. Po prawej stronie Lance kreślił podobną ścieżkę chaosu i mruczał coś pod nosem. Pewnie modlitwę za zmarłych. Po lewej kosił Ganelon, a fala ognia biegła za ogonem jego konia. Cytadela rosła w rozbłyskach piorunów.

Mniej więcej setka naszych pognała naprzód, a okropieństwa odpadły na boki.

Gdy dotarliśmy do bramy, czekała na nas piechota ludzi i bestii. Zaatakowaliśmy.

Przewyższali nas liczbą, toteż nie mieliśmy wyboru.

Może za bardzo wyprzedzaliśmy własną piechotę. Chyba jednak nie - według mojego rozeznania jedynie czas się teraz liczył.

- Muszę przejść! - krzyknąłem. - On jest w środku!

- Jest mój! - sprzeciwił się Lance.

- Obaj znajdziecie robotę! - orzekł Ganelon kładąc wokół siebie wał trupów. - Skaczcie, kiedy tylko będzie można! Jestem z wami!

Zabijaliśmy, zabijaliśmy, zabijaliśmy, a potem karta odwróciła się na ich korzyść, ścisnęli nas - wszystkie te paskudne, mniej lub bardziej człekopodobne stwory wymieszane z żołnierzami ludźmi. Zbici w ciasny krąg odpieraliśmy ataki ze wszystkich stron, gdy nadciągnęła nasza wymęczona piechota i zaczęła rzeź. Raz jeszcze ruszyliśmy na Bramę i tym razem przebiliśmy się. Wszyscy - czterdziestu czy pięćdziesięciu.

Przedarliśmy się, a na dziedzińcu stali żołnierze, których trzeba było wybić.

Było nas mniej więcej dziesięciu, którzyśmy dotarli do stóp czarnej wieży, gdzie czekała ostatnia grupa straży.

- Idź! - ryknął Ganelon, gdy zeskakiwaliśmy z koni i brnęliśmy w ich stronę.

- Idź! - krzyknął Lance.

Sądzę, że obu im chodziło o mnie. A może o siebie nawzajem? Uznałem, że wołali do mnie. Wyrwałem się z zamieszania i pogałem po schodach w górę. Wiedziałem, że znajdę go tam w najwyższej wieży, i że będę musiał spotkać się z nim i go pokonać. Nie byłem pewny, czy dam radę, ale musiałem spróbować, gdyż tylko ja zdawałem sobie sprawę, skąd naprawdę przybył... i to właśnie ja go sprowadziłem.

Dopałem ciężkich drewnianych drzwi u szczytu schodów. Pchnąłem je, te były zamknięte. Wtedy kopnąłem w nie tak mocno, jak tylko potrafiłem.

Runęły z trzaskiem.

Zobaczyłem go przy oknie: ludzkie z pozoru ciało, okryte lekką zbroją i kozią głowę na potężnych barach.

Przekroczyłem próg i zatrzymałem się.

Gdy padły drzwi, obejrzał się, a teraz przez stał w przyłbicy starał się znaleźć moje spojrzenie.

- Zbyt daleko doszedłeś, śmiertelniku - oświadczył. - Ale czy naprawdę jesteś śmiertelnikiem?

- Zapytaj Strygalldwira - odparłem.

- To ty go zabiłeś - stwierdził. - Czy poznał twoje imię?

- Może.

Usłyszałem kroki na schodach. Odstąpiłem od drzwi.

Ganelon wbiegł do komnaty. Krzyknąłem: "Stój!", a on posłuchał. Obejrzał się na mnie.

- To ten stwór - powiedział. - Co to jest?

- To mój grzech przeciw temu, co kochałem - odrzekłem. - Nie zbliżaj się. Jest mój.

- Proszę cię uprzejmie.

Stał, nieruchomy jak pień.

- Czy to prawda? - zapytał stwór.

- Sprawdź - odparłem i skoczyłem do przodu.

Nie próbował zasłony. Zamiast tego zrobił coś, co każdy zwykły szermierz uznałby za głupotę: cisnął we mnie swój miecz ostrzem naprzód, niby błyskawicę, świsnęło rozcinane powietrze, a żywioły na zewnątrz odpowiedziały ogłuszającym echem. Odbiłem ostrze Grayswandirem tak, jakby to było normalne pchnięcie. Miecz wbił się w podłogę i buchnął płomieniem. Z zewnątrz odpowiedziała błyskawica. Przez moment światło oślepiło jak błysk magnezji, i w tej właśnie chwili stwór dopadł mnie. Przycisnął mi ręce do boków, a rogami uderzył w przyłbicę, raz, drugi...

A potem - wkładając w to całą swą siłę - zacząłem uwalniać ręce i jednym szarpnięciem wyrwałem się z uścisku.

W tej właśnie chwili nasze oczy spotkały się. Obaj zadaliśmy ciosy i obaj cofnęliśmy się chwiejnie.

- Lordzie Amberu - powiedział. - Dlaczego ze mną watezysz? Ty dałeś nam to przejście, tę drogę...

- Żałuję mego nierozważnego czynu i próbuję go odwrócić.

- Za późno... i w dziwnym miejscu zacząłeś.

Uderzył znowu, tak szybko, że przedostał się przez moją gardę. Cios rzucił mnie na ścianę - jego prędkość była śmiertelnie groźna.

Podniósł rękę i uczynił znak, a na mnie spłynęła wizja Dworców Chaosu - wizja, od której zjeżyły mi się włosy na głowie, a zimny wiatr dmuchnął mi w duszę, bym wiedział, co uczyniłem.

- Widzisz? - mówił. - To ty otworzyłeś nam Bramę. Pomóż nam teraz, a przywrócimy ci to, co do ciebie należy.

Ogarnęła mnie rozterka. Możliwe, że potrafiłby dokonać tego, co mi zaproponował, gdybym mu teraz pomógł. Pozostałby jednak wiecznym zagrożeniem. Krótkotrwali sprzymierzeńcy, skoczylibyśmy sobie do gardła, gdyby tylko każdy z nas otrzymał to, czego pragnął. I moce ciemności byłyby wtedy o wiele silniejsze. Jeślibym jednak miał wtedy miasto...

- Umowa stoi? - usłyszałem ostry, beklawy głos.

Pomyślałem o Cieniach i o miejscach poza Cieniem. Powoli podniosłem rękę i odpiąłem hełm. A potem cisnąłem go, dokładnie w chwili, kiedy stwór zdawał się rozluźniać. Sądzę, że Ganelon musiał wtedy biec ku nam.

Skoczyłem do przodu i przycisnąłem rogatego do ściany.

- Nie! - krzyknąłem.

Ludzkie ręce stwora trafiły do mego gardła mniej więcej w tym samym momencie, kiedy zacisnąłem palce na jego krtani, ścisnąłem z całej siły i przekręciłem. Chyba zrobił to samo. Usłyszałem, że coś pęka z trzaskiem, niby suchy patyk. Nie wiedziałem, czyj to kark się złamał. Mój bolał na pewno.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem niebo. Leżałem na wznak, na kocu, na ziemi.

- Obawiam się, że wyżyje - powiedział Ganelon.

Wolno odwróciłem głowę w kierunku, skąd dochodził głos. Ganelon siedział na skraju koca z mieczem na kolanach. Była przy nim Lorraine.

- Jak leci? - spytałem.

- Zwyciężyliśmy - poinformował. - Dotrzymałeś słowa. Kiedy zabiłeś tego stwora, wrzystko się skończyło. Ludzie padli bez zmysłów, a bestie spłonęły.

- Dobrze.

- Siedziałem tu i zastanawiałem się, czemu przestałem cię nienawidzić.

- Doszedłeś do jakichś wniosków?

- Nie, właśnie nie. Może dlatego, że jesteśmy do siebie podobni. Nie wiem.

Uśmiechnąłem się do Lorraine.

- Cieszę się, że w sprawach przepowiedni nie jesteś zbyt dobra. Bitwa skończona, a ty wciąż żyjesz.

- Śmierć już się zaczęła - odparła bez uśmiechu.

- Co masz na myśli?

- Wciąż żyje pamięć o tym, jak lord Corwin skazał na śmierć mojego dziada, jak kazał wlec go końmi i publicznie poćwiartować za to, że dowodził jednym z wcześniejszych powstań przeciw niemu.

- To nie byłem ja - powiedziałem. - To był jeden z moich cieni.

Ona jednak pokręciła głową.

- Jesteś kim jesteś, Corwinie z Amberu - oświadczyła, po czym wstała i odeszła.

- Co to było? - zapytał Ganełon, ignorując naszą rozmowę. - Czym był ten stwór w wieży?

- Był mój - odparłem. - Był jedną z rzeczy, które uwolniłem rzucając klątwę na Amber. Otworzyłem wtedy drogę do rzeczywistego świata wszystkiemu, co leży poza Cieniem. I to wszystko podąża po linii najmniejszego oporu, przez Cienie, do Amberu. Tutaj tą drogą był Krąg. Gdzie indziej może to być coś innego. Zamknąłem przejście tędy. Możecie teraz odpocząć.

- Czy po to przybyłeś?

- Nie - wyjaśniłem. - Niezupełnie. Przechodziłem tędy w drodze do Avalonu i znalazłem Lance'a. Nie mogłem go tam zostawić, a kiedy doniosłem go do was, zostałem wplątany w to moje dzieło.

- Do Avalonu? Więc kłamałeś, gdy mówiłeś, że został zniszczony?

Pokręciłem głową.

To nie tak. Nasz Avalon padł, ale w Cieniu mogę raz jeszcze znaleźć taki sam.

- Zabierz mnie ze sobą.

- Zwariowałeś?

- Nie. Chcę popatrzeć jeszcze na kraj, w którym się urodziłem. Bez względu na ryzyko.

- Nie jadę, by tam zamieszkać - wyjaśniłem. - Jadę, by uzbroić się do walki. W Avalonie znany jest pewien różowy proszek, którego używają jubilerzy. Kiedyś spaliłem go w Amberze. Chcę tam teraz dotrzeć tylko po to, żeby go znaleźć. A potem załatwić karabiny. Wtedy będę mógł zdobyć Amber i odzyskać tron, który do mnie należy.

- A co z tymi rzeczami spoza Cienia, o których mówiłeś?

- Zajmę się nimi później. A gdybym i tym razem miał przegrać, to będzie problemem Eryka.

- Mówiłeś, że cię oślepił i wrzucił do lochu.

- To prawda. Wyrosły mi nowe oczy.

- Naprawdę jesteś demonem.

- Często tak mówią. Przestałem już zaprzeczać.

- Zabierzesz mnie ze sobą?

- Jeśli naprawdę chcesz... Ale to nie będzie ten sam Avalon, który znałeś.

- Do Amberu!

- Naprawdę zwariowałeś!

- Wcale nie. Dawno już chciałem zobaczyć to legendarne miasto. Kiedy znów spojrzę na Avalon, będę szukał czegoś nowego, czym mógłbym się zająć. Czy nie byłem dobrym generałem?

- To prawda.

- Więc opowiesz mi o tych rzeczach, które nazywasz karabinami, a ja pomogę ci w największej z bitew. Wiem, że niewiele już lat mi pozostało. Zabierz mnie z sobą.

- Twoje kości mogą bieleć u stóp Kolviru, obok moich.
- Która z bitew jest pewna? Zaryzykuję.
- Jak chcesz. Możesz jechać.
- Dzięki, lordzie.

Obozowaliśmy tam owej nocy, a rankiem wróciliśmy do twierdzy. Zacząłem szukać Lorraine i dowiedziałem się, że odjechała z jednym ze swych byłych kochanków, oficerem o imieniu Melkin. Była zdenerwowana, lecz miałem jej za złe, że nie pozwoliła mi na wyjaśnienie pewnych spraw, które знаła jedynie z plotek. Postanowiłem ruszyć za nimi.

Dosiadłem Gwiazdy, zwróciłem swój sztywny kark w stronę, w którą prawdopodobnie odjechali, i ruszyłem.

W pewnym sensie trudno było mieć pretensje do Lorraine. W twierdzy, jako zabójca rogatego, nie zostałem przyjęty tak, jak witano by kogoś innego. Wśród ludzi wciąż krążyły historie o ich Corwinie, a każda z etykietą demona. Ci, z którymi pracowałem, obok których walczyłem, teraz rzucali mi spojrzenia wyrażające coś więcej niż lęk - krótkie spojrzenia, gdyż szybko spuszczały wzrok lub kierowali go gdzie indziej. Może się bali, że zechcę pozostać i rządzić. Wszyscy chyba poczuli ulgę, kiedy ruszyłem w drogę. Oprócz Ganelona - bał się pewnie, że wbrew obietnicy nie wrócę po niego. Dlatego, sądzę, zaproponował, że pojedzie ze mną. Jednak te sprawy musiałem załatwić sam. Lorraine zaczęła wiele dla mnie znaczyć, co odkryłem ze zdziwieniem. Zdałem sobie sprawę, że to, co zrobiła, sprawia mi ból. Zanim poszła swoją drogą, powinna mnie wysłuchać. Potem, jeśli dalej będzie wolała swego prostego kapitana, mogę im błogosławić. Jeżeli nie... Pojąłem, że chcę, by była przy mnie. Avalon musiał poczekać, aż rozwiąże się sprawa rozstania lub kontynuacji.

Jechałem za nimi, a wokół mnie w koronach drzew śpiewały ptaki. Dzień był piękny, niebiańsko - błękitnie, zielono - drzewnie spokojny - groźba nie wisiła już nad tą ziemią.

Czułem w sercu coś w rodzaju radości, gdyż udało mi się zniszczyć przynajmniej część zła, które uczyniłem. Zła?

Do diabła, miałem go na koncie więcej niż większość ludzi. Gdzieś po drodze odkryłem jednak sumienie i teraz pozwalałem mu cieszyć się jedną z rzadkich chwil satysfakcji. Kiedy zdobędę Amber, dam mu więcej swobody.

Ha!

Kierowałem się na północ, przez nie znany mi teren. Jechałem szlakiem, na którym wyraźnie było widać ślady przejazdu pary jeźdźców. Goniłem ich cały dzień, o zmroku i wieczorem, co pewien czas zsiadając z konia, by zbadać trop. W końcu wzrok zaczął mi płatać figle, więc wyszukałem niewielką kotlinę - paręset metrów w lewo od drogi - i rozbiłem obóz.

To pewnie ból w karku sprowadził na mnie sny o rogatym i kazał na nowo przeżywać bitwę. Pomóż nam teraz, a przywrócimy ci to, co do ciebie należy - powiedział. W tym miejscu zbudziłem się z przekięstwem na ustach.

Gdy świt rozjaśnił niebo, dosiadłem konia i ruszyłem dalej. Noc była zimna i dzień ciągle trzymał mnie w mroźnym uścisku. Szron błyszczał na źdźbłach trawy, a mój płaszcz nasiąkł wilgocią, gdyż użyłem go zamiast śpiwora. Koło południa trochę ciepła wróciło na świat.

Trop był świeży - doganiałem ich.

Kiedy ją znalazłem, zeskoczyłem z konia i pobiegłem do miejsca, gdzie leżała, pod krzakiem dzikiej róży bez kwiatów. Ciernie podrapały jej policzki i ramię. Nie żyła, lecz od niedawna, gdyż krew nie zakrzepła na piersi, gdzie uderzyło ostrze, a ciało było jeszcze ciepłe. Zabrał wszystkie pierścionki i wysadzane klejnotami grzebienie, w których zawarła swój majątek.

Nie było kamieni, z których mógłbym usypać kopiec. Wyciąłem Grayswandirem płat darni i tam złożyłem ją na spoczynek. Nim przykryłem ją swoim płaszczem, musiałem zamknąć jej oczy. Dłoń mi drżała i wzrok miałem zamglony. Stałem tam długo...

Pojechałem dalej i niewiele czasu minęło, nim go dopędziłem. Gnał, jakby był ścigany przez demona. I był. Nie wyrzekłem ani słowa, kiedy zrzuciłem go z konia. Ani potem. I nie użyłem miecza, choć on wyciągnął swój.

Cisnąłem jego pogruchotane ciało na wysoki dąb, a kiedy po chwili obejrzałem się, było czarne od ptaków.

Włożyłem na nią jej pierścionki, jej bransotety, jej grzebienie. Potem zasypałem grób - i to była Lorraine. Wszystko, czym była i czego pragnęła, skończyło się tutaj.

I to już cała historia o tym, jak się spotkaliśmy i rozstaliśmy, Lorraine i ja, w krainie zwanej Lorraine.

Wydaje się, że jest taka, jak całe moje życie, gdyż księżę Amberu jest częścią i uczestnikiem całego zepsucia, jakie istnieje na świecie. To właśnie dlatego ilekroć mówię o swoim sumieniu, coś wewnątrz mnie musi odpowiedzieć "Ha!" W zwierciadłach tak wielu osądów moje ręce mają kolor krwi. Jestem częścią zła istniejącego na świecie i w Cieniu. Czasem wyobrażam sobie, że jestem złem, które ma niszczyć inne zło. Zabijam Melkinów, kiedy ich znajduję, a gdy nadejdzie Wielki Dzień, o którym mówią prorocy, lecz w który naprawdę nie wierzą, gdy świat będzie całkiem oczyszczony ze zła, wtedy ja także odejdę w ciemność, połykając przekleństwa. A może nawet wcześniej. Do tego czasu jednak nie umyję rąk i nie pozwolę, by zwiślały beczynnienie.

Zawróciłem do Twierdzy Ganelona, który wiedział, lecz który nigdy by nie zrozumiał.

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 04

Dalej, wciąż dalej jechaliśmy z Ganelonem przedziwnymi dzikimi drogami wiodącymi do Avalonu, alejami marzeń i koszmarów, pod mosiężną barkentyną słońca i rozpalonymi białymi wyspami nocy, póki nie zmieniły się w diamentowe i złote odpryski, gdzie księżyc pływał jak łabędź. Dzień wydzwonił zielen wiosny, przebyliśmy rzekę i noc zmroziła góry pod nami. Wpuściłem w mrok strzałę mego pragnienia, a ona rozbłysła nam nad głowami i niby meteor rozplomieniła niebo. Jedyne smok, jakiego napotkaliśmy, był kulawy i kuśtykając skrył się szybko, osmaliwszy stokrotki swoim sapaniem. Klucze barwnych ptaków wskazywały nam kierunek, a kryształowe głosy z jeziora powtarzały echem nasze słowa, śpiewałem jadąc, a po pewnym czasie Ganelon przyłączył się do mnie. Byliśmy w drodze już ponad tydzień, a ziemia, niebo i wiatr mówiły mi, że jesteśmy niedaleko Avalonu.

Rozbiliśmy obóz w lesie, nad jeziorem, gdzie słońce wśliznęło się za skały, a dzień skończył się przeminał. Poszedłem się wykapać, a Ganelon wypakowywał nasze rzeczy. Woda była zimna i orzeźwiająca. Chlapałem się długo.

W kąpieli zdawało mi się, że słyszę jakieś krzyki, ale nie byłem pewien. To był dziwny las, więc nie przejmowałem się zbytnio. Mimo to ubrałem się i ruszyłem do obozu.

Po drodze znów usłyszałem jakiś głos, jękliwy i proszący. Zbliżywszy się zobaczyłem, że rozmowa już trwa.

Ganelon siedział po turecku pod dębem. Nasze rzeczy leżały porozrzucane, na środku polany zauważyłem trochę drewna na ognisko. Na drzewie wisiał człowiek.

Był młody, o jasnych włosach i jasnej cerze. Poza tym trudno było cokolwiek powiedzieć. Niełatwo jest - właśnie to odczułem - rozpoznać rysy i wzrost tego, kto wisi głową w dół kilka stóp od ziemi.

Miał związane na plecach ręce i zwisał z niskiego konara na linie zapętłonej wokół lewej kostki. Mówił - krótkimi, urywanymi zdaniami odpowiadał na pytania Ganelona - a jego twarz była mokra od śliny i potu.

Nie wisiał nieruchomo, lecz kołysał się w przód i w tył.

Miał obtarty policzek i kilka plamek krwi na koszuli.

Zatrzymałem się. Postanowiłem na razie się nie wtrącać. Obserwowałem. Ganelon nie postąpiłby z nim w ten sposób bez powodu, więc sympatia dla chłopaka zbytnio mi nie ciążyła. Poza tym, cokolwiek skłoniło Ganelona do takiego przesłuchania, wiedziałem, że uzyskane informacje mnie też zainteresują. Byłem też ciekaw wszystkiego, a ta sesja mogła mi powiedzieć o samym Ganelonie, będącym teraz czymś w rodzaju sprzymierzeńca. A dodatkowe kilka minut do góry nogami nie mogło spowodować większych szkód.

Więzień znieruchomiał. Ganelon dotknął mieczem jego piersi i silnym pchnięciem rozhuśtał znowu. Stał rozcięta lekko skórę i na koszuli pojawiła się kolejna czerwona plamka. Chłopak krzyknął. Teraz wyraźnie widziałem, że był młody. Ganelon wysunął ostrze o kilka cali poza punkt, w którym przy powrotnym wahaniu znalazłaby się krtań jeńca. Cofnął je w ostatniej chwili i zachichotał, kiedy tamten zwinął się i krzyknął:

- Błagam!

- Dalej! - rozkazał Ganelon. - Powiedz wszystko.

- To jest wszystko! - zawołał więzień. - Nic więcej nie wiem.

- Dlaczego nie?

- Wyprzedzili mnie! Nic nie widziałem!

- Dlaczego nie ruszyłeś za nimi?

- Byli konno, a ja na piechotę.

- Dlaczego nie ruszyłeś za nimi pieszo?

- Byłem oszołomiony.

- Oszołomiony? Byłeś przerażony! Zdezercerowałeś!

- Nie!

Ganelon znowu wysunął ostrze i cofnął je w ostatniej chwili.

- Nie! - wrzasnął młodzik.

Ganelon poruszył mieczem.

- Tak! - krzyknął chłopak. - Bałem się!

- I uciekłeś.

- Tak! Biegiem! Ciągle uciekam, odkąd...

- I nie wiesz, jak później potoczyły się sprawy?

- Nie.

- Kłamiesz! - Znowu sięgnął do miecza.

- Nie! - jęknął chłopiec. - Błagam..

Zbliżyłem się.

- Ganelonie - powiedziałem.

Spojrzał na mnie, wyszczerzył zęby i odłożył miecz. Chłopiec starał się pochwycić moje

spojrzenie.

- Cóż my tu mamy? - spytałem.

- Ha! - zawołał klepiąc chłopaka po wewnętrznej stronie uda tak mocno, że tamten krzyknął. - Złodzieja i dezertera, ale z ciekawą historią do opowiadania.

- Więc odetnij go i pozwól mi posłuchać - poleciłem.

Ganelon odwrócił się i jednym ciosem miecza odciął linę. Chłopak upadł na ziemię i zaszlochał.

- Złapałem go, jak próbował ukraść nasze zapasy, i pomyślałem, że trochę go przepytam - wyjaśnił Ganelon. - Przybył z Avalonu, i to raczej szybko.

- Co to znaczy?

- Był piechurzem podczas bitwy, która rozegrała się dwie noce temu. W walce okazał się tchórzem i zdezerterował.

Chłopak próbował wykrztusić jakieś zaprzeczenie, więc Ganelon kopnął go.

- Cisz! - rozkazał. - Ja teraz mówię... tak jak mi opowiadałeś!

Chłopiec jak krab odczołgał się na bok i szeroko otwartymi oczami spojrzał na mnie błagalnie.

- Bitwa? Kto walczył? - spytałem.

Ganelon uśmiechnął się posępnie.

- Rzecz wygląda znajomo - stwierdził. - Wojska Avalonu spotkały się w największym, jak się zdaje, i być może ostatnim z długiej serii starć z istotami niezupełnie z tego świata.

- Tak?

Spojrzałem na chłopca. Spuścił wzrok, lecz zdążyłem dostrzec w jego oczach lęk.

- ...Kobiety - wyjaśnił Ganelon. - Błede furie z jakiegoś piekła, piękne i zimne. Uzbrojone i w zbrojach. Długie, jasne włosy. Oczy jak lód. Na białych, ziejących ogniem wierzchowcach, żywiących się ludzkim mięsem, wyjeżdżały nocami z labiryntu jaskiń, które parę lat temu odsłoniło trzęsienie ziemi. Napadały, brały w niewolę młodych mężczyzn i zabijały wszystkich pozostałych. Jeńcy pojawiali się później jako idący za nimi bezduszni żołnierze. To brzmi jak historia o ludziach z Kręgu, których my znaliśmy.

- Lecz z tamtych wielu przeżyło, gdy zostali wyzwoleni - zaprotestowałem. - I wcale nie wydawali się bezduszni. Raczej w amnezji, jak ja sam kiedyś. Dziwi mnie - mówiłem dalej - że nikt nie próbował zablokować tych jaskiń za dnia, skoro kobiety wyruszały jedynie w nocy.

- Ten dezerter twierdzi, że próbowano tego - wyjaśnił Ganelon. - I po pewnym czasie zawsze wyrывały się znowu, silniejsze niż przedtem.

Chłopiec był szary jak popiół, lecz kiwnął głową, gdy spojrzałem nań pytająco.

- Tutejszy dowódca, którego on nazywa Protektorem, gromił je wielokrotnie - kontynuował Ganelon. - Raz spędził nawet część nocy z ich przywódczynią, bladą dziwką imieniem Lintra. Nie wiem, flirtował z nią czy pertraktował, ale nic z tego nie wyszło. Napady powtarzały się i jej siły były coraz liczniejsze. W końcu Protektor zdecydował się na masowy atak w nadziei, że uda mu się zniszczyć je całkowicie. Właśnie podczas bitwy ten tutaj uciekł - skinął mieczem w stronę chłopca. - I dlatego nie znamy końca tej historii.

- Tak było? - spytałem.

Chłopiec oderwał spojrzenie od miecza i wolno kiwnął głową.

- Ciekawe - zwróciłem się do Ganelona. - Bardzo. Mam uczucie, że ich problem wiąże się jakoś z tym, który ostatnio rozwiązaliśmy. Chciałbym wiedzieć, jak zakończyła się bitwa.

Ganelon kiwnął głową i mocniej chwycił miecz.

- No cóż - zaczął. - Jeżeli już z nim skończyliśmy...

- Czekał. Przypuszczam, że próbował ukraść coś do jedzenia?

- Tak.
- Rozwiąż mu ręce. Nakarmimy go.
- Przecież chciał nas okraść.
- Czy nie wspominałeś, że kiedyś zabiłeś człowieka dla pary butów?
- Tak, ale to co innego.
- A to czemu?
- Mnie się udało.

Roześmiałem się. Ganelon był poirytowany, potem zdziwiony, wreszcie sam zaczął się śmiać. Chłopiec przyglądał się nam, jakbyśmy byli parą wariatów.

- No dobrze - rzekł w końcu Ganelon. - Dobrze.

Nachylił się, jednym szarpnięciem odwrócił jeńca i rozciął powróż krepujący mu ręce.

- Chodź, chłopcze - powiedział. - Dostaniesz jeść.

Podszedł do bagaży i wyciągnął kilka pakietów z jedzeniem.

Chłopiec wstał i kulejąc podążył za nim. Chwycił ofiarowaną mu żywność i zaczął jeść łapczywie i głośno, nie spuszczając wzroku z Ganelona. Jego informacje, jeśli były prawdziwe, powodowały pewne komplikacje. Najpoważniejszą było to, że w wyniszczonym wojną kraju trudniej będzie znaleźć rzecz, której potrzebowałem. Pogłębiły się też moje lęki co do natury i rozmiarów uszkodzenia - czy też naruszenia - Wzorca.

Pomogłem Ganelonowi rozpalić niewielkie ognisko.

- Jak to wszystko wpływa na nasze plany? - zapytał.

Naprawdę nie miałem wyboru. We wszystkich Cieniach w okolicy sytuacja byłaby podobna. Mogłem wybrać taki, który nie był w to wmieszany, lecz docierając tam trafiłbym do niewłaściwego punktu. Nie dostałbym tam tego, co było mi potrzebne. Jeżeli ataki Chaosu stale zdarzały się na trasie marszu mych pragnień przez Cień, to musiały być powiązane z naturą owych pragnień. I wcześniej czy później będę musiał stawić im czoło. Nie zdołałem ich uniknąć. Takie były zasady tej gry i nie mogłem się skarżyć, gdyż sam je ustaliłem.

- Jedziemy dalej - oświadczyłem. - To jest cel moich pragnień.

Młodziak jęknął i - pewno z wdzięczności, że powstrzymałem Ganelona od wycinania dziur w jego ciele - ostrzegł:

- Nie jedź do Avalonu, panie! Nie ma tam nic, czego mógłbyś potrzebować. Zabiją was!

Podziękowałem mu uśmiechem. Ganelon zachichotał.

- Zabierzmy go ze sobą - zaproponował. - Niech stanie przed sądem za dezercję.

Chłopiec wstał z wysiłkiem i rzucił się do ucieczki. Wciąż roześmiany Ganelon wyjął sztylet i wznosił rękę do rzutu. Uderzyłem go w ramię i broń poleciała daleko od celu. Chłopak znikł wśród drzew, a Ganelon śmiał się bez przerwy. Kiedy się uspokoił, odszukał swój sztylet.

- Powinieneś pozwolić mi go zabić - powiedział. Sam wiesz.

- Postanowiłem inaczej.

Wzruszył ramionami.

- Jak wróci nocą i poderżnie nam gardła, może zmienisz zdanie.

- Pewnie zmienię. Ale on nie wróci. Wiesz o tym.

Znów wzruszył ramionami. Nabił na sztylet kawałek mięsa i zaczął przypiekać nad ogniskiem.

- Trzeba przyznać, że wojna nauczyła go dobrze pracować nogami - stwierdził. - Być może istotnie zbudzimy się rankiem.

Ugryzł kawałek i zaczął przeżuwać. Uznałem to za słuszną ideę i przygotowałem coś takiego dla siebie.

Wiele godzin później zbudziłem się z niespokojnego snu, by przez zasłone liści popatrzeć na gwiazdy. Jakaś skłonna do złych wróżb część mej podświadomości przywołała obraz chłopca i w niemiły sposób wykorzystwała jego i mnie. Długo nie mogłem zasnąć.

Rankiem zdeptaliśmy popioły ogniska i ruszyliśmy dalej. Tego popołudnia dotarliśmy do gór i następnego dnia przekroczyliśmy je. Na naszym szlaku trafiały się czasem świeże ślady ludzi i koni, lecz nie spotkaliśmy nikogo.

Dzień później minęliśmy kilka zagród, lecz nie zatrzymywaliśmy się przy żadnej. Nie korzystałem z szalonej, diabelskiej trasy, którą wybrałem wypędzając Ganelona. Była krótka, lecz dla niego byłaby przykrym wspomnieniem. Potrzebowałem także czasu do namysłu i taka podróż niezbyt by mi odpowiadała. Teraz, jednak długa droga zbliżała się do końca. Po południu osiągnęliśmy niebo Amberu. Podziwiałem je w milczeniu. Las, przez który jechaliśmy, mógłby być niemal Lasem Ardeńskim. Tyle że nie słyszałem głosu rogów, nie było Juliana ani Morgensterna, nie było ogarów burzy, które by nas ściagały jak w Ardenie, kiedy przejeżdżałem tamtędy ostatnim razem. Był tylko śpiew ptaków w koronach wielkich drzew, skarga wiewiórki, szczeknięcie lisa, plusk wodospadu, biele, błękity i róże kwiatów w cieniu liści.

Wieczorny wietrzyk, chłodny i delikatny, uspił mnie niemal i byłem zupełnie nie przygotowany na widok rzędu świeżych grobów obok drogi, zaraz za zakrętem. Trawa wokół nich była zgnieciona i stratowana. Przystanęliśmy na chwilę, lecz nie zauważyliśmy niczego, czego nie byłoby widać na pierwszy rzut oka.

Kawałek dalej minęliśmy jeszcze jedno takie miejsce, a potem kilka wypalonych zagajników. Droga była porządnie wyjeżdżona, a krzaki na poboczach połamane i zdeptane, jakby przechodziło tędy wiele ludzi i zwierząt. W powietrzu unosił się zapach spalenizny. Przejechaliśmy obok rozkładającego się, na pół pożartego końskiego ścierwa.

Niebo Amberu nie dodawało mi już otuchy, choć potem przez dłuższy czas szlak był czysty.

Dzień zbliżał się ku końcowi i drzewa rosły coraz rzadziej, gdy Ganelon zauważył smugi dymu na południowym wschodzie. Skręciliśmy w pierwszą ścieżkę, która zdawała się biec w tamtą stronę, mimo że nie prowadziła do Avalonu. Trudno było dokładnie ocenić odległość, lecz widzieliśmy, że nie dotrzemy na miejsce przed nocą.

- Ich wojska... jeszcze obozują? - zastanawiał się Ganelon.

- Albo armia tego, co ich zwyciężył.

Potrząsnął głową i sprawdził, czy miecz lekko wychodzi z pochwy. Przed zmrokiem zjechałem ze ścieżki zwabiony odgłosem płynącej wody. Był to świeży, czysty potok płynący od gór i wciąż niosący odrobinę ich chłodu. Umyłem się, przyciąłem brodę, która zdążyła już odrosnąć, i oczyściłem ubranie z pyłu dróg. Zbliżaliśmy się do celu podróży i chciałem wystąpić z tą odrobiną splendoru, na jaką mogłem sobie pozwolić. Ganelon uznał moje racje. Zdobył się nawet na ochłapanie sobie wodą twarzy i głośnie wytarcie nosa.

Stojąc nad brzegiem i mrugając w stronę nieba oczami, z których wypłukałem kurz, zobaczyłem, że krąg księżycy staje się czysty i ostry, a zmętnienie jego krawędzi znika. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Wstrzymałem oddech i patrzyłem. Potem odnalazłem na niebie gwiazdy, prześledziłem kształty chmur, odległych szczytów i najdalszych drzew. Raz jeszcze spojrzałem na księżyc, nadal czysty i wyraźny. Mój wzrok wrócił, już do normy.

Ganelon cofnął się słysząc mój śmiech. Nie spytał o powód.

Tłumiąc pragnienie śpiewu dosiadłem konia i wróciłem na ścieżkę. Cienie pogłębiały się, a ponad koronami drzew rozkwitały gromady gwiazd. Wciągnąłem w płuca potężną porcję nocy, przytrzymałem chwilę i wypuściłem. Znów byłem sobą i było to przyjemne uczucie.

Ganelon podjechał bliżej.

- Na pewno rozstawili warty - powiedział cicho.

- Tak - zgodziłem się.

- Więc może lepiej zjedziemy ze szlaku?

- Nie. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że się kryjemy. Możemy dojechać na miejsce z eskortą, to nie ma znaczenia. Jesteśmy parą zwyczajnych podróżnych.

- Mogą pytać o powód tej podróży.

- Więc będziemy parą najemników, którzy słyszeli o jakiejś wojnie i przybyli szukać pracy.

- Dobrze. Wyglądamy na takich. Miejmy nadzieję, że zdążą to zauważyć.

- Jeżeli nie będą nas dobrze widzieć, to będziemy marnym celem.

- To prawda. Lecz jakoś mnie to nie uspokaja.

Nasłuchiwałem stukotu końskich kopyt na szlaku. Droga nie prowadziła prosto. Wiła się, skręcała, biegła w tę i w tamtą stronę, w końcu wykręciła pod górę. Gdy wjeżdżaliśmy na zbocze, drzewa przerzedziły się jeszcze bardziej.

Wierzchołek pagórka był prawie nagi. Jeszcze kawałek i niespodziewanie roztoczył się przed nami widok na najbliższe kilka mil. Zatrzymaliśmy się tuż przed stromym uskokiem, kilkanaście metrów niżej przechodzącym w łagodne zbocze. Dalej widać było rozległą równinę, a o milę stamtąd wzgórza i niewielkie zagajniki. Zobaczyliśmy obóz: liczne ogniska i sporo namiotów, dość duże stado koni pasące się w pobliżu. Uznałem, że było tam kilkuset ludzi, grzejących się przy ogniu lub chodzących po obozowisku.

Ganelon odotchnął z ulgą.

- Ci przynajmniej wydają się normalnymi ludźmi - stwierdził.

- Fakt.

- A jeżeli są normalnymi ludźmi w normalnym wojsku, to na pewno jesteśmy już obserwowani. To zbyt dogodny punkt, by pozostał nie obsadzony.

- Zgadza się.

Z tyłu doleciał hałas. Zaczęliśmy się odwracać, gdy jakiś głos rozkazał:

- Nie ruszać się!

Spojrzałem za siebie. Stało tam czterech mężczyzn; dwóch trzymało wycelowane w nas kusze, dwaj pozostali mieli w rękach nagie miecze. Jeden z nich ruszył ku nam i zatrzymał się o dwa kroki.

- Zsiadać! - polecił. - Na lewą stronę! Powoli!

Zeszliśmy na ziemię i stanęliśmy przed nim, trzymając ręce z daleka od broni.

- Kim jesteście? I skąd? - zapytał. - Jesteśmy najemnikami - wyjaśniłem. - Z Lorraine. Słyszeliśmy, że trwa tu jakaś wojna. Szukamy zajęcia. Jechaliśmy do tego obozu w dole. To wasz, mam nadzieję?

- A jeśli powiem, że nie, że jesteśmy patroliem armii, która ma właśnie ten obóz zaatakować?

Wzruszyłem ramionami.

- W takim razie może wasza armia byłaby zainteresowana zatrudnieniem dwóch ludzi?

Splunął.

- Protaktor nie potrzebuje takich jak wy - oświadczył. Po czym zapytał: - Z której strony przyjechaliście?

- Ze wschodu - odparłem.

- A nie mieliście po drodze jakichś... trudności?

- Nie - zaprzeczyłem. - A powinniśmy mieć?

- Trudno powiedzieć - stwierdził. - Oddajcie broń. Odeślę was do obozu. Na pewno będą chcieli

wiedzieć, czy nie widzieliście czegoś na wschodzie... czegoś niezwykłego.

- Nie widzieliśmy nic niezwykłego - poinformowałem.

- W każdym razie dadzą wam jeść. Choć wątpię, czy znajdziecie pracę. Trochę się spóźniliście.

A teraz oddajcie broń.

Kiedy odpinaliśmy pasy z mieczami, przywołał jeszcze dwóch ukrytych wśród drzew żołnierzy i polecił doprowadzić nas do obozu. Mieliśmy iść pieszo prowadząc konie. Żołnierze wzięli naszą broń i już ruszaliśmy, gdy ten, który z nami rozmawiał, zawołał:

- Stać!

Obejrzałem się.

- Ty - zwrócił się do mnie. - Jak się nazywasz?

- Corey - odparłem.

- Nie ruszaj się.

Podszedł całkiem blisko i przyglądał mi się przez jakieś dziesięć sekund.

- O co chodzi? - spytałem.

Zamiast odpowiedzi pogrzebał dłonią w sakiewce, wyciągnął garść monet i podniósł je do oczu.

- Niech to licho! Jest za ciemno - stwierdził. - A nie możemy palić światła.

- A po co? - zdziwiłem się.

- Nie ważnego - wyjaśnił. - Zdawało mi się, że już cię gdzieś widziałem, i próbowałem sobie przypomnieć gdzie. Twój profil podobny jest do wybitego na naszych starych monetach. Trochę ich jeszcze krąży. Prawda? zwrócił się do jednego ze strzelców. Tamten odłożył kuszę, podszedł i z odległości kilku kroków przyjrzał mi się uważnie.

- Zgadza się - stwierdził. - Jest podobny.

- A kto to był? Ten, o którego wam chodzi?

- Jeden z tych dawnych typów. Przed moim urodzeniem. Nie pamiętam.

- Ja też nie. Zresztą... - wzruszył ramionami. Nieważne. Ruszaj, Coreyu. Odpowiadaj na pytania szczerze, a nic ci się nie stanie.

Odwróciłem się i odszedłem, a on został na zalanej księżycowym światłem polanie. Spoglądał za mną drapiąc się po głowie.

Żołnierze z naszej eskorty nie byli zbyt rozmowni. I bardzo dobrze.

Przez całą drogę myślałem o tym, co opowiedział nam ten chłopak, i o tym, jak zakończył się tutejszy konflikt. Osiągnąłem bowiem fizyczną zgodność ze światem moich pragnień i teraz musiałem działać w granicach zaistniałej sytuacji.

Nad obozowiskiem unosił się przyjemny zapach ludzi i zwierząt, dymu ognisk, pieczonego mięsa, skóry i oliwy. W świetle ogni żołnierze rozmawiali, ostrzyli miecze, naprawiali uprzęże, jedli, grali, spali, pili i przyglądali się, jak prowadzimy między nimi nasze konie, eskortowani w stronę trzech centralnych namiotów. Im dalej szliśmy, tym bardziej poszerzał się wokół nas krąg ciszy.

Zatrzymaliśmy się przy drugim co do wielkości namiocie. Jeden z naszych strażników zapytał o coś przechadzającego się wartownika. Ten pokręcił głową i wskazał ręką największy namiot. Wymiana zdań trwała kilka minut. Wreszcie strażnik wrócił. Powiedział coś swemu czekającemu przy nas towarzyszowi, a ten skinął głową i przywołał jednego z ludzi siedzących przy najbliższym ognisku. Strażnik podszedł do mnie.

- Wszyscy oficerowie są na naradzie u Protektora - wyjaśnił. - Spętamy wasze konie i puścimy je na pastwisko. Zdejmijcie z nich rzeczy i złożcie je tutaj. Musicie poczekać, póki kapitan nie wróci.

Kiwnąłem głową. Wzięliśmy się do wypakowywania bagażu i czyszczenia koni. Poklepałem Gwiazdę po szyi, a potem patrzyłem, jak niewysoki kulawy człowieczek prowadzi ją do innych koni

razem ze Świetlikiem Ganelona. Usiedliśmy na jukach i czekaliśmy. Jeden ze strażników w zamian za tytoń do fajki przyniósł nam gorącej herbaty. Obaj siedli potem trochę z tyłu.

Patrzyłem na wielki namiot, sączyłem herbatę i myślałem o Amberze i o małym nocnym klubie przy Rue de Char et Pain w Brukseli, na Cieniu-Ziemi, gdzie żyłem tek długo. Kiedy dostanę już ten jubilerski proszek, ruszę do Brukseli, aby znowu spotkać się z handlarzami z Gun Burse. Wiedziałem, że moje zlecenie będzie kosztowne i trudne w realizacji. Trzeba będzie przekonać któregoś z producentów amunicji, by założył osobną linię produkcyjną. Na szczęście dzięki moim różnym militarnym doświadczeniom znałem na tamtej Ziemi innych kupców niż tylko ci z Interarmco. Zdobycie sprzętu nie powinno mi zająć więcej niż kilka miesięcy. Zacząłem obmyślać szczegóły i czas upływał szybko i przyjemnie.

Minęło chyba ponad półtorej godziny, nim poruszyły się cienie na ścianie wielkiego namiotu. Jeszcze kilka minut i płachta zakrywająca wejście została odrzucona w bok. Powoli zaczęli wychodzić ludzie. Oglądali się i rozmawiali. Ostatnia dwójka zatrzymała się, dyskutując z kimś, kto pozostał w środku. Reszta rozeszła się do innych namiotów.

Ci w wejściu cofali się powoli, wciąż zwrócenii twarzami do wnętrza. Słyszałem ich głosy, choć nie mogłem rozróżnić słów. Ten, z którym rozmawiali, także się poruszył i w końcu mogłem go zobaczyć. Światło padało na niego z tyłu, a dwaj oficerowie zasłaniali prawie cały widok, zauważyłem jednak, że jest szczupły i bardzo wysoki.

Nasi strażnicy jeszcze się nie ruszyli, z czego wywnioskowałem, że kapitanem, o którym mówili, był jeden z dwójki oficerów. Patrzyłem z nadzieją, że się cofną i odsłonią swego zwierzchnika. Istotnie uczynili to w chwilę później, a po jeszcze kilku sekundach on sam postąpił krok do przodu.

Z początku zdawało mi się, że to tylko gra światła i cieni... Lecz nie! Poruszył się znowu i zobaczyłem go wyraźnie. Nie miał prawej dłoni. Ręka kończyła się tuż poniżej łokcia. Kikut był grubo obandażowany i pomyślałem, że musiał niedawno odnieść tę ranę.

Wykonał lewą ręką szeroki gest, wyciągając ją daleko przed siebie. Kikut prawej poruszył się także i równocześnie coś drgnęło w mej pamięci. Miał długie, proste, kasztanowe włosy i lekko wystającą dolną szczękę...

Wyszedł na zewnątrz, a wiatr pochwycił jego płaszcz i zarzucił na prawe ramię. Zauważyłem, że nosił żółtą koszulę i brązowe spodnie. Sam płaszcz był płomiennie pomarańczowy. Chwycił jego brzeg nienaturalnie szybkim ruchem lewej ręki i przykrył kikut prawej.

Wstałem, a on zwrócił głowę w moją stronę. Nasze spojrzenia spotkały się. Przez kilka uderzeń pulsu żaden z nas się nie poruszył.

Obaj oficerowie patrzyli na to zdumieni. Rozepchnął ich i ruszył do mnie. Usłyszałem, że Ganelon chrząka i wstaje pospiesznie. Nasi strażnicy także byli zaskoczeni.

Stał kilka kroków przede mną i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem swych orzechowych oczu. Rzadko się uśmiechał, lecz tym razem jakoś mu się to udało.

- Chodźcie - powiedział i zawrócił do namiotu.

Poszliśmy zostawiając rzeczy tam, gdzie leżały.

Jednym spojrzeniem odprawił obu oficerów, zatrzymał się przed wejściem do namiotu i przepuścił nas przodem. Potem wszedł i spuścił płachtę. Wewnątrz był materac, mały stolik, ławy, broń i wielki kufer. Na stoliku płonął kaganek, leżały książki i mapy, stała butelka i kilka kubków. Drugi kaganek migotał na pokrywie kufra.

Uścisnął mi dłoń i znowu się uśmiechnął.

- Corwin - rzekł. - I to żywy.

- Benedykt - powiedziałem, także z uśmiechem. Jeszcze dychasz, jak widzę. Diabelnie długo to

trwało.

- To prawda. Kim jest twój przyjaciel?

- Nazywa się Ganelon.

- Ganelonie - powiedział i skłonił głowę, nie wyciągając jednak ręki. Potem podszedł do stołu i nalał trzy kubki wina. Jeden podał mnie, drugi Ganelonowi, trzeci wzniosł do góry.

- Twoje zdrowie, bracie - powiedział.

- I twoje.

Wypiliśmy

- Siadajcie - rzucił, wskazując najbliższą ławę. Sam także usiadł. - I witajcie w Avalonie.

- Dzięki... Protektorze.

Skrzywił się.

- Ten przydomek nie jest niezasłużony - stwierdził spokojnie, wpatrując się w moją twarz. - Zastanawiam się, czy poprzedni Protektor mógłby powiedzieć to samo.

- To nie było to samo miejsce - odparłem. - Ale sądzę, że mógłby.

Wzruszył ramionami.

- Może i tak - powiedział. - Ale dość o tym! Co się z tobą działo? Co porabiałeś? Dlaczego przybyłeś tutaj? Opowiedz. To już tyle czasu...

Kiwnąłem głową. Niezbyt szczęśliwie się złożyło, lecz etykieta rodzinna oraz układ sił wymagały, bym odpowiadał, zanim sam zacznę pytać. Był starszy, a poza tym ja - co prawda nieświadomie - naruszyłem strefę jego wpływów. Nie to, że bym mu żałował tej uprzejmości - był jednym z niewielu moich licznych krewnych, którego szanowałem, a nawet lubiłem. Po prostu paliłem się do zadawania pytań. Sam powiedział, to już tyle czasu...

Ale jak wiele powinienem mu wyjaśnić? Nie miałem pojęcia, którą ze stron popiera. Nie chciałem też, mówiąc o niewłaściwych sprawach, odkrywać powodów jego dobrowolnego wygnania z Amberu. Należało zacząć od czegoś możliwie neutralnego i sondować go w miarę rozwoju opowieści.

- Musi być jakiś początek - odezwał się po chwili. - Nieważne, jak go przedstawiś.

- Jest wiele początków - wyjaśniłem. - To dość trudne... Powinienem chyba wrócić do czasu, kiedy to wszystko się zaczęło, i potem ciągnąć dalej.

Łyknąłem wina.

- Tak - zdecydowałem. - To będzie najprostsze... choć dopiero stosunkowo niedawno przypomniałem sobie wiele z tego, co się zdarzyło. Kilka lat po rozgromieniu Księżycowych Jeźdźców z Ghenesh i po twoim wyjeździe Eryk i ja poróżniliśmy się ostatecznie - zacząłem. - Tak, chodziło o sukcesję. Tato znowu zaczął mówić o abdykacji i wciąż nie chciał wyznaczyć następcy. Odżyły dawne spory o to, ktu ma większe prawo do tronu. Oczywiście, ty i Eryk jesteście starsi ode mnie, lecz o ile Faiella, matka Eryka i moja, była żoną ojca po śmierci Cymnei, to jednak..

- Dość! - zawołał Benedykt i walnął w stół tak mocno, że deski zatrzęszczały.

Kaganek podskoczył i chlapanął oliwą, lecz - chyba dzięki jakiemuś drobnemu cudowi - nie przewrócił się: Płachta zasłaniająca wejście odsunęła się natychmiast i do namiotu zajrzał zaniepokojony strażnik. Benedykt spojrział tylko i tamten wycofał się.

- Nie mam ochoty pakować się w te wasze dochodzenia - oświadczył mój brat cichym głosem. - To właśnie te plugawe rozgrywki były początkowo powodem, dla którego porzuciłem rozkosze Amberu. Proszę, mów dalej, ale już bez odnośników.

- No... tak - chrząknąłem. - Jak mówiłem, odbyliśmy kilka burzliwych dyskusji na ten temat. Aż pewnego wieczora słowa przestały wystarczać. Podjęliśmy walkę.

- Pojedynek?

- Nic tak formalnego. Raczej równoczesną decyzję zabicia tego drugiego. W każdym razie walczyliśmy dość długo. Eryk uzyskał przewagę i zaczął ścierać mnie na proszek. Uprzedzę trochę fakty i powiem, że wszystko przypomniałem sobie dopiero jakieś pięć lat temu.

Benedykt pokiwał głową, jakby rozumiał, o czym mówię.

- Mogę się tylko domyślać, co zaszło po tym, jak straciłem przytomność - mówiłem dalej. - Eryk powstrzymał się od zabicia mnie. Doszedłem do siebie w Cieniu - Ziemi, w miejscu zwanym Londynem. Szalała tam zaraza i rozchorowałem się. Wyzdrowiałem nie mając żadnych wspomnień sprzed Londynu. Żyłem w tym świecie - Cieniu przez całe wieki, szukając jakiejś wskazówki co do mojej tożsamości. Przemierzałem go wszerz i wzdłuż, zwykle jako uczestnik kampanii wojskowych. Uczęszczałem na ich uniwersytety, rozmawiałem z najmądrzejszymi ludźmi, konsultowałem się ze słynnymi lekarzami. Nigdzie nie znalazłem klucza do swej przeszłości. Było dla mnie oczywiste, że różniłem się od innych ludzi, i z wielkim wysiłkiem starałem się to ukryć. Byłem jak wściekły, gdyż mogłem mieć wszystko z wyjątkiem tego, czego pragnąłem najbardziej: mojej tożsamości, mojej pamięci. Mijały lata, lecz nie malał mój gniew, nie gasła tęsknota. Trzeba było wypadku i pęknięcia czaszki, żeby zaczęła się seria przemian prowadzących do odzyskania wspomnień. To było jakieś pięć lat temu, a cała ironia potęga na rym, że Eryk był odpowiedzialny za ów wypadek. Wydaje się, że Flora przez cały czas mieszkała w tym Cieniu - Ziemi i pilnowała mnie. Wracając do hipotez: Eryk musiał się powstrzymać w ostatniej chwili. Pragnął mojej śmierci, lecz nie chciał, by ślady prowadziły do niego. Przetransportował mnie więc przez Ciebie do miejsca, gdzie czekała szybka i niemal pewna śmierć. Bez wątpienia zamierzał wrócić i powiedzieć, że się pokłóciliśmy i że odjechałem w gniewie, krzycząc, że znowu odchodzę. Owego dnia polowaliśmy w Ardenie. Tylko my dwaj, razem.

- To dziwne - wtrącił Benedykt - że tacy rywale jak wy zdecydowaliście się na wspólne polowanie w takich okolicznościach.

Łyknąłem wina i uśmiechnąłem się.

- Być może nie było to tak zupełnie przypadkowe, jak można by sądzić z mojego opowiadania - wyjaśniłem. - Może obaj ucieszyliśmy się z możliwości wspólnych łowów: tylko my dwaj i nikt więcej.

- Rozumiem - stwierdził. - Nie jest więc wykluczone, że sytuacja mogła ułożyć się odwrotnie.

- No cóż, trudno powiedzieć. Nie wierzę, bym posunął się tak daleko. Przynajmniej teraz tak to odczuwam. Sam wiesz, ludzie się zmieniają. A wtedy...? Tak, mógłbym zrobić to co on. Trudno być pewnym, ale to możliwe.

Znów pokiwał głową. Nagle ogarnął mnie gniew, który jednak szybko zmienił się w rozbawienie.

- Na szczęście nie muszę szukać usprawiedliwień - stwierdziłem. - Wróćmy do moich domysłów. Sądzę, że Eryk po tym wszystkim pilnował mnie, zapewne rozczarowany, że przeżyłem, ale usatysfakcjonowany moją bezradnością. Nakazał, by Flora miała na mnie oko, i przez jakiś czas świat kręcił się spokojnie. Potem przypuszczalnie tato abdykował i znikł, nie rozwiązując problemu następstwa tronu...

- Niech go diabli! - przerwał mi Benedykt. - Nie było żadnej abdykacji. Po prostu znikł. Pewnego dnia zwyczajnie nie zastano go w pokojach. Nawet łóżko nie było ruszone. Żadnych wiadomości. Widziano, jak wracał do siebie wieczorem, ale nikt nie zauważył, jak wychodzi. Lecz nawet tego nie uznano za niezwykle. Z początku wszyscy myśleli, że znowu wyruszył w Ciebie, być może na poszukiwanie kolejnej panny młodej. Długo trwało, nim ktokolwiek zaczął podejrzewać nieczystą grę lub domyślać się nowej formy abdykacji.

- Nie wiedziałem o tym - rzekłem. - Twoje źródła informacji znajdowały się wtedy bliżej centrum niż moje.

Skinął tylko głową pozostawiając mi pole do niepokojących domysłów. Mogłem przypuszczać, że był wtedy po stronie Eryka.

- Kiedy tam byłeś ostatnio? - zaryzykowałem.

- Jakies dwadzieścia lat temu - odrzekł. - Może trochę więcej. Ale jestem w kontakcie.

Na pewno nie z kimś, kto uznałby za stosowne wspomnieć mi o tym! Musiał to wiedzieć, kiedy mówił. Czyżby miało to być ostrzeżenie? A może groźba? Myślałem intensywnie. Miał oczywiście komplet Wielkich Atutów. Przerzucałem je w myślach. Random wyznał mi, że nie wie nic o sytuacji Benedykta. Brand znikł dość dawno. Mogłem się domyślać, że żyje jeszcze uwięziony w takim czy innym nieprzyjemnym miejscu, raczej bez możliwości przekazywania wieści z Amberu. Także Flora nie mogła być informatorką, jako że samn do niedawna przchywała właściwie na wygnaniu. Llewella była w Rebmie. Deirdre także, a kiedy ostatnio ją widziałem, nie była w łaskach w Amberze. Fiona? Julian mówił, że jest "gdzieś na południu". Nie był pewien, gdzie dokładnie. Kto więc pozostawał?

Sam Eryk, Julian, Gerard lub Caine, uznałem. Eryka można skreślić. Nie przekazałby szczegółów nieabdykacji taty w sposób dopuszczający taką interpretację, jaką przedstawił mi Benedykt. Julian popierał Eryka, lecz sam nie był wolny od osobistych ambicji, i to sięgających wysoko. Przesłałby wiadomość, gdyby mogło mu to przynieść korzyści. To samo Caine. Za to Gerard zawsze wydawał mi się człowiekiem, którego bardziej interesowało dobro Amberu od tego, kto zasiada na tronie. Nie przepadał jednak za Erykiem i swego czasu chciał pomóc mnie lub Bleysowi w walce przeciw niemu. Z pewnością uznałby poinformowanie Benedykta o przebiegu wydarzeń za coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej kraju.

Tak, tu prawie na pewno ktoś z tej trójki. Julian mnie nienawidził, Caine ani specjalnie lubił, ani nie, a z Gerardem łączyły mnie miłe wspomnienia, sięgające naszego dzieciństwa. Będę się więc musiał dowiedzieć, który to z nich, i to szybko. Benedykt, nie znając moich planów, nie zamierzał mi powiedzieć. Zależnie od celów jego i tego kogoś na drugim końcu, kontakt z Amberem mógł zostać wykorzystany na mą korzyść lub niekorzyść. Dla Benedykta był to więc zarówno miecz, jak tarcza. Trochę mnie zabolalo, że tak właśnie sięgnął po tę broń. Uznałem, że to rana odniesiona niedawno uczyniła go przesadnie ostrożnym, gdyż ja sam nigdy nie dawałem mu powodów do zmartwień. W rezultacie jednak ja także stałem się przesadnie ostrożny - smutny fakt, kiedy po raz pierwszy od tylu lat spotyka się własnego brata.

- To ciekawe - mruknąłem mieszając wino w kubku. - W tej sytuacji wydaje się, że wszyscy zaczęliśmy działać przedwcześnie.

- Nie wszyscy - zauważył.

Poczułem, że się czerwienię.

- Wybacz - powiedziałem.

Skłonił się uprzejmie.

- Mów dalej, proszę.

- Wróćmy do mego łańcucha hipotez - zacząłem. Gdy Eryk uznał, że tron wystarczająco długo stoi pusty i że nadszedł czas na kolejne posunięcie, musiał także dojść do wniosku, że owa amnezja to mało, trzeba ostatecznie uporać się z moimi pretensjami. Zaaranżował więc mój wypadek na owym Cieniu - Ziemi - wypadek, który powinien okazać się śmiertelny. Tak się jednak nie stało.

- Skąd o tym wiesz? A może tylko się domyślasz?

- Flora mi powiedziała, kiedy ją później pytałem. Także o swoim współudziale.

- To interesujące. Mów dalej.

- Walnięcie w głowę sprawiło to, czego wcześniej nie potrafił osiągnąć nawet Zygmunt Freud - stwierdziłem. - Zacząłem sobie przypominać, z początku słabo, potem coraz lepiej, zwłaszcza po spotkaniu z Florą, gdy zetknąłem się z masą spraw stymulujących moją pamięć. Udało mi się przekonać ją, że pamiętam wszystko, mówiła więc otwarcie o ludziach i zdarzeniach. Potem pojawił się Random uciekający przed czymś...

- Uciekający? Przed czym? Dlaczego?

- Przed jakimiś dziwnymi istotami z Cienia. Nigdy się nie dowiedziałem czemu.

- Ciekawe - stwierdził, i musiałem mu przyznać rację.

W celi często się zastanawiałem, dlaczego Random pojawił się na scenie ścigany przez furie. Odkąd się spotkaliśmy, aż do chwili rozstania, stale coś nam bruździło. Byłem zajęty własnymi sprawami, a on nie wyjawiał żadnych szczegółów swego przybycia. Oczywiście byłem zdziwiony. Sądziłem jednak, że może jest to coś, o czym powinienem wiedzieć. I tak już zostało. Bieg zdarzeń wypchnął tę kwestię z mej pamięci do czasu uwięzienia, a potem teraz i tutaj. Ciekawe? Istotnie. A także niepokojące.

- Zdołałem oszukać Randoma co do swego stanu - podjąłem. - Uwierzył, że chcę tronu, podczas gdy świadomie pragnąłem jedynie swojej pamięci. Zgodził się pomóc mi w powrocie do Amberu i udało mu się mnie tam dostarczyć. No, prawie - poprawiłem się. - Dociągnęliśmy do Rebmy. Do tego czasu zdążyłem mu wyjawić, jak ze mną jest naprawdę. Zaproponował, żebym przeszedł przez Wzorzec w Rebmie, co w pełni przywróciłoby mi pamięć. Nadarzyła się okazja, więc pochwyciłem ją. Sposób podziałął, a ja użyłem mocy Wzorca, by przerzucić się do Amberu.

Uśmiechnął się.

- Random musiał być wtedy bardzo nieszczęśliwy - zauważył.

- Istotnie, raczej nie śpiewał z radości - potwierdziłem. - Uznał wyrok Moire i miał poślubić kobietę, którą mu wybrała, niewidomą dziewczynę imieniem Vialle. Miał z nią tam zostać przez co najmniej rok. Zostawiłem go, lecz dowiedziałem się później, że faktycznie to zrobił. Była tam także Deirdre. Spotkaliśmy ją po drodze uciekającą z Amberu. Razem weszliśmy do Rebmy. Została tam.

Wypiłem wino do końca. Benedykt wskazał głową butelkę. Była już jednak prawie pusta, wyjął więc z kufra pełną i nalał do kubków. Wino było lepsze niż poprzednie, pewnie z jego prywatnych zapasów.

- W pałacu - podjąłem - przedostałem się do biblioteki, gdzie znalazłem talię do taroka. Po nią przede wszystkim przyszedłem. Eryk zaskoczył mnie, zanim zdążyłem cokolwiek przedsięwziąć. Walczyliśmy tam, w bibliotece. Udało mi się go zranić i pewnie zakończyłbym sprawę, gdyby nie przybyły posiłki. Musiałem uciekać. Skontaktowałem się z Bleysem, a on dał mi przejście do siebie, do Cienia. Resztę znasz pewnie z własnych źródeł. Słyszałeś, że Bleys i ja połączyliśmy swe siły, zaatakowaliśmy Amber i przegraliśmy. Bleys runął ze ściany Kolviru. Rzuciłem mu swoją talię, a on ją złapał. Jak rozumiem, nigdy nie znaleziono jego ciała. Ale spadał z wysoka, a był wtedy przyływ. Nie wiem, czy zginął tamtego dnia, czy nie.

- Ja także nie wiem - wtrącił Benedykt.

- Tak więc zostałem uwięziony, a Eryk zasiadł na tronie. Mimo pewnych sprzeciwów z mojej strony skłoniono mnie, bym asystował przy koronacji. Udało mi się ukoronować siebie, zanim ten bękart - w sensie genealogicznym - zabrał mi koronę i wsadził ją sobie na głowę. Potem kazał mnie oślepić i wrzucić do lochów.

Benedykt pochylił się i przyjrzał mojej twarzy.

- Tak - powiedział. - Słyszałem o tym. Jak to zrobiono?

- Gorącym żelazem - wyjaśniłem. Zadrzałem mimo woli i stłumiłem pragnienie zaciśnięcia

powiek. - Straciłem przytomność podczas tej procedury.

- Czy nastąpił kontakt z gałkami ocznymi?

- Tak - potwierdziłem. - Chyba tak.

- A ile czasu trwała regeneracja?

- Minęły prawie cztery lata, zanim znów mogłem widzieć - odparłem. - A wzrok wrócił do normy dopiero niedawno. Tak że... razem jakieś pięć lat. Chyba tak.

Wyprostował się, odetchnął i uśmiechnął się słabo.

- To dobrze - powiedział. - Dajesz mi nadzieję. Inni tracili swe części anatomiczne i też doświadczyli regeneracji, lecz ja nigdy nie utraciłem niczego znaczącego. Aż do teraz.

- A tak - potwierdziłem. - Ta lista robi wrażenie. Przez całe lata uzupełniałem ją regularnie. Cała kolekcja strzępków i kawałeczków. Wiele z nich pewnie zapomnianych przez wszystkich prócz właścicieli i mnie: palce rąk, nóg, uszy... Na pewno jest nadzieja dla twojej ręki. Naturalnie trochę to potrwa. Dobrze, że jesteś oburęczny - dodałem.

Uśmiech na jego twarzy pojawił się i znikł. Łyknął wina. Nie, jeszcze nie był gotów, by mi opowiedzieć, co się z nim działo. Pociągnąłem ze swojego kubka. Nie chciałem mu mówić o Dworkinie. Wolałem zachować go jako swego rodzaju asa w rękawie. Nikt z nas nie rozumiał w pełni mocy tego człowieka. Był w oczywisty sposób szalony, choć dało się nim manipulować. Nawet tato zaczął się w końcu bać i dlatego kazał go zamknąć. Co to było, co powiedział mi wtedy w celi? Że ojciec uwięził go, kiedy Dworkin powiadomił o odkryciu sposobu zniszczenia Amberu. Jeżeli nie był to tylko bełkot szaleńca, a prawdziwy powód, by znalazł się tam, gdzie się znalazł, to tato okazał się o wiele bardziej wielkoduszny, niż ja bym był. Ten człowiek był zbyt niebezpieczny, by żyć. Z drugiej strony jednak tato próbował go wyleczyć. Dworkin wspominał o lekarzach - ludziach, których wystraszył lub zniszczył - gdy obrócił przeciwko nim swą moc.

Pamiętałem go przede wszystkim jako mądrego i miłego staruszka, całkowicie oddanego ojcu i reszcie rodziny. Trudno by było kogoś takiego zlikwidować, jeśli istniała nadzieja na wyleczenie. Został zamknięty w miejscu, z którego ucieczka powinna być niemożliwa. A jednak kiedy pewnego dnia znudził się, po prostu wyszedł. Nikt nie może chodzić przez Cień w Amberze, gdzie nie istnieje Cień, więc Dworkin musiał uczynić coś, czego nie rozumiałem, a co wykorzystywało zasadę działania Atutów. I wyszedł. Zanim wrócił, zdołałem go namówić, by udostępnił mi metodę opuszczenia celi. Tak dotarłem do latarni morskiej na Cabrze, gdzie trochę doszedłem do siebie. Potem ruszyłem w drogę, która doprowadziła mnie do Lorraine. Najprawdopodobniej nikt dotąd nie wpadł na ślad działalności Dworkina. Moja rodzina zawsze miała pewne szczególne umiejętności, ale to właśnie on zanalizował je i sformalizował poprzez Wzorzec i Wielkie Atuty. Często próbował rozmawiać z nami o tych sprawach, lecz większość uznawała je za straszliwie abstrakcyjne i nudne. Do licha, jesteśmy niezwykle pragmatyczną rodziną. Jedynie Brand wykazywał pewne zainteresowanie tematem. I Fiona. Zapomniałem o niej. Fiona czasem słuchała. I tato. Tato wiedział o całej masie spraw, o których nigdy nie mówił. Nigdy nie miał dla nas czasu, a wokół niego działy się sprawy, o których nie mieliśmy pojęcia. Prawdopodobnie był równie sprawny w teorii jak Dworkin. Różnica tkwiła w zastosowaniach. Dworkin był artystą, a czym był tato, nie wiem. Nie zachęcał nas do poufałości, choć nie był złym ojcem. Kiedy już zwrócił na nas uwagę, hojnie szafował podarkami i rozrywkami. Nasze wychowanie pozostawiał jednak licznym ludziom ze swego dworu. Wydaje mi się, że tolerował nas jako nieuniknione rezultaty porywów namiętności. I tak się dziwię, że rodzina nie jest liczniejsza. Nasza trzynastka plus dwaj bracia i siostra, których znałem i którzy już nie żyli, stanowili efekt prawie tysiąca lat rodzicielskiej działalności. Przed nami było jeszcze kilkoro innych, o których tylko słyszałem, gdyż nie przeżyli. To niezbyt imponująca średnia jak na chutliwego

władcę. No cóż, także żadne z nas nie było zbyt płodne. Gdy tylko potrafił się sami się o siebie zatroszczyć i chodzić poprzez Ciebie, tato zachęcał nas, byśmy znaleźli sobie miejsce, gdzie będziemy szczęśliwi, i tam osiedli. Stąd wziął się mój związek z Avalonem, którego już nie ma. O ile mam sprawę, nikt prócz samego taty nie wiedział niczego na temat jego pochodzenia. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto potrafiłby sięgnąć pamięcią do czasów, kiedy nie było Oberona. Dziwne? Nie wiedzieć, skąd pochodzi własny ojciec, kiedy ma się całe wieki na zaspokajanie ciekawości? Tak. Ale on był tajemniczy, potężny i przebiegły - do pewnego stopnia wszyscy odziedziczyliśmy po nim te cechy. Pragnął, jak sądzę, byśmy byli dobrze urządzeni i zadowoleni z życia, lecz nigdy w pozycji, z której moglibyśmy zagrozić jego panowaniu. Żywił pewną - nie całkiem nie usprawiedliwioną - ostrożność w kwestii naszej wiedzy o nim i o czasach dawno minionych. Nie wierzę, by kiedykolwiek naprawdę myślał o sytuacji, gdy nie będzie władał Amberem. Czasem - w żartach lub narzekając - wspominał o abdykacji. Zawsze jednak wyczuwałem, że robi to, by obserwować nasze reakcje. Musiał zdawać sobie sprawę ze stanu rzeczy, jaki spowodowałyby jego odejście. Lecz nie chciał uwierzyć, by coś takiego mogło się zdarzyć. A żadne z nas nie znało całości jego prac i obowiązków, wszystkich jego tajemnych powiązań. Niechętnie wprawdzie, ale muszę wyznać, że chyba nikt nie był gotowy do przejęcia tronu. Za to nieprzygotowanie najchętniej obarczyłbym winą tatę, lecz na nieszczęście zbyt długo znałem Freuda, by nie czuć się współodpowiedzialnym. W dodatku zacząłem teraz rozważać zasadność naszych roszczeń. Jeżeli nie było abdykacji, a on rzeczywiście jeszcze żył, każde z nas mogło liczyć najwyżej na regencję. Jego powrót, gdyby zastał inny stan rzeczy, byłby niezbyt miłą perspektywą, zwłaszcza z wysokości tronu. Powiedzmy to szczerze: bałem się go, i to nie bez powodu. Tylko dureń nie lęka się realnej siły, której nie pojmuje. Niezależnie jednak od tego, jak miał brzmieć rytuał: "regent" czy "król", miałem do niego większe prawa niż Eryk i byłem zdecydowany go zdobyć. Jeżeli jakaś siła z mrocznej przeszłości taty - której nikt z nas naprawdę nie znał - mogła pomóc mi w tych dążeniach i jeżeli Dworkin był taką siłą, to musiał pozostać w ukryciu, póki nie będę mógł go wykorzystać.

Nawet jeśli - zapytywałem sam siebie - siła, którą on reprezentuje, może zniszczyć Amber, a tym samym zdruzgotać światy - Cienie i wyrzucić ich egzystencję tak, jak ja ją pojmuję.

Zwłaszcza wtedy - odpowiadałem sobie. - Któż bowiem inny byłby godzien posiadać taką moc?

Doprawdy, jesteśmy niezwykle pragmatyczną rodziną, łyknąłem jeszcze wina, po czym zająłem się fajką. Oczyszcziłem ją i nabiłem ponownie.

- I to w zasadzie cała historia - powiedziałem.

Popatrzyłem na swoje dzieło, wstałem i przypaliłem fajkę od płomienia kaganka. - Kiedy odzyskałem wzrok, udało mi się wydostać. Uciekłem z Amberu, przez pewien czas bawiłem w miejscu zwanym Lorraine, gdzie spodkałem Ganelona, a potem dotarłem tutaj.

- Dlaczego?

Usiadłem i spojrzałem na niego uważnie.

- Ponieważ to blisko Avalonu, który kiedyś znałem - wyjaśniłem.

Celowo nie wspominałem o swej wcześniejszej znajomości z Ganelonem i miałem nadzieję, że on zrozumie dlaczego. Ten Ciebie był na tyle bliski tamtemu Avalonowi, by mój wspólnik orientował się w jego topografii i miejscowych zwyczajach. Cokolwiek ta orientacja była warta, ukrycie jej przed Benedyktem uznałem za politycznie uzasadnione.

Nie skomentował mojego tłumaczenia. Zajął się za to sprawą, która bardziej go interesowała.

- A twoja ucieczka? - spytał. - Jak ci się to udało?

- Naturalnie, ktoś mi pomógł wydostać się z celi - przyznałem. - A na zewnątrz... no cóż, jest jeszcze parę tras, o których Eryk nie ma pojęcia.

- Rozumiem - pokiwał głową. Miał pewnie nadzieję, że powiem, kim byli moi współnicy. Wiedział jednak, że lepiej o to nie pytać.

Pyknąłem z fajki i usiadłem wygodniej. Uśmiechnąłem się.

- Dobrze jest mieć przyjaciół - stwierdził, jakby kończąc moją nie dopowiedzianą kwestię.

- Sądzę, że każdy z nas ma kilku w Amberze.

- Chciałbym w to wierzyć - odrzekł. - O ile wiem, próbowałeś sforsować drzwi w celi, ale w końcu zostawiłeś je zamknięte, spaliłeś materac i malowałeś rysunki na ścianach.

- Zgadza się - przyznałem. - Długie uwięzienie źle wpływa na równowagę umysłu. W każdym razie mojego. Wiem, że były okresy, kiedy zachowywałem się irracjonalnie.

- Nie zazdrościsz ci tych doświadczeń, bracie - oświadczył. - Wcale nie. Jakie masz teraz plany?

- Nie wiem jeszcze - wyjaśniłem. - A jak stoją sprawy tutaj?

- Ja tu rządzę - poinformował, bez przechwałki w głosie; po prostu skonstatował fakt. - Sądzę, że właśnie udało mi się zakończyć sprawę jedyne go poważnego zagrożenia dla kraju. Jeśli mam rację, to zbliża się stosunkowo spokojny okres. Cena była wysoka - spojrzał na to, co pozostało z jego ręki - ale warto było ją zapłacić. Okaze się to już wkrótce, kiedy wszystko wróci do normy.

Zaczął relacjonować sytuację, w ogólnych zarysach zgodną z tym, co mówił nam tamten młodzik. Potem opowiedział, w jaki sposób wygrali bitwę. Kiedy zginęła przywódczyni tych diabolic, amazonki rzuciły się do ucieczki. Wybito większość z nich i zablokowano wyjścia z jaskiń. Benedykt postanowił z niewielką siłą pozostać jeszcze na polu bitwy, by oczyścić teren. Jego ludzie wciąż przeszukiwali okolicę w poszukiwaniu niedobitków.

Nie uczynił żadnej wzmianki na temat spotkania z ich przywódczynią, Lintrą.

- Kto zabił ich wodza? - zapytałem.

- Mnie się to udało... - machnął kikutem. - Choć zbyt długo zwlekałem z pierwszym ciosem.

Odwróciłem wzrok. Ganelon także. Po krótkiej chwili twarz Benedykta przybrała normalny wygląd. Opuścił ramię.

- Szukaliśmy cię, Corwinie. Wiedziałaś o tym? - zapytał. - Brand przeszukał wiele Cieni, podobnie Gerard. Słusznie przewidywałeś, co powie Eryk po twoim zniknięciu. Woleliśmy jednak nie polegać wyłącznie na jego słowie. Po wielekroć próbowaliśmy twojego Atutu, też bez odpowiedzi. Zapewnie blokowało go uszkodzenie mózgu. To ciekawy problem. Ponieważ nie reagowałaś na Atut, uznaliśmy, że nie żyjesz. Wtedy Julian, Caine i Random przyłączyli się do poszukiwań.

- Wszyscy? Naprawdę? Jestem zdumiony.

Uśmiechnął się.

- Ach - powiedziałem pojmując i także się uśmiechnąłem.

Włączenie się braci do akcji w takim momencie oznaczało, że nie mój los ich interesował, lecz możliwość uzyskania dowodów, że Eryk popełnił bratobójstwo. Mogliby wtedy usunąć go lub szantażować.

- Ja sam poszukiwałem cię w okolicy Avalonu - mówił dalej. - Znalazłem to miejsce i już tam zostałem. Znajdowało się wtedy w opłakanym stanie i pracowałem przez całe pokolenia, by przywrócić mu dawną chwałę. Zacząłem to robić dla uczczenia twojej pamięci, lecz z czasem polubiłem kraj i ludzi. Zaczęli uważać mnie za swego protektora. Ja także się nim poczułem.

Byłem poruszony i trochę zakłopotany tą opowieścią. Czyżby sugerował, że zapaskudziłem tutaj sytuację, i musiał wstać, by ją uporządkować - ostatni już raz posprzątać po młodszym bracie? A może chciał powiedzieć, że wiedząc, jak kochałem to miejsce - albo bardzo do tego podobne - starał się działać tak, jak sądził, że nie życzyłbym sobie? Cóż, być może robiłem się nieco przeczulony.

- Dobrze wiedzieć, że mnie szukaliście - stwierdziłem. - I jeszcze lepiej wiedzieć, że jesteś obrońcą tej krainy. Chciałbym ją zobaczyć, gdyż przypomina mi Avalon, który znałem. Czy masz coś przeciwko mojej wizycie?

- Czy tylko oto ci chodzi? O wizytę?

- O niczym więcej nie myślałem.

- Dowiedz się zatem, że wspomnienia o twoim cieniu, który tu kiedyś władał, nie są najlepsze. Dzieciom nie nadaje się tutaj imienia Corwin. Ja także nie jestem tu bratem żadnego Corwina.

- Rozumiem - odrzekłem. - Nazywam się Corey. Czy możemy być starymi przyjaciółmi?

Kiwnął głową.

- Odwiedziny starych przyjaciół zawsze sprawiają radość - oświadczył.

Uśmiechnąłem się. Czuję się trochę urażony, że posądził mnie o jakieś plany wobec tego Cienia; mnie, który - wprawdzie przez chwilę - czułem na swym czole zimny płomień korony Amberu. Zastanawiałem się, co by zrobił, gdyby wiedział, że tak naprawdę właśnie ja jestem odpowiedzialny za ataki amazonek. Przypuszczam, że można by mnie obarczyć winą także za to, że stracił rękę. Wołałem jednak pójść krok dalej i uznać za winnego Eryka. W końcu to jego działanie stało się przyczyną mej klątwy. Miałem jednak nadzieję, że Benedykt nigdy się o tym nie dowie. Zależało mi, nawet bardzo, żeby się dowiedzieć, jakie stanowisko zajmuje wobec Eryka. Czy pomógłby jemu, czy też stanął za mną? A może po prostu usunąłby się? Byłem też zupełnie pewien, że Benedykt zastanawia się teraz, czy moje ambieje już wygasły, czy też tlą się jeszcze. A jeżeli to drugie, to jak mam zamiar je realizować. A więc... Kto pierwszy poruszy tę kwestię?

Wypuściłem kłęb dymu z fajki, dopiłem wino, dolałem go sobie, znowu pyknąłem. Wsłuchiwałem się w odgłosy obozu, wiatru, mojego żołądka.

Benedykt też łyknął wina.

Wreszcie zapytał niedbale:

- Czy masz jakieś długofalowe plany?

Mogłem powiedzieć, że nic jeszcze nie postanowiłem, że po prostu cieszę się wolnością, wzrokiem, życiem... Mogłem go zapewnić, że na razie mi to wystarcza, że nie mam żadnych konkretnych planów...

...A on wiedziałby, że kłamię jak najęty. Zbyt dobrze mnie znał.

A więc:

- Sam wiesz, jakie mogę mieć plany - odparłem.

- Jeśli masz zamiar prosić mnie o pomoc - oświadczył - to nie otrzymasz jej. Sytuacja Amberu jest fatalna bez wewnętrznych starć.

- Eryk to uzurpator.

- Wolę patrzeć na niego jako na regenta. W obecnej sytuacji każdy, kto żąda tronu, jest uzurpatorem.

- Więc wierzysz, że tato jeszcze żyje?

- Tak. Żyje i ma kłopoty. Kilkakrotnie próbował nawiązać kontakt.

Udało mi się niczego po sobie nie pokazać. Nie byłem więc jedyny. Ale gdybym teraz próbował opowiedzieć o swoich doświadczeniach, zabrzmiałoby to jak oportunistyczna hipokryzja czy wręcz jaskrawy fałsz. Przecież podczas tego niby - kontaktu pięć lat temu udzielił mi zgody na objęcie tronu. Oczywiście, mogło mu chodzić o regencję...

- Nie pomogłeś Erykowi, gdy sięgał po władzę - powiedziałem. - Czy pomógłbyś teraz, gdyby ktoś próbował mu ją odebrać?

- Jest tak, jak powiedziałem - odparł. - Uważam go za regenta. Nie twierdzę, że mi się to podoba,

ale nie chcę więcej konfliktów w Amberze.

- Więc pomógłbyś mu?

- Powiedziałem już wszystko, w miałem do powiedzenia w tej kwestii. Z radością powitam cię w Avalonie, lecz nie pozwolę użyć go jako terenu, z którego wyprowadzisz atak na Amber. Czy to wyjaśnia sprawy, jeśli chodzi o twoje plany, jakiegokolwiek by były?

- Wyjaśnia - potwierdziłem.

- A więc czy nadal chcesz tu pozostać?

- Nie wiem - odparłem. - Czy twoje pragnienie, by zapobiec konfliktom w Amberze, działa w obie strony?

- Nie rozumiem.

- Widzisz, gdybym wbrew swojej woli musiał wrócić do Amberu, to możesz być cholernie pewny, że rozpętałbym tyle konfliktów, ile bym tylko potrafił, byle uniknąć znalezienia się w sytuacji, w jakiej byłem poprzednio.

Zbladł i spuścił wzrok.

- Nie zdradziłbym cię, Corwinie. Czy sądzisz, że jestem pozbawiony uczuć? Nie chciałbym widzieć cię na powrót uwięzionego, oślepionego, może jeszcze gorzej. Zawsze chętnie cię powitam. Swe lęki, razem ze swymi ambicjami, możesz pozostawić na granicy.

- W takim razie chciałbym tu jeszcze pozostać - oświadczyłem. - Nie mam armii i nie przybywam tu, by ją zdobyć.

- Wiedz zatem, że chętnie cię widzę.

- Dzięki, Benedykcie. Nie spodziewałem się, że spotkam cię tutaj. Cieszę się, że tak się stało.

Zarumienił się lekko.

- Ja także - powiedział. - Czy jestem pierwszy, którego spotykasz... po swojej ucieczce?

- Tak - kiwnąłem głową. - I jestem bardzo ciekawy, co się dzieje z resztą. Masz jakieś wiadomości?

- Żadnych zgonów - odparł.

Roześmieliśmy się obaj i wiedziałem, że sam będę musiał dotrzeć do rodzinnych plotek. No cóż, warto było spróbować.

- Chcę tu zostać jeszcze przez jakiś czas - poinformował Benedykt. - Będę utrzymywał stałe patrole, by się przekonać, czy nie ma już nieprzyjaciół w okolicy. Może to potrwać jakiś tydzień, nim się wycofamy.

- Och? Więc to nie było całkiem zwycięstwo?

- Wierzę, że tak, ale po co podejmować niepotrzebne ryzyko? Warto poświęcić parę dni, żeby się przekonać.

- Rozsądnie - pokiwałem głową.

...Tak więc, jeżeli nie masz ochoty siedzieć w obozie, to nie widzę powodów, byś nie ruszył dalej, w stronę miasta. Utrzymuję w Avalonie kilka rezydencji i pomyślałem sobie, że mógłbyś zaczekać w jednej z nich. To niewielki dworek, moim zdaniem, całkiem miły. Leży niedaleko od miasta.

- Chętnie go zobaczę.

- Rano dam ci mapę i list do zarządcy.

- Dzięki, Benedykcie.

- Dołączę do ciebie, gdy tylko zakończę swoje sprawy tutaj - dodał. - A do tego czasu moi gońcy codziennie będą tamtędy przejeżdżać. Przez nich będę się z tobą kontaktował.

- Doskonale.

- A więc... znajdź sobie jakiś wygodny kawałek ziemi - zakończył. - Jestem pewien, że nie prześpisz sygnału na śniadanie.

- Rzadko mi się to zdarza - przyznałem. - Czy możemy spać tam, gdzie leżą nasze rzeczy?

- Oczywiście - zgodził się, po czym dokończyliśmy wino.

Kiedy wychodziliśmy z namiotu, chwyciłem wysoko płachtę u wejścia i ściągnąłem kilka cali w bok. Benedykt życzył mi dobrej nocy i odwrócił się pozwalając jej opaść swobodnie. Nie zauważył szczeliny, która powstała wzdłuż jednego z boków.

Przygotowałem sobie legowisko spory kawałek na prawo od naszych rzeczy, tak bym mógł patrzeć na namiot Benedykta. Grzebiąc w bagażu przeniosłem go także. Ganelon spojrział na mnie pytająco, lecz skinąłem tylko głową i wskazałem wzrokiem namiot. Spojrział tam, przytaknął i rozłożył swoje koce jeszcze bardziej na prawo.

Zmierzyłem wzrokiem odległość i podszedłem do niego.

- Wiesz - powiedziałem - wolałbym spać w tym miejscu. Możesz się zamienić? - I mruknąłem znacząco.

- Mnie tam bez różnicy - wrzucił ramionami.

Ogniska pogasły lub dogasały i większość ludzi już spała. Strażnik zwracał na nas uwagę jedynie przy kilku pierwszych obchodach. W obozie panowała cisza. Żadna chmura nie przysłaniała światła gwiazd. Byłem zmęczony; zapach dymu i wilgotnej ziemi przyjemnie drażnił moje nozdrza, przypominając o innych czasach i miejscach, o odpoczynkach u kresu dnia.

Zamiast jednak zamknąć oczy, oparłem się o swój worek, nabiłem i zapaliłem fajkę. Dwukrotnie zmieniałem pozycję, kiedy Benedykt przechadzał się po namiocie. Raz znikł mi z pola widzenia i przez kilka chwil pozostawał w ukryciu. Wtedy jednak poruszyło się światło i wiedziałem, że otwiera kufer.

Pojawił się znowu, sprzątnął ze stołu, cofnął się, wrócił i usiadł na swoim poprzednim miejscu. Przesunąłem się, by widzieć jego lewą rękę. Kartkował książkę lub coś mniej więcej tego samego formatu. Może karty?

Jasne.

Wiele bym dał, by móc choć raz spojrzeć na Atut, który w końcu wybrał i położył przed sobą. Wiele bym dał, by mieć teraz pod ręką Grayswandira na wypadek, gdyby ktoś nagle zjawił się w namiocie inną drogą niż wejście, przez które podglądałem. Czulem mrowienie w dłoniach i podeszwach stóp, jakbym spodziewał się walki lub ucieczki.

On jednak pozostał sam. Siedział nieruchomo przez jakiś kwadrans, a kiedy się w końcu poruszył, to tylko po to, by schować karty w kufrze i pogasić światła.

Strażnik ciągle obchodził obóz dookoła, a Ganelon zaczął chrapać.

Wypróżniłem Fajkę i obróciłem się na bok. Jutro, powiedziałem sobie. Jeżeli jutro obudzę się tutaj, wszystko będzie dobrze...

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 05

Ssałem źdźbło trawy i przyglądałem się, jak wiruje młyńskie koło. Leżałem nad strumykiem, na brzuchu, z głową podpartą rękami. W mgiełce nad wirami i pianą wodospadu powstała maleńka

łącza. Czasem jakaś kropla wody dolatywała aż tutaj. Jednostajny szum i plusk koła stłumiły wszystkie odgłosy lasu. Młyn był opuszczony i przyglądałem mu się, gdyż od wieków niczego takiego nie widziałem. Ruch koła i chlupot wody nie tylko uspokajały - hipnotyzowały niemal.

Już trzy dni mieszkaliśmy w rezydencji Benedykta. Ganelon pojechał zabawić się w mieście. Towarzyszyłem mu wczoraj i dowiedziałem się wszystkiego, co mnie interesowało. Nie miałem czasu na turystykę. Musiałem myśleć i działać. Szybko. W obozie nie mieliśmy żadnych kłopotów. Benedykt dopilnował, by nas nakarmiono, po czym wręczył mi obiecaną mapę i list. Wyruszyliśmy o wschodzie słońca i koło południa byliśmy na miejscu.

Przyjęto nas dobrze i gdy tylko urządziliśmy się we wskazanych nam pokojach, wyruszyliśmy do miasta, gdzie spędziliśmy czas do wieczora. Benedykt zamierzał jeszcze przez kilka dni pozostać w obozie. Będę musiał załatwić swoje sprawy, zanim wróci do domu. Trzeba będzie przygotować się do piekielnego rajdu. Nie było czasu na spokojną podróż. Musiałem przypomnieć sobie właściwe Cienie i ruszać wkrótce.

Miło by było pozostać w tym miejscu, tak podobnym do mojego Avalonu. Na przeszkodzie stały jednak plany, sięgające już granic obsesji. Zrozumienie tego nie było wcale równoważne z kontrolowaniem owej obsesji. Znajome obrazy i dźwięki rozproszyły mnie tylko na moment, już po chwili znowu wróciłem do swych planów.

Wszystko powinno się udać. Jeśli tylko nie wzbudzę podejrzeń, to jedna podróż rozwiąże dwa problemy. Będę musiał wyruszyć następnego ranka, ale przewidziałem to i udzieliłem instrukcji, jak ma mnie kryć.

Kiwając głową w rytm plusku łopatek koła starałem się oczyścić swój umysł, by przypomnieć sobie niezbędną grubość piasku, jego zabarwienie, temperaturę, wiatry, smak soli w powietrzu, obłoki...

Wtedy zasnąłem, śniłem, lecz nie o miejscu, którego szukałem. Zobaczyłem gigantyczne koło ruletki, na którym staliśmy wszyscy - moi bracia, siostry, ja sam i inni, których znałem teraz lub dawniej - wznosząc się i opadając, każdy na przydzielonym mu miejscu. Krzyczeliśmy wszyscy mijając szczyt, jęczeliśmy, by się zatrzymać. Koło zaczęło zwalniać, gdy wjeżdżałem w górę. Jasnowłosy młodzik przede mną wisiał głową w dół, wykrzykując prośby i ostrzeżenia tonące w kakofonii dźwięków. Jego twarz pociemniała i wykrzywiła się, stała się straszna. Odciałem powróz przytrzymujący jego nogę i chłopak spadł, znikł z pola widzenia. Koło zwolniło jeszcze bardziej. Zbliżyłem się do szczytu i wtedy zobaczyłem Lorraine. Gestykulowała gwałtownie i wymachiwała rękami wykrzykując moje imię. Pochyliłem się w jej stronę.

Widziałem ją wyraźnie, pragnąłem jej, chciałem pomóc - lecz koło kręciło się dalej i straciłem ją z oczu.

- Corwinie!

Próbowałem zignorować jej krzyk, gdyż byłem już niemal u szczytu. Ustyszałem go znowu, lecz tylko napiąłem mięśnie szyi do skoku. Jeśli koło nie zatrzyma się dla mnie, spróbuję je oszukać, choć upadek w dół oznaczałby klęskę. Byłem gotów. Jeszcze jeden szczebel...

- Corwinie!

Rutetka rozplynęła się, powróciła, znikła i znów patrzyłem na młyńskie koło, a moje imię dźwięczało mi w uszach, zlewało się z szumem strumienia i wnikało weń.

Zamrugałem i przeciągałem palcami po włosach. Na ramiona spadło mi kilka mleczy i usłyszałem śmiech.

Obejrzałem się szybko.

Stała dziesięć kroków ode mnie - wysoka, szczupła dziewczyna o ciemnych oczach i gładko

zaczepionych kasztanowych włosach... Miała na sobie szermierczą kurtkę, w prawej ręce trzymała rapier, a w lewej maskę. Patrzyła na mnie i śmiała się. Miała równe, białe, odrobinę za długie zęby, pas piegów biegł jej przez nos i górną część opalonych policzków. Miała w sobie jakąś żywotność, atrakcyjną, lecz inaczej niż zwykła uroda, zwłaszcza gdy ocenia się to z perspektywy wielu lat życia. Zasalutowała klingą.

- En garde, Corwinie! - powiedziała.

- Kim jesteś, do diabła? - zapytałem. Teraz dopiero zauważyłem kurtkę, maskę i rapier leżące obok mnie na trawie.

- Żadnych pytań, żadnych odpowiedzi - odparła. - Najpierw szermierka.

Włożyła maskę na głowę i czekała. Wstałem i podniosłem kurtkę. Wiedziałem, że łatwiej będzie z nią walczyć niż się spierać. Znała moje imię, co było niepokojące, a w dodatku im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wydawała mi się znajoma. Lepiej będzie ustąpić, zdecydowałem, po czym narzuciłem i zapiąłem kaftan. Podniosłem rapier i nasadziłem na głowę maskę.

- No dobrze - powiedziałem, zasalutowałem szybko i zbliżyłem się do niej.

Zrobiła krok naprzód i zaczęliśmy. Pozwoliłem jej atakować.

Rozpoczęła bardzo szybką serią zbiecie - finta - finta - pchnięcie. Moja riposta była dwa razy szybsza, lecz udało jej się odparować i zaatakowała z równą prędkością. Powoli zacząłem się cofać, a ona roześmiała się i natarła mocniej. Była dobra i wiedziała o tym. Chciała się pokazać. Dwa razy prawie mnie dosięgła, a to wcale mi się nie podobało. Trafiłem ją pchnięciem stopującym. Uznając punkt zakłęta cicho i z humorem, po czym znowu ruszyła do przodu. Zwykle nie lubię fechtować się z kobietami, choćby były dobre. Teraz jednak stwierdziłem, że walka daje mi radość. Kunszt i gracia jej ataków sprawiały, że z przyjemnością ją obserwowałem. Zastanawiałem się, czyj umysł kryje się za tym stylem. Na początku chciałem zmęczyć ją szybko, zakończyć spotkanie i porozmawiać. Teraz pragnąłem, by trwało jak najdłużej.

Nie miałem się czym martwić - nie męczyła się łatwo.

Straciłem poczucie czasu, gdy przesuwaliliśmy się tam i z powrotem na brzegu strumienia, a nasze klingi dźwięczały jednostajnie. Minęło sporo czasu, nim wyprostowała się i uniosła ostrze w końcowym pozdrowieniu. Zerwała maską z twarzy i uśmiechnęła się.

- Dziękuję - powiedziała zdyszana.

Zasalutowałem i zrzuciłem klatkę z głowy. Zacząłem rozpinać kaftan i zanim się zorientowałem, ona podbiegła i pocałowała mnie w policzek. I nie musiała do tego stawać na palcach. Przez chwilę czułem zakłopotanie, toteż uśmiechnąłem się. A zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wzięła mnie pod rękę i odwróciła w stronę, z której przyszliliśmy.

- Przyniosłam koszyk z jedzeniem - powiedziała.

- Bardzo dobrze. Jestem głodny. A także ciekawy...

- Powiem ci wszystko, co zechcesz usłyszeć - zapewniła.

- Może najpierw jak ci na imię?

- Dara - odrzekła. - Nazywam się Dara. Po mojej babce.

Spojrzała na mnie, jakby czekała na jakąś reakcję. Przykro mi było ją rozczarować, lecz tylko kiwnąłem głową.

- Dara - powtórzyłem. - Dlaczego nazwałaś mnie Corwinem?

- Bo to twoje imię - wyjaśniła. - Znam cię.

- Skąd?

Puściła moje ramię.

- O, tu jest - powiedziała, sięgnęła za drzewo i wzięła stojący na nagich korzeniach koszyk. -

Mam nadzieję, że mrówki nie dobrały się do jedzenia.

Przeszła do cienia nad strumykiem i rozłożyła na ziemi mały obrus.

Powiesiłem sprzęt szermierczy na najbliższym krzaku.

- Sporo rzeczy nosisz ze sobą - zauważyłem.

- Mój koń czeka tam dalej - wyjaśniła i wskazała głową w dół strumienia. Przycisnęła obrus kamieniami i zaczęła wypakowywać koszyk.

- Dlaczego tam dalej? - zdziwiłem się.

- Żebyś mogła cię zaskoczyć, oczywiście. Gdybyś usłyszał stuk kopyt, obudziłbyś się na pewno.

- Chyba masz rację.

Znieruchomiała, jakby głęboko zamyślona, lecz zachichotała i zdradziła się:

- Wprawdzie za pierwszym razem się nie obudziłeś, lecz mimo to...

- Za pierwszym razem? - spytałem widząc, że na to czeka.

- Tak. Prawie na ciebie najechałam jakiś czas temu - wyjaśniła. - Spałeś głęboko. Kiedy zobaczyłam, kto to, wróciłam po koszyk i sprzęt.

- Rozumiem.

- Chodź i siadaj - poleciła. - I otwórz butelkę, dobrze?

Postawiła flaszkę obok mojego miejsca, po czym ostrożnie odpakowała dwa kryształowe puchary. Postawiła je na obrusie.

Podszedłem i siadłem.

- Najlepsze kryształy Benedykta - zauważyłem, wyciągając korek.

- Tak - potwierdziła. - Uważaj, żebyś ich nie przewrócił, jak będziesz nalewał. I chyba lepiej się nimi nie trącać.

- Chyba lepiej nie - zgodziłem się i nalałem.

Podniosła kielich.

- Za ponowne spotkanie - powiedziała.

- Czyje spotkanie?

- Nasze.

- Nigdy cię przedtem nie widziałem.

- Nie bądź taki prozaiczny - powiedziała i upiła trochę wina.

Wzruszyłem ramionami.

- Za ponowne spotkanie.

Wzięła się do jedzenia, więc poszedłem za jej przykładem. Była tak zachwycona atmosferą tajemniczości, którą udało się wytworzyć, że miałem ochotę pomóc jej, by się nie rozczarowała.

- Gdzie ja mogłem cię spotkać? - spróbowałem. - Na jakimś dworze? A może w haremie?

- A może w Amberze? - zasugerowała. - Byłeś tam...

- W Amberze? - powtórzyłem. Pamiętałem, że trzymam w ręku najlepszy kryształ Benedykta, i dlatego ograniczyłem wyrażenie emocji jedynie do tonu głosu. - Kim ty właściwie jesteś?

...Byłeś tam, przystojny, dumny, adorowany przez damy - mówiła dalej. - I ja tam byłam, mała myszka, podziwiająca cię z daleka. Szara, wyblakła, nieciekawa mała Dara - później rozkwitła, muszę zauważyć - że złamanym przez ciebie sercem...

Mruknąłem jakieś niezbyt ostre przekleństwo, a ona roześmiała się.

- Więc nie tam? - spytała.

- Nie - potwierdziłem. Ugryzłem kawał chleba z masłem. - To był raczej burdel, gdzie nadwerżyłem sobie grzbiet. Byłem wtedy pijany...

- Więc pamiętasz? - ucieszyła się. - Tam tylko sobie dorabiałam. W ciągu dnia ujeżdżałam konie.

- Poddaję się - oświadczyłem, dolewając wina.

Irytował mnie fakt, że było w niej coś diabelnie znajomego. Wygląd jednak i zachowanie świadczyły, że może mieć około siedemnastu lat. A to praktycznie wykluczało możliwość, by nasze drogi kiedyś się skrzyżowały.

- Czy to Benedykt uczył cię szermierki? - spytałem.

- Tak.

- Kim on jest dla ciebie?

- Moim kochankiem, naturalnie - odparła. - Obsypuje mnie klejnotami, futrami... i fechtuje się ze mną.

Znów się roześmiała.

Tak, to było możliwe...

- Czuję się urażony - stwierdziłem.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Benedykt nie dał mi cygara.

- Cygara?

- Jesteś jego córką, prawda?

Zaczerwieniła się, lecz pokręciła przecząco głową.

- Nie. Ale jesteś blisko.

- Wnuczką? - spróbowałem.

- Coś w tym rodzaju.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Lubi, kiedy nazywam go dziadkiem. W rzeczywistości jednak jest ojcem mojej babki.

- Rozumiem. Czy w domu jest więcej takich osób jak ty?

- Nie. Jestem sama.

- A twoja matka? I babka?

- Obie nie żyją.

- Jak umarły?

- Tragicznie. Był w Amberze oba razy, kiedy to się stało. Chyba dlatego nie wraca tam już od dłuższego czasu. Nie chce zostawiać mnie samej, choć wie, że potrafię się obronić. Ty też to wiesz, prawda?

Kiwnąłem głową. To wyjaśniało kilka spraw, między innymi dlaczego był tutaj protektorem. Musiał ją gdzieś trzymać, a pewnie wolałby nie wracać z nią do Amberu. Nie chciałby nawet, żebyśmy wiedzieli o jej istnieniu. Zbyt łatwo można by jej użyć przeciw niemu. Niemożliwe, by życzył sobie, abym ją poznał. A więc...

- Nie wierzę, żebyś miała być tutaj - powiedziałem. - I czuję, że Benedykt gniewałby się, gdyby się dowiedział, że jesteś.

- Mówisz tak samo jak on! Do licha, jestem już dorosła.

- Czyżbym twierdził coś innego? Ale powinnaś być teraz gdzie indziej, prawda?

Nie odpowiedziała i zajęła się jedzeniem. Zrobiłem to samo. U płynęło kilka nieprzyjemnych minut wypełnionych milczącym przeżuwaniami. Spróbowałem innego tematu -

- Jak mnie rozpoznałaś? - spytałem.

Przełknęła, popiła winem i uśmiechnęła się.

- Z twojego portretu, oczywiście - wyjaśniła.

- Jakiego portretu?

- Na karcie - odparła. - Graliśmy tymi kartami, kiedy byłam mała. W ten sposób poznałam

wszystkich krewnych. Ty i Eryk jesteście dobrymi szermierzami. To dlatego...

- Czy masz komplet Atutów? - przerwałem.

- Nie - nadała się. - Nie chciał mi dać. A wiem, że sam ma kilka.

- Naprawdę? Gdzie je trzyma?

Spojrzała na mnie przez zmrużone powieki. Do diabła, nie chciałem, by poznała, jak bardzo mnie to interesuje. Ale...

- Zawsze trzyma jeden komplet przy sobie - poinformowała. - Nie mam pojęcia, gdzie chowa pozostałe. Czemu pytasz? Nie pozwoliliby ci ich obejrzeć?

- Nie prosiłem go - wyjaśniłem. - Czy rozumiesz ich znaczenie?

- Było kilka rzeczy, których nie pozwalał mi robić w ich pobliżu. Rozumiem, że te karty mają jakieś specjalne zastosowanie, ale nigdy mi nie powiedział, o co chodzi. Są dość ważne, prawda?

- Prawda.

- Tak myślałam. Jest z nimi bardzo ostrożny. Czy ty masz swoją talię?

- Tak, ale wypożyczyłem ją na pewien czas.

- Rozumiem. I chciałbyś jej użyć do czegoś skomplikowanego i groźnego.

Wzruszyłem ramionami.

- Chciałbym użyć, ale do zupełnie prostych i prymitywnych celów.

- Na przykład jakich?

Pokręciłem głową.

- Jeśli Benedykt nie chce, byś znała działanie tych kart, to nie będę ci nic wyjaśniał.

Mruknęła coś pod nosem.

- Boisz się go - stwierdziła.

- Żywię dla niego szacunek, że już nie wspomnę o uczuciach.

Roześmiała się.

- Czy on walczy lepiej od ciebie? Jest lepszym szermierzem?

Odwróciłem wzrok. Musiała wrócić gdzieś z bardzo daleka. W mieście wszyscy, których spotkałem, wiedzieli już o ręce Benedykta. Takie wieści szybko się rozchodzą.

Nie miałem ochoty być pierwszym, który jej o tym powie.

- Możesz sobie myśleć, co ci się podoba - oświadczyłem. - Gdzie byłaś dotąd?

- W wiosce - odparła. - W górach. Dziadek zawiózł mnie tam do swoich przyjaciół. Nazywają się Tecysowie. Znasz ich?

- Nie, nie znam.

- Byłam tam już - powiedziała. - Dziadek zawsze mnie tam zabiera, kiedy szykują się jakieś kłopoty. To miejsce nie ma nazwy. Mówię na nie po prostu: wioska.

Jest dziwna... i ludzie też jacyś dziwni. Wydaje się, że... no, czczą nas. Traktują mnie jak jakąś świętość i nigdy nie mówią niczego, o czym chciałabym się dowiedzieć. To niedaleko stąd, ale góry są tam inne, niebo jest inne... wszystko! I jest tak, jakby nie było drogi powrotnej, kiedy już się tam dotrze. Próbowałam wrócić na własną rękę, ale tylko się zgubiłam. Dziadek musi po mnie przyjechać i wtedy powrót jest łatwy. Tecysowie wypełniają wszystkie jego polecenia i traktują go niczym boga.

- Jest bogiem - wyjaśniłem. - Dla nich.

- Mówiłeś, że ich nie znasz.

- Nie muszę ich znać. Znam Benedykta.

- Jak on to robi? Powiedz.

Pokręciłem głową.

- A jak ty to zrobiłaś? - spytałem. - Jak udało ci się wrócić tym razem?

Dopiła wino i wyciągnęła rękę z kielichem. Napełniłem go, a kiedy znów na nią spojrzałem, przechyliła głowę na prawe ramię, zmarszczyła brwi i utkwiała spojrzenie w czymś bardzo dalekim.

- Tak naprawdę to sama nie wiem - powiedziała, uniosła kielich i z roztargnieniem wypła łyk wina - Nie jestem pewna, jak zdołałam tego dokonać.

Palcami lewej dłoni zaczęła obracać swój nóż. Potem podniosła go.

- Byłam wściekła. Wściekła jak diabli o to, że znów chce mnie tam wpakować. Powiedziałam, że chcę zostać tutaj i walczyć, ale zabrał mnie i po pewnym czasie trafiliśmy do wioski. Nie wiem jak. To nie była długa podróż. Nagle znaleźliśmy się na miejscu. Znam tę okolicę, urodziłam się tutaj i wychowałam, przejechałam setki lig we wszystkich kierunkach. I nigdy nie potrafiłam znaleźć wioski, kiedy jej szukałam. A jednak zdawało mi się, że po niedługiej jeździe byliśmy już u Tecysów. Od ostatniego razu minęło kilka lat i teraz, kiedy już dorosłam, potrafię być bardziej zdecydowana. Postanowiłam wrócić samodzielnie.

Drapała i grzebała nożem w ziemi, chyba nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

- Poczekajłam do wieczora - mówiła dalej. - Obserwowałam gwiazdy, żeby ustalić kierunek. To było jakieś nierzeczywiste. Gwiazdy były zupełnie inne. Nie mogłam rozpoznać żadnej konstelacji. Wróciłam do chaty i zaczęłam się zastanawiać. Byłam trochę przestraszona i nie bardzo wiedziałam, co robić. Przez cały następny dzień starałam się uzyskać jakąś informację od Tecysów i innych ludzi z wioski. Ale to było jak zły sen. Albo wszyscy byli głupi, albo specjalnie starali się wszystko pogmatwać. Nie tylko nie było sposobu, żeby przedostać się stamtąd tutaj, ale w dodatku nie mieli pojęcia, gdzie jest "tutaj" i nie byli zbyt pewni co do "tam". Nocą raz jeszcze przyjrzałam się gwiazdom, żeby się upewnić, i już prawie byłam gotowa im uwierzyć.

Przesuwała nóż tam i z powrotem, jakby go ostrzyła, wygładzając i wyrównując ziemię. Potem zaczęła kreślić jakieś linie.

- Przez kilka dni próbowałam odnatezić drogę powrotną - mówiła. - Miałam nadzieję, że uda mi się odszukać nasze ślady i wrócić po nich, ale one jakby znikaly. Potem zrobiłam jedyną rzecz, jaką potrafiłam wymyślić. Każdego ranka wyruszałam w innym kierunku, jechałam aż do południa i wracałam do wioski. Nie natrafiłam na nic znajomego. To było niesamowite. Każdej nocy kładłam się spać bardziej zła i zirytowana na całą tę sytuację - i coraz bardziej zdecydowana znaleźć swoją drogę do Avalonu. Musiałam pokazać dziadkowi, że nie może dłużej traktować mnie jak małe dziecko, zamykać i oczekiwać, że będę grzeczna.

Umilkła na chwilę.

- Po tygodniu zaczęły mnie nawiedzać sny. A raczej koszmary. Czy śniłeś kiedyś, że biegniesz i biegniesz, i nie ruszasz się z miejsca? To było coś w tym rodzaju... I płonąca pajęczyna. Tyte że to nie była pajęczyna, nie było w niej żadnego pajaka, i ona nie płonęła. Ale wpadłam w nią, biegałam dookoła i przez środek, ale nie poruszałam się. To nie było dokładnie tak, ale nie wiem, jak lepiej tu wytłumaczyć. Musiałam ciągle próbować, chciałam tego, chciałam po niej chodzić. Budziłam się zmęczona, jakbym rzeczywiście wysilała się przez całą noc. Ten sen powtarzał się przez wiele dni i za każdym razem był wyraźniejszy, dłuższy, bardziej realny. Aż pewnego ranka wstałam, a wizja trwała jak żywa w mojej głowie i wiedziałam, że potrafię wrócić do domu. Ruszyłam, zdaje się, że cały czas na pół we śnie. Przejechałam bez zatrzymania całą odległość. Tym razem nie zwracałam uwagi na okolicę, tylko myślałam o Avalonie... A kiedy jechałam, wszystko stawało się coraz bardziej i bardziej znajome, aż w końcu byłam już tutaj. Chyba dopiero wtedy przebudziłam się do końca. A teraz wioska, Tecysowie, tamto niebo, gwiazdy, tamten las i góry, wszystko wydaje mi się snem. Wcale nie jestem pewna, czy potrafiłabym tam wrócić. Czy to nie dziwne? Możesz to wytłumaczyć?

Wstałem i okrążyłem resztki naszego posiłku, by usiąść obok niej.

- Czy pamiętasz, jak wyglądała ta płonąca pajęczyna, która nie płonęła i nie była pajęczyną? - spytałem.

- Tak... mniej więcej - odparła.

- Daj mi ten nóż - poprosiłem.

Wyciągnęła go w moją stronę.

Zacząłem końcem ostrza poprawiać jej bazgraninę; wydłużałem niektóre linie, zacierałem inne, dodawałem nowe. Przez cały czas nie powiedziała ani słowa, ale bacznie obserwowała każdy mój ruch. Skończyłem, odłożyłem nóż i w milczeniu czekałem przez długą chwilę.

Odezwała się w końcu, bardzo cicho.

- Tak, to jest to - oświadczyła, odwracając się od rysunku, by spojrzeć na mnie. - Skąd wiedziałeś? Skąd mogłeś wiedzieć, o czym śniłam?

- Ponieważ śniłaś o czymś, co jest wyryte w twoich genach - wyjaśniłem. - Nie wiem jak ani dlaczego. To jednak dowód, że istotnie jesteś córką Amberu. To, czego dokonałaś, to przejście przez Ciebie. Twój sen to Wielki Wzorzec Amberu. Dzięki jego mocy ci, którzy są królewskiej krwi, mają władzę nad Cieniami. Czy rozumiesz, o czym mówię?

- Nie jestem pewna - odparła. - Chyba nie. Często słyszałam, jak dziadek przeklina Cienie, ale nigdy nie wiedziałam, co ma na myśli.

- Więc nie wiesz, gdzie naprawdę leży Amber?

- Nie zawsze odpowiadał wymijająco. Opowiedział mi o rodzinie i o Amberze, ale nie wiem nawet, w którą to stronę. Tyle tylko, że to daleko.

- Amber leży we wszystkich kierunkach - powiedziałem. - Albo w każdym, który wybierzesz. Trzeba tylko...

- Tak! - przerwała. - Zapomniałam, a może po prostu zdawało mi się, że chce być tajemniczy. Brand mówił dokładnie to samo, dawno temu. Co to znaczy?

- Brand! Kiedy on tu był?

- Wiele lat temu - odparła. - Byłam wtedy małą dziewczynką. Często tu bywał. Kochałam się w nim, nie dawałam mu spokoju. Opowiadał mi różne historie, uczył gier...

- Kiedy ostatnio go widziałaś?

- Osiem, może dziewięć lat temu.

- A znasz może kogoś z pozostałych?

- Tak - przyznała. - Julian i Gerard byli tu całkiem niedawno. Parę miesięcy temu.

Nagle poczułem się niepewnie. Benedykt z pewnością nie poinformował mnie o wielu sprawach. Wolałbym raczej, żeby mnie okłamał, niż żebym miał pozostać w nieświadomości. Łatwiej się wtedy rozgniewać, gdy człowiek się dowie. Kłopot z Benedyktem polegał na tym, że był on zbyt uczciwy. Wolał nic nie mówić niż kłamać.

Czułem jednak, że zbliża się coś niezbyt przyjemnego i nie mogę już sobie pozwolić na marnowanie czasu, że będę musiał działać najszybciej, jak się da. Tak, czekający mnie piekielny rajd nie będzie łatwy. Lecz zanim wyruszę, mogę się jeszcze dowiedzieć wielu rzeczy. Czas... Niech to diabli!

- Czy spotkałaś ich wtedy po raz pierwszy?

- Tak - potwierdziła. - I zostałam obrażona - westchnęła. - Dziadek nie pozwolił mi mówić o naszym pokrewieństwie. Przedstawił mnie jako swoją wychowanicę i nie chciał powiedzieć czemu. Nieładnie.

- Jestem pewien, że miał ważne powody.

- Och, ja także. Ale jak może czuć się ktoś, kto całe życie czeka, by poznać swoich krewnych. Może ty wiesz, dlaczego mnie tak potraktował?

- Dla Amberu nadeszły ciężkie czasy - wyjaśniłem. - I zanim się coś poprawi, będzie jeszcze gorzej. Im mniej ludzi wie o twoim istnieniu, tym mniejsza jest groźba, że zostaniesz w coś wplątana i ucierpisz przy tym. Zrobił to tylko dla twojego dobra.

- Nie potrzebuję ochrony - parsknęła. - Sama sobie poradzę.

- Jesteś świetnym szermierzem - przyznałem. - Niestety, życie jest bardziej skomplikowane niż uczciwy pojedynek.

- Wiem. Nie jestem dzieckiem. Ale...

- Żadne "ale"! Zrobił to, co i ja bym zrobił, gdybyś była moja. Chroni siebie tak samo jak ciebie. Dziwię się, że pozwolił Brandowi dowiedzieć się o tobie. I pewnie będzie wściekły jak diabeł, kiedy się dowie, że ja wiem.

Potrząsnęła gwałtownie głową i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Ale ty nie zrobisz niczego, co by nam zaszkodziło - powiedziała. - Jesteśmy... jesteśmy spokrewnieni...

- A skąd, do diabła, wiesz, po co tu przyjechałem i jakie mam zamiary? Być może właśnie oboje wkładacie sobie pętlę na szyję?

- Żartujesz, prawda? - wolno podniosła lewą rękę, jakby chciała się przede mną zasłonić.

- Nie wiem - mruknąłem. - Może i nie..., ale nie mówiłbym o tym, gdybym naprawdę myślał o czymś paskudnym, prawda?

- Nie... chyba nie.

- Powiem ci coś, co Benedykt powinien ci powiedzieć już dawno - rzekłem. - Nigdy nie ufaj krewnym. O wiele lepiej jest zaufać obcemu. Z obcym zawsze masz szansę, że będziesz bezpieczna.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

- Tobie też nie?

- Mnie to, oczywiście, nie dotyczy - uśmiechnąłem się. - Jestem uosobieniem honoru, uczciwości, miłosierdzia i dobroci. Ufaj mi we wszystkim.

- Będę - odparła.

Roześmiałem się.

- Naprawdę - upierała się. - Ty nas nie skrzywdzisz. Wiem o tym.

- Opowiedz mi o Gerardzie i Julianie - poprosiłem nieco zakłopotany, jak zwykle wobec spontanicznych przejawów zaufania. - Jaki był powód ich wizyty?

Milczała przez chwilę i przyglądała mi się uważnie.

- Powiedziała ci już dość dużo - oświadczyła w końcu. - Prawda? Miałeś rację. Nigdy dość ostrożności. Uważam, że teraz twoja kolej.

- Brawo. Uczysz się prawidłowego postępowania. Co chciałabyś wiedzieć?

- Gdzie naprawdę leży wioska? I Amber? Są trochę do siebie podobne, prawda? Co miałeś na myśli mówiąc, że Amber leży we wszystkich kierunkach albo w każdym? Co to są Cienie?

Wsmęłem. Spojrzałem na nią i wyciągnąłem rękę. Wyglądała na bardzo młodą i bardziej niż trochę przestraszoną, lecz podała mi dłoń.

- Gdzie...? - zapytała wstając.

- Tędy - odparłem i poprowadziłem ją w miejsca, gdzie spałem i skąd obserwowałem wodospad i młyńskie koło.

Zacząła mówić, lecz przerwałem jej.

- Patrz. Po prostu patrz - powiedziałem.

Staliśmy więc obserwując pęd, plusk i obroty, a ja starałem się uporządkować myśli. Wreszcie...

- Chodź - rzekłem, biorąc ją za rękę i kierując się w stronę lasu.

Weszliśmy pomiędzy pnie. Chmura przesłoniła słońce i cienie pogłębiły się. Głosy ptaków nabrały ostrości i wilgoć uniosła się z ziemi. Szliśmy od drzewa do drzewa, a ich liście były coraz dłuższe i szersze. Znowu pojawiło się słońce, lecz blask był bardziej żółty. Za zakrętem napotkaliśmy zwisające liany. Krzyki ptaków były coraz bardziej chrapliwe, coraz głośniejsze. Nasza droga prowadziła pod górę. Przeszliśmy obok nagiej skały, dostając się na wyższy teren. Gdzieś z tyłu dobiegał daleki, ledwie słyszalny grzmot. Kiedy szliśmy po odkrytym terenie, niebo nad nami miało inny odcień błękitu. Przestraszyliśmy wielką brunatną jaszczurkę, wygrzewającą się na kamieniu.

- Nie wiedziałam, że jest tu coś takiego - powiedziała, gdy okrążyliśmy kolejne rumowisko głazów. - Nigdy tu nie byłam.

Nic nie odpowiedziałem. Byłem zbyt zajęty kształtowaniem tworzywa Cienia.

Znowu weszliśmy w las, lecz droga wiodła w górę. Drzewa były teraz tropikalnymi olbrzymami, między którymi gęsto rosły paprocie. Dały się słyszeć nowe głosy - szczeknięcia, syki, brzęczenia. Wchodziliśmy coraz wyżej, a grzmot wokół nas narastał, aż ziemia zdawała się dygotać. Dara ścisnęła moje ramię, milczała, lecz chłoneła wszystko spojrzeniem. Spotkaliśmy wielkie, blade kwiaty i kałuże w miejscach, gdzie skraplała się wilgoć. Temperatura wzrosła i oboje byliśmy spoceni. Huk zmienił się w potężny ryk, a kiedy w końcu wyszliśmy spośród drzew, był już grzmotem bijących bez przerwy gromów. Poprowadziłem ją na krawędź urwiska i skinąłem ręką przed siebie i w dół.

Miała ponad trzysta metrów: potężna katarakta, niby młot bijąca szarą wodę rzeki. Silny prąd daleko unosił bąble powietrza i strzępy piany, nim w końcu rozplywały się w nicość. Naprzeciw nas, odległe o jakieś pół mili, częściowo przesłonięte mgłą i tęczą, podobne do wyspy poruszanej ciosem tytana, obracało się wolno gigantyczne koło, ciężkie i lśniące. Wysoko w górze ogromne ptaki, niby szybujące krucyfiksy, chwytaly powietrzne prądy.

Staliśmy tam dość długo. Rozmowa była niemożliwa, czego nie żałowałem. Kiedy po pewnym czasie, mrużąc oczy, spojrzała na mnie w zamyśleniu, kiwnąłem głową i wskazałem wzrokiem las. Zawróciliśmy w stronę, z której tu przyszliśmy.

Nasz powrót był odwróceniem przebytej drogi i przyszedł mi z większą łatwością. Znowu można było rozmawiać, lecz Dara zachowała milczenie, najwyraźniej pojmując już, że jestem częścią zmian zachodzących wokół.

Odezwała się dopiero wtedy, gdy stanęliśmy nad naszym strumieniem i spojrzeliśmy na wirujące tu niewielkie młyńskie koło.

- Czy to miejsce było takie jak wioska?

- Tak. To Cień.

- I jak Amber.

- Nie. Amber rzuca Cień. Jeżeli wie się jak, można go uformować w dowolny kształt. Tamto miejsce było Cieniem, twoja wioska była Cieniem - i to miejsce jest Cieniem. Wszystko, co potrafisz sobie wyobrazić, istnieje gdzieś w Cieniu.

- A ty i dziadek, i reszta możecie chodzić wśród tych Cieni i wybierać, który chcecie?

- Tak.

- I to właśnie zrobiłam wracając z wioski?

- Tak.

Jej twarz odmieniła się w olśnieniu. Prawie czarne brwi opadły w dół, a szybki oddech

rozszerzył nozdrza.

- Ja także to potrafię... - powiedziała. - Trafiać, gdzie zechcę, robić, co zechcę!

- Masz takie możliwości - potwierdziłem.

Pocałowała mnie nagle. Potem odwróciła się. Włosy falowały na jej wąskich ramionach, gdy starała się ogarnąć spojrzeniem wszystko jednocześnie.

- A zatem potrafię wszystko - oświadczyła nieruchomiejąc.

- Są pewne ograniczenia, niebezpieczeństwa...

- Takie jest życie - stwierdziła. - Jak nauczyć się to kontrolować?

- Kluczem jest Wielki Wzorzec Amberu. Musisz przez niego przejść, by nabyć tę umiejętność.

Jest wryty na podłodze komory pod pałacem w Amberze. Jest dość rozległy. Trzeba zacząć od zewnątrz i dotrzeć do środka nie zatrzymując się. Opór jest silny i stanowi to ciężką próbę. Jeśli się zatrzymasz, jeśli spróbujesz opuścić Wzorzec przed końcem, on cię zniszczy. Jeśli go jednak dopełnisz, twoja władza nad Cieniem stanie się podległa świadomej kontroli.

Popędziła na miejsce naszego pikniku i zaczęła studiować nakreślony na piasku Wzorzec.

Powoli ruszyłem za nią.

- Muszę jechać do Amberu! - zawołała, gdy się zbliżyłem. - I przejść przez niego!

- Jestem pewien - stwierdziłem - że Benedykt zamierza ci to kiedyś umożliwić.

- Kiedyś! - krzyknęła. - Teraz! Muszę przez niego przejść! Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedział?

- Ponieważ na razie to niewykonalne. Sytuacja w Amberze jest taka, że byłoby niebezpieczne dla was obojga, gdyby ktoś tam dowiedział się o twoim istnieniu. Chwilowo Amber jest dla cichie zamknięty.

- To nieuczciwe! - oświadczyła, obrzucając mnie gniewnym spojrzeniem.

- Oczywiście, że nie - przyznałem. - Ale tak to teraz wygląda. To nie moja wina.

Ostatnie zdanie przeszło mi przez usta z pewnym trudem. Część winy, oczywiście, była moja.

- Nie wiem, czy nie lepiej byś zrobił nie mówiąc mi o tym wszystkim - stwierdziła. - Skoro i tak nie mogę tego osiągnąć.

- Nie jest aż tak źle - zapewniłem. - Sytuacja w Amberze znów się ustabilizuje. Już niedługo.

- A jak ja się o tym dowiem?

- Benedykt będzie wiedział. Powie ci.

- Do tej pory nie uznał za stosowne powiedzieć mi o czymkolwiek.

- A po co? Żeby ci było przykro? Wiesz, że był dla ciebie dobry i troszczył się o ciebie. Kiedy nadejdzie pora, zaczniesz działać w twoim imieniu.

- A jeśli nie? Pomożesz mi wtedy?

- Zrobię, w będę mógł.

- Jak będę mogła cię znaleźć? Żeby dać ci znać?

Uśmiechnąłem się. Doszedłem do tego punktu bez specjalnych wysiłków. Nie było potrzeby mówić jej o tym, co było naprawdę ważne. Wystarczy tyle, żeby mogła mi się później przydać...

- Karty - wyjaśniłem. - Rodzinne Atuty. To coś więcej niż objaw sentymentu. Są środkiem komunikacji. Weź mój, spójrz na niego, skoncentruj się, postaraj się odsunąć od siebie wszystkie inne myśli, spróbuj uwierzyć, że to naprawdę ja i mów. Zobacysz, że to działa. Odpowiem ci.

- To właśnie tego dziadek nie pozwolił mi robić w czasie zabawy kartami!

- Oczywiście.

- Jak to działa?

- O tym kiedy indziej - odparłem. - Coś za coś. Pamiętasz? Opowiedziałem ci jaż o Amberze i o

Cieniu. Teraz ty mi opowiesz o wizycie Gerarda i Juliana.

- Dobrze - zgodziła się. - Choć nie ma wiele do opowiadania. Pewnego ranka, pięć czy sześć miesięcy temu, dziadek zwyczajnie przerwał to, co akurat robił. Przycinał drzewa w sadzie - lubi sam się tym zajmować - a ja mu pomagałam. Był na drabinie, obcinał gałązki i nagle zatrzymał się, opuścił nożyce i nie ruszał się przez kilka minut. Myślałam, że po prostu odpoczywa, i grabiłam dalej.

Wtedy usłyszałam, że coś mówi; nie mruczy do siebie, ale mówił, jakby prowadził rozmowę. Z początku sądziłam, że odezwał się do mnie, i zapytałam, co powiedział. Ale on nie zwrócił na mnie uwagi. Teraz, kiedy wiem o Atutach, zdaję sobie sprawę, że musiał rozmawiać z jednym z nich. Chyba z Julianem. A potem zszedł szybko z drabiny, powiedział, że musi wyjechać na dzień czy dwa, i ruszył w stronę domu. Zaraz jednak zatrzymał się i zawrócił. To właśnie wtedy powiedział mi, że gdyby Julian i Gerard się zjawili, mam być przedstawiona jako jego wychowanica, osierocona córka wiernego sługi. Odjechał niedługo potem, biorąc dwa luźne konie. Miał z sobą miecz. Wrócił w środku nocy przywożąc ich obu. Gerard był ledwie przytomny. Miał złamaną lewą nogę i cały lewy bok strasznie poobcierany. Julian też mocno ucierpiał, ale kości miał całe. Zostali u nas ponad pół miesiąca. Wyzdrowieli szybko. Potem pożyczyli dwa konie i odjechali. Więcej ich nie widziałam.

- Czy mówili, jak zostali ranni?

- Tylko tyle, że to był wypadek. Nie rozmawiali o tym ze mną.

- Gdzie? Gdzie tu się stało?

- Na czarnej drodze. Kilka razy słyszałam, jak o tym mówili.

- Gdzie jest czarna droga?

- Nie wiem.

- Co o niej mówili?

- Przeklinali ją mocno. To wszystko.

Zauważyłem, że w butelce zostało jeszcze trochę wina. Schyliłem się i nalałem do kielichów. Podałem jej jeden.

- Za ponowne spotkanie - uśmiechnąłem się.

- Za spotkanie - przytaknęła i wypiliśmy.

Zaczęła sprzątać naczynia. Pomagałem jej, znów silnie odczuwając konieczność pośpiechu.

- Jak długo mam czekać, zanim się z tobą skontaktuję? - spytała.

- Trzy miesiące. Daj mi trzy miesiące.

- Gdzie wtedy będziesz?

- Mam nadzieję, że w Amberze.

- A jak długo zostaniesz tutaj?

- Niedługo. Szczerze mówiąc, muszę zaraz wyjechać. Jutro powinienem być z powrotem. Potem zostanę jeszcze pewnie kilka dni.

- Chciałabym, żebyś był tu dłużej.

- Ja też bym chciał. Zwłaszcza teraz, kiedy poznałem ciebie.

Zarumieniła się i całą - na pozór - uwagę skupiła na pakowaniu koszyka. Wziąłem sprzęt do fechtunku.

- Wracasz teraz do domu? - spytała.

- Do stajni. Wyjeżdżam narychmiast.

Podniosła koszyk.

- Pójdziemy razem. Mój koń czeka z tamtej strony.

Kiwnąłem głową i poszedłem za nią w prawo, do ścieżki.

- Przypuszczam - stwierdziła - że lepiej będzie nie wspominać o tym wszystkim nikomu, a zwłaszcza dziadkowi. Prawda?

- Tak będzie najrozsądniej.

Plusk i bulgot strumyka płynącego ku rzece dążącej do morza cichł, zanikał, milkł - i tylko stuk przykutego do ziemi koła, rozcinającego potok w jego drodze, przez jakiś czas jeszcze unosił się w powietrzu.

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 06

Stałe posuwanie się naprzód jest zwykle ważniejsze od prędkości. Jak długo dopływa równomierny ciąg bodźców, o które da się zaczepić umysł, można sobie pozwolić na ruch poprzeczny. A kiedy ten się zacznie, to jego tempo jest tylko kwestią rozważli.

Tak więc, zgodnie ze wskazaniem rozsądku, jechałem wolno. Nie warto było niepotrzebnie męczyć Gwiazdy. Szybkie zmiany są trudne nawet dla ludzi. Zwierzęta nie potrafią tak dobrze się okłamywać i przeżywają je jeszcze ciężiej. Czasem nawet szaleją.

Po małym drewnianym mostku przejechałem nad strumieniem i przez jakiś czas podążałem równolegle do jego koryta. Miałem zamiar ominąć miasto i trzymać się strumienia, póki nie dotrę do wybrzeża. Było wczesne popołudnie. Grayswandir wisiał u mego boku.

Zboczyłem nieco na zachód, by dotrzeć do leżącego tam pasma wzgórz. Wolałem nie zaczynać zmiany, póki nie stanąłem w miejscu, z którego mogłem popatrzeć na miasto - największe skupisko ludności w tej krainie, tak podobnej do mojego Avalonu. Nazywało się tak samo; żyło w nim i pracowało kilka tysięcy ludzi. Brakowało srebrnych wież i strumień przecinał je pod innym kątem, bardziej z południa, ośmiokrotnie szerszy czy może poszerzony. Widziałem, jak południowy wietrzyk rozwiewa dymy unoszące się z karczmy i kuźni.

Ludzie - konno, pieszo, wozami i karetami - poruszali się po wąskich ulicach, wchodzili i wychodzili ze sklepów, zajazdów i rezydencji. Chmury ptaków krążyły, siadały i wlatywały wokół miejsc, gdzie stały konie. Poruszały się jaskrawe proporce i flagi, skrzyła się woda i delikatna mgiełka przesłaniała widok. Byłem zbyt daleko, by słyszeć głosy ludzi, brzęczenie, kucie, piłowanie, turkot i w ogóle cokolwiek poza szumem. Nie mogłem rozróżnić żadnych odrębnych zapachów, ale nawet gdybym ciągle jeszcze był ślepcem, poznałbym, że miasto jest blisko.

Obserwując je z góry poczułem nagle przypływ smutnej zadumy i tęsknoty za miejscem o tej samej nazwie, leżącym gdzieś w krainie Cienia, która dawno już zniknęła: życie było w niej proste, ja sam zaś szczęśliwszy niż teraz.

Nie da się jednak przejść przez życie tak długie jak moje nie osiągając pewnych cech umysłu, które tłumią naiwne uczucia i niechętnie traktują wszelkiego rodzaju sentymenty.

Dawne dni minęły, sprawa była skończona i teraz Amber pochłaniał mnie całkowicie. Zawróciłem i ruszyłem na południe z mocnym postanowieniem odniesienia zwycięstwa. O Amberze nie potrafiłbym zapomnieć...

Słońce nad moją głową stało się oślepiająco jaskrawym bąblem. Zawył wiatr. Jechałem, a niebo było coraz bardziej żółte i błyszczące, aż wreszcie zdało mi się, że to pustynia rozciąga się w górze od horyzontu po horyzont. Zjeżdżałem ku nizinom po wciąż bardziej kamienistych zboczach,

wymijając wyrzeźbione wiatrem groteskowe, posepnie ubarwione kształty. Gdy opuściłem osłonę wzgórz, uderzyła mnie burza piaskowa. Musiałem zakryć twarz płaszczem i zmrużyć oczy. Gwiazda stękała i prychała co chwila, lecz posuwała się naprzód. Piach, skały, wicher i pomarańczowe już niebo: kłęby chmur i zmierzające ku nim słońce...

Długie cienie, zamierający wiatr, cisza... Tylko oddech i stukot kopyt po kamieniach... Mrok, kiedy gromadzą się chmury zakrywające słońce... Rozcięte gromem ściany dnia... Nienaturalna ostrość widzenia rzeczy odległych... Spokój, błękit i naładowane elektrycznością powietrze... Znowu grom... Zbliżająca się z prawej strony szklista ściana deszczu... Błękitny rozłam w zasłonie chmur... Temperatura opada, świat staje się monochromatyczną kurtyną... Dudnienie grzmotu, biały błysk, kurtyna wygina się w naszą stronę... Dwieście metrów... Sto pięćdziesiąt... Dość!

Jej dolny brzeg ryje grunt, orze, pieni się... Zapach wilgotnej ziemi. Rżenie Gwiazdy... Pęd... Wąskie strużki wody pełzną po gruncie, wsiąkają pozostawiając ślad... Czasem bulgocą błociście, czasem sączą się wolno... Równy prąd, strumyki dookoła, plusk...

Przed nami wzniesienie, a pode mną napinają się, rozluźniają, napinają i rozluźniają mięśnie Gwiazdy, gdy przeskakuje przez strumienie i pagórki, przedziera się przez płynną falującą taflę i wbiega na zbocze. Podkowy krzeszą iskry na kamieniach. Wspinamy się wyżej. Pod nami plusk wody zmienia się w jednostajny huk...

Wyżej więc, gdzie sucho, stajemy, bym mógł wyżyć skraj mego płaszcza... W dole, z tyłu, po prawej szare, wzburzone morze atakuje podnóże urwiska, na którym stoimy...

Teraz w głąb łądu, w stronę wieczoru i pół koniczyny... Huk przyboju za plecami... ścigamy gwiazdy spadające ku ciemniejszemu zachodowi, ku ostatecznej ciszy i nocy... Czyste niebo i jasne gwiazdy; tylko niewielkie pasemka chmur...

Wyjące stado czerwonoookich stworów, ciągnące naszym śladem... Cień... Zielonoookieb... Cień... Żółto... Koniec... Tylko mroczne szczyty ścierające się wokół mnie... Zamrożony śnieg suchy jak piasek, wzniesiony w fale lodowatymi podmuchami gór... śnieg sypki niby mąka... Wspomnienie włoskich Alp, narty... Fale śniegu dryfujące przez kamienne zbocze... Stopy szybko tracą czucie w przemoczonych butach. Gwiazda zdumiona parska i potrząsa głową, jakby nie mogła uwierzyć... I cienie za skałą, łagodniejszy stok, wysuszający wiatr, mniej śniegu...

Kręty, wijący się szlak - korytarz w ciepło... Dalej, dalej, dalej w noc, pod zmieniającymi się gwiazdami... Odległe już śniegi sprzed godziny, teraz karłowata roślinność i równina... Dal, a tu nocne ptaki wirują w powietrzu, krążą nad ścierwem, kraczą chrapliwie i protestująco, gdy przejeżdżamy...

Znów wolniej ku miejscu, gdzie faluje trawa poruszana nie tak już zimnym wiatrem... Parskanie dzikiego kota ruszającego na łowy... Bezszelestna ucieczka jakiegoś skoczego zwierzęcia, przypominającego jelenia... Wskakujące na swoje miejsca gwiazdy i powracające czucie w stopach...

Gwiazda staje dęba i pędzi naprzód wystraszona czymś niewidocznym... Długi czas na uspokojenie i jeszcze dłuższy, nim miną dreszcze...

Sople księżycy w kwadrze opadające na korony dalekich drzew... Witgotna ziemia oddycha błyszczącą mgłą... Ćmy tańczące wśród świateł nocy... Grunt kołysze się przez chwilę i trzęsie, jakby góry przestępowały z nogi na nogę... Każda gwiazda podwójna... Halo wokół księżycy niby hantle... Równina i przestrzeń ponad nią pełna śmigających kształtów... Ziemia zwalnia i nieruchomieje jak stary zegar... Stabilność... Bezład... Gwiazdy i księżyc na nowo złączone duchem...

Mijamy poszerzający się pas drzew od zachodu... Wrażenie śpiącej dżungli. Kłębowisko węży pod przykryciem... Dalej na zachód... Gdzieś tam płynie rzeka o szerokich, gładkich brzegach, by

ułatwić drogę do morza... Tętent kopyt, korowód cieni... Tchnienie nocy na mej twarzy... Ulotna wizja jasnych istot na wysokich, mrocznych murach i lśniących wieżach... Słodki zapach... Obraz rozplywa się... Cienie...

Jesteśmy zespoleni niby centaur, Gwiazda i ja, pod jedną skórą potu... Wdychamy powietrze i oddajemy je we wspólnych eksplozjach wysiłku... Szyja okryta gromem, straszna potęga nozdrzy... Pochłaniamy przestrzeń...

Śmiech, zapach wody, drzewa po lewej, bardzo blisko... Między nie... Gładka kora, zwisające pnącza, szerokie liście i kropelki wilgoci... Oświetlona księżycem pajęczyna i zmagające się w niej kształty... Gąbczasta darń... Próchno fosforyzujące na powalonych pniach... Otwarty teren... Szelest wysokich traw... Więcej drzew... Znowu zapach rzeki... Dźwięki, później... Głosy... Szklisty plusk wody... Bliżej, głośniejsze, wreszcie na brzegu... Niebiosa kołyszą się i wybrzuszą, i drzewa... Czysta o chłodnym, wilgotnym aromacie... Ruszamy w lewo wzdłuż niej... Lekko i płynnie idziemy z prądem... Pić... Chlapiąc się na płyciznie, potem głębiej, do pęcin.

Gwiazda pije jak pompa, wydmuchując nozdrzami wodną zawiesinę... Trochę wyżej woda obmywa mi buty... ścieka z włosów, spływa po ramionach... Gwiazda odwraca głowę słysząc śmiech... Znowu z prądem, czystym, powolnym, krętym... Potem prosrym, szerszym... Drzewa gęstnieją, potem rzadną... Długi, równy, spokojny... Delikatny blask na wschodzie... Zjazd w dół, mniej drzew... Kamienisto i ciemność znowu nieprzenikniona...

Pierwsza niewyraźna oznaka morza - zagubiony po chwili zapach... Szczęk podków wśród chłodu nocy... Znowu sól... Skąły, bez drzew... Ciężko, stromo, posępnie, w dół... Coraz większa stromizna... Błysk pomiędzy kamiennymi ścianami... Poruszone kamyki znikają w bystrym teraz nurcie, głos ich upadku niknie wśród szumu... Coraz głębszy wąwóz, coraz szerszy... W dół, w dół... Jeszcze dalej... Raz jeszcze jasność na wschodzie, łagodniejszy zjazd...

Znowu posmak soli, silniejszy... Łupki i żwir.. Zakręt, w dół, coraz jaśniej... Równo i miękko, śliski grunt... Bryza i światło, bryza i światło... Za stos kamieni... ściągnąć cugle.

Pode mną leżał szeroki pas wybrzeża, gdzie szeregi pędzonych wiatrem wydm rzucały w powietrze swą piaskową pianę, przesłaniając czasem odległy morski brzeg.

Patrzyłem, jak od wschodu rozciąga się na wodzie różowa błona. Tu i tam ruchome piaski odsłoniły pasy żwiru. Poszarpane skalne masy wznosiły się nad falami. Pomiedzy mną a wielkimi - dziesiątki metrów wysokości - wydmami, wysoko ponad tym posępnym brzegiem rozciągała się nierówna płaszczyzna pokryta głazami i żwirem, pełna cieni, właśnie wynurzająca się z piekła - lub z mroku - ku pierwszemu blaskom świtu.

Tak, to się zgadzało.

Zsiadłem z konia i patrzyłem, jak słońce wypełnia krajobraz smutną jasnością dnia. Szukałem twardego, jasnego blasku. Tutaj znalazłem odpowiednie miejsce, bez ludzi - takie, jakie widziałem kilkadziesiąt lat temu na Cieniu - Ziemi mojego wygnania. Bez buldożerów, sit i czarnych z miotłami, bez strzeżonego pilnie miasta Oranjemund. Żadnych promieni Roentgena, drutu kolczastego czy uzbrojonych strażników. Nie, nic z tych rzeczy. Ten Cień bowiem nie znał sir Ernesta Oppenheimera i nigdy tu nie istniały Zjednoczone Kopalnie Diamentów Afryki Południowo - Zachodniej ani też rząd, który mógłby przyznać im władzę nad wszystkimi kopalniami wybrzeża. Tu była pustynia zwana Namib, tam leżący jakieś czterysta mil na północny zachód od Cape Town pas wydm i skał szerokości od kilku do kilkunastu i długości mniej więcej trzystu mil, ciągnący się pomiędzy zakazanym wybrzeżem a Górami Richtersveld, w których cieniu właśnie stałem. Tutaj, inaczej niż w jakiegokolwiek kopalni, diamenty leżały rozrzucone w piasku jak ptasie odchody. Oczywiście, przywiozłem ze sobą grabie i sito.

Odpakowałem żywność i przyszykowałem sobie śniadanie. Dzień zapowiadał się gorący i pełen kurzu. Pracowałem myśląc o Doyle'u z Avalonu, niskim jubilerze o włosach barwy popiołu i ceglastej cerze, z naroślami na policzkach. Jubilerski proszek? Po co mi go tyle? - dość, by dwudziestokrotnie zaopatrzyć całą armię jubilerów! Wzruszyłem ramionami; co go obchodzi, na co mi potrzebny, jeżeli mogę zapłacić? No cóż, jeśli znalazło się jakieś nowe zastosowania i dałoby się na tym zarobić, to trzeba by być głupcem... Jednym słowem, nie da rady dostarczyć mi tej ilości w ciągu tygodnia? Tygodnia? Och nie! Oczywiście, że nie! To śmieszne, niewykonalne... Rozumiałem. No cóż, dziękuję. Może jego konkurent kawałek dalej zdoła zorganizować ten proszek i zainteresuje go większa partia nie szlifowanych diamentów, której oczekuję za parę dni...

Czy powiedziałem: diamenty? Chwileczkę. On sam zawsze interesował się diamentami... Tak, lecz niestety był mało wydajny, jeśli chodzi o jubilerski proszek. Ręka w górze. Być może nazbyt pospiesznie ocenił możliwości dostarczenia mi materiału szlifierskiego. To ilość go zaskoczyła. Składniki jednak były łatwo dostępne, a receptura w miarę prosta. Tak, istotnie nie ma przeszkód, by nie dało się czegoś zorganizować. A więc za tydzień... A wracając do diamentów...

Zanim wyszedłem ze sklepu, dało się coś zorganizować.

Znam wiele osób przekonanych, że proch strzelniczy wybucha, co oczywiście nie jest prawdą. Proch pali się szybko wydzielając gazy, których ciśnienie wrywa pocisk z łuski i przepycha go przez lufę. Zapala się od spłonki - to właśnie ona wybucha, gdy uderza w nią iglica. Z typową dla naszej rodziny przezornością przez całe lata eksperymentowałem z wszelkiego rodzaju materiałami palnymi. Gdy odkryłem, że proch strzelniczy nie chce się w Amberze palić i że wszystkie typy spłonek, jakie sprawdziłem, były równie bierne, moje rozczarowanie przytłumił jedynie fakt, że także żadne z moich krewnych nie będzie mogło użyć tam broni palnej. Dopiero dużo później, kiedy podczas wizyty w Amberze polerowałem bransoletę przywiezioną dla Deirdre, odkryłem tę cudowną właściwość jubilerskiego proszku z Avalonu. Po prostu wrzuciłem zużytą szmatkę do kominka. Na szczęście ilość materiału nie była duża i byłem wtedy sam.

Proszek znakomicie - bez żadnej obróbki - nadawał się na spłonkę. Mieszając go z odpowiednią ilością materiału obojętnego, można było sprawić, by palił się jak trzeba.

Zatrzymałem tę informację dla siebie przeczuwając, że pewnego dnia będzie można ją wykorzystać dla rozstrzygnięcia zasadniczych dla Amberu kwestii. Niestety, konfrontacja z Erykiem nastąpiła, zanim nadszedł ów dzień, i wiedza o tym trafiła do lamusa razem z resztą moich wspomnień. Kiedy w końcu sprawy się wyczyściły, szybko związałem się z Bleysem, szykującym atak na Amber.

Nie potrzebował mnie wtedy zbyt wiele. Mimo to wciągnął do swego przedsięwzięcia, żeby - mam wrażenie - mieć mnie na oku. Gdybym dał mu karabiny, stałby się nie da pokonania, a ja nie byłbym już użyteczny. A gdyby udało mu się zdobyć miasto, sytuacja stałaby się raczej napięta. On miałby po swojej stronie siły okupacyjne i lojalność oficerów. Ja zatem potrzebowałbym czegoś, co zrównoważyłoby te siły. Na przykład paru bomb i kilku automatów.

Gdybym choć miesiąc wcześniej odzyskał pamięć, sprawy potoczyłyby się inaczej. Siedziałbym teraz w Amberze, zamiast przypiekać się, zdzierać skórę i wysychać tutaj, z następnym piekielnym rajdem przed sobą i całą masą problemów do rozwiązania zaraz potem.

Wyplułem z ust piach, by się nie zadławić wybuchami śmiechu. Do diabła, każdy sam sobie tworzy własne "gdyby". Miałem ważniejsze sprawy do przemyślenia niż to, co mogłoby się wydarzyć. Na przykład Eryk...

Pamiętam ten dzień, Eryku. Byłem w łańcuchach, zmuszony do klęknienia przed tronem. Zdążyłem się już ukoronować, żeby zakpić z ciebie. I oberwałem za to.

Gdy mowu dostałem do rąk koronę, cisnąłem nią w ciebie. Złapałeś ją i uśmiechnąłeś się. To dobrze, że nie doznała szkody, skoro tobie nie zdołała zaszkodzić.

Taka piękna rzecz... Cała ze srebra, o siedmiu pałkach, wysadzana szmaragdami piękniejnymi niż wszystkie brylanty. Dwa wielkie rubiny na skroniach... Sam włożyłeś ją sobie na głowę, arogancki, wśród pośpiesznie zorganizowanej gali. Potem pierwsze słowa wyszeptałeś do mnie, zanim jeszcze zamarło w sali echo "Niech żyje król!". Pamiętam każde z tych słów. "Twoje oczy ujrzają najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek zobaczą", powiedziałaś. A potem: "Straż! - rozkazałeś - zabierzcie Corwina do kaźni i niech wypalą mu oczy! Niech zapamięta dzisiejszy widok jako ostatni, który w życiu oglądał! Potem rzućcie go w ciemność najgłębszego lochu pod Amberem i niech imię jego zostanie zapomniane".

- Rządzisz teraz w Amberze - powiedziałem na głos. - Lecz ja znowu mam oczy. Nie zapomniałem i nie zostanę zapomniany. Nie, pomyślałem. Kryj się za swą władzą, Eryku. Mury Amberu są wysokie i grube. Nie wychodź zza nich. Otaczaj się bezużyteczną stalą mieczy. Jak mrówka uzbrajaj swój kruchy dom. Wiesz teraz, że póki żyję, nie będziesz bezpieczny - a powiedziałem ci, że wrócę. Idę, Eryku. Przyniosę z sobą karabiny z Avalonu, wyłamię twoje bramy i zgniotę twoich obrońców.

Znów będzie tak, jak było kiedyś, przez chwilę tylko, zanim twoi ludzie nadbiegli, by cię ratować. Tamtego dnia wytoczyłem tylko kilka kropel twojej krwi. Tym razem będę miał ją całą.

Odkopałem kolejny surowy diament, szesnastkę czy coś koło tego, i wrzuciłem go do torby u pasa.

Patrzyłem na zachodzące słońce myśląc o Benedykcie, Julianie i Gerardzie. Co ich łączyło? I cokolwiek to było, nie podobał mi się żaden układ interesów wiążący się z Julianem. Gerard był w porządku. Potrafiłem zasnąć tam, w obozie, gdy pomyślałem, że to z nim Benedykt się kontaktuje. Jeśli jednak połączył się teraz z Julianem, to są powody do niepokoju. O ile bowiem ktoś nienawidzi mnie bardziej niż Eryk, to właśnie Julian. Gdyby dowiedział się, gdzie jestem, znalazłbym się w wielkim niebezpieczeństwie. A nie byłem jeszcze gotów do konfrontacji.

Przypuszczałem, że gdyby Benedykt mnie sprzedał, potrafiłby znaleźć dla siebie moralne usprawiedliwienie. W końcu zdawał sobie sprawę, że cokolwiek zrobię - a wiedział, że zamierzam coś zrobić - skończy się walką w Amberze. Mogłem go zrozumieć, mogłem nawet sympatyzować z jego odczuciami. Poświęcił swe siły ratowaniu kraju. W przeciwieństwie do Juliana był człowiekiem z zasadami i żałowałem, że nie stoimy po tej samej stronie. Miałem nadzieję, że moja akcja będzie równie szybka i bezbolesna, jak wyrwanie zęba ze znieczuleniem, i że wkrótce znów znajdziemy się obok siebie. Po spotkaniu z Darą pragnąłem tego także ze względu na nią. Zbyt mało mi powiedział, bym mógł czuć się spokojny. Skąd miałem wiedzieć, czy rzeczywiście zamierza cały tydzień pozostać na polu bitwy? A może nawet w tej chwili razem z siłami Amberu zastawia na mnie pułapkę, buduje więzienie, kopie dla mnie grób? Musiałem się spieszyć, choć tak chciałem zatrzymać się na dłużej w Avalonie.

Zazdrościłem Ganelonowi, w którymkolwiek burdelu pił, łajdaczył się czy toczył bójkę, gdziekolwiek polował. On wrócił do domu. A może powinienem pozostawić go tym przyjemnościom, mimo jego chęci towarzyszenia mi do Amberu? Lecz nie; na pewno będą go przesłuchiwać po moim wyjeździe, a nie będzie to miłe przeżycie, zwłaszcza jeśli Julian ma coś do powiedzenia w tej sprawie. Potem stanie się wyrzutkiem w krainie, która musi mu się wydawać ojczyzną. Pewnie mowu zostanie bandytą i ten trzeci raz doprowadzi go do zguby. O ile w ogóle go

wypuszczają. Nie, dotrzymam obietnicy. Pojedzie ze mną, jeśli jeszcze tego chce. Jeżeli zmienił zdanie, cóż... zazdrościłem mu nawet banicji w Avalonie. Chciałbym zostać tu dłużej, jeździć z Darą w góry, obozować wśród pól, żeglować po rzekach...

Pomyślałem o dziewczynie. Wiedza o jej istnieniu zmieniła układy, choć nie byłem całkiem pewien jak. Pomimo wszelkiej nienawiści i drobnych niesnasek my z Amberu mamy silnie rozwinięte uczucia rodzinne. Zawsze chętnie posłuchamy rodzinnych wieści i dowiemy się o najnowszych układach w tym zmiennym obrazie.

Hez wąpienia przerwy na plotki zapobiegły wielu śmiertelnym ciosom. Czasami wydaje mi się, że przypominamy gromadę starszych pań żyjących w czymś pomiędzy sanatorium a ringiem.

Nie potrafiłem wpasować Dary w cały schemat, gdyż ona sama nie wiedziała jeszcze, jak się ustawić. Och, dowie się w końcu. Otrzyma znakomite wychowanie, gdy tylko wszyscy się dowiedzą, że istnieje. A to - teraz, kiedy jej uświadomiłem, jak jest wyjątkowa - było tylko kwestią czasu. A wtedy Dara włączy się do gry. W trakcie naszej rozmowy w lasku czułem się czasem jak wąż... ale, do diabła, miała prawo wiedzieć. Prędzej czy później musiała to odkryć. A im prędzej to się stało, tym szybciej mogła zacząć umacniać swe linie obronne. To wszystko było dla jej dobra.

Możliwe oczywiście - a nawet prawdopodobne - że jej matka i babka przeżyły życie nie mając pojęcia o swym dziedzictwie... I co im z tego przyszło? Powiedziała, że zginęły tragicznie. Czy to możliwe, zastanawiałem się, by długie ramię Amberu sięgnęło do nich w Cień? I że może uderzyć znowu?

Benedykt, gdy chciał, potrafił być tak samo twardy i niebezpieczny, jak każde z nas. Nawet bardziej. Potrafił walczyć o to, co uważał za swoje. Potrafiłby nawet zabić, gdyby uznał to za konieczne. Założył pewnie, że utrzymanie w tajemnicy jej istnienia, a samej Dary w niewiedzy, może ją ochronić. Byłby zły, gdyby się dowiedział, co zrobiłem. A przecież nie powiedziałem jej tego wszystkiego z czystej przekory. Chciałem, żeby przeżyła, ale czułem, że Benedykt nie postępuje właściwie. Nim wrócę, będzie miała dość czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć.

Na pewno będzie miała masę pytań. Wykorzystam okazję, by ją ostrzec i udzielić dokładniejszych wyjaśnień.

Zgrzytnąłem zębami. Sprawy inaczej by wyglądały, gdybym rządził w Amberze. Wszystko to byłoby zbędne. Na pewno. Dlaczego nikt nigdy nie wymyślił sposobu, by zmienić ludzką naturę? Nawet wymazanie wszystkich moich wspomnień i nowe życie w nowym świecie dały w rezultacie tego samego starego Corwina. Gdybym nie podobał się sobie, jaki jestem, pozostawałaby mi tylko rozpacz.

Znalazłem miejsce, gdzie rzeka płynęła spokojnie, i splukałem z siebie kurz i pot. Myślałem o czarnej drodze, która okazała się tak fatalna dla moich braci. Było jeszcze wiele rzeczy, o których chciałbym się czegoś dowiedzieć. Podczas kąpieli Grayswandir cały czas leżał w zasięgu ręki. Każdy z nas potrafił śledzić innego przez Cień, zwłaszcza jeśli trop jest jeszcze ciepły.

Umyłem się jednak bez przeszkód. Wprawdzie w drodze powrotnej użyłem miecza trzykrotnie, lecz przeciw istotom mniej groźnym niż bracia. Tego jednak można było oczekiwać, jako że znacznie przyspieszyłem kroku.

Było jeszcze ciemno, choć świt był już bliski, kiedy dotarłem do stajni w rezydencji mojego brata. Oporządziłem oszołomionego konia, przemówiłem do niego uspokajająco i przygotowałem solidny zapas obroku i wody. Z przeciwległej przegrody powitał mnie świetlik Ganelona. Sprzątając koło pompy na tyłach stajni zastanawiałem się, gdzie będę mógł się przespać.

Potrzebowałem odpoczynku. Parę godzin snu postawiłoby mnie na nogi. Wolałem jednak nie zasypiać pod dachem domu Benedykta. Nie dałbym się wziąć zbyt łatwo. Często wprawdzie mówiłem, że chciałbym umrzeć w łóżku, Lecz oznaczało to tyle, że pragnąłbym, aby w późnej starości nadepnął mnie słoń w chwili, kiedy będę się kochał.

Nie miałem jednak nic przeciw piciu alkoholu Benedykta, a chciało mi się czegoś mocnego. Dom był ciemny; wszedłem cicho i odnalazłem kredens.

Nalałem sobie bez wody, wypilem, nalałem jeszcze i przeszedłem do okna. Widok był rozległy. Dom stał na wzgórzu, a Benedykt potrafił dobrać krajobraz.

- W księżycowych płomieniach biała leży droga - zadeklamowałem zaskoczony brzmieniem własnego głosu. - I księżyc czysty nad głową...

- Otóż to, Corwinie, mój chłopcze. Otóż to - odezwał się głos Ganelona.

- Nie zauważyłem, że tu siedzisz - powiedziałem cicho, nie odwracając się od okna.

- To dlatego, że się nie ruszam - wyjaśnił.

- Aha... Jak bardzo jesteś pijany?

- Prawie wcale - zapewnił. - Teraz. Ale gdybyś był porządnym facetem i też mi nalał...

Odwróciłem się.

- Dlaczego sam sobie nie weźmiesz?

- Boli, kiedy się ruszam.

- No dobrze.

Podałem mu napełniony kielich. Podniósł go wolno, skinął głową w podziękowaniu i upił trochę.

- Znakomite - westchnął. - Może mnie trochę znieczuli.

- Biłeś się - stwierdziłem.

- Owszem - przytaknął. - Parę razy.

- Więc znoś swe rany jak dzielny żołnierz i pozwól mi zaoszczędzić sobie wyrazów współczucia.

- Ależ ja wygrałem!

- O Boże! Gdzie zostawiłeś ciała?

- Och, nie było z nimi aż tak źle. To dziewczyna mnie tak załatwiła.

- Powiedziałbym, że warto było zapłacić.

- To nie było to, o czym myślisz. Chyba nas wrobiłem.

- Nas? Jak?

- Nie wiedziałem, że to dziewczeczka. Wróciłem w dość wesołym nastroju i uznałem, że to jakaś pokojówka...

- Dara? - spytałem sztywniejąc.

- Tak, ta sama. Klepnałem ją w pupcię i próbowałem namówić na całusa czy dwa... - jęknął. - Złapała mnie, podniosła do góry i przetrzymała nad głową. Potem powiedziała, kim jest, i pozwoliła mi spaść. Człowieku, mam sto dziesięć kilo żywej wagi, a lot w dół trwał długo.

Napił się, a ja zachichotałem.

- Ona też się śmiała - powiedział ponuro. - Pomogła mi wstać i wcale nie była obrażona. Przeprosiłem oczywiście... Ten twój brat musi być chłopem nie lada. Jeszcze nie spotkałem tak silnej dziewczyny. To, co potrafi zrobić z mężczyzną... - w jego głosie zabrzmiał szacunek. Pokręcił głową i wychylił kielich do końca. - To było przerażające. Nie mówiąc już o tym, że krępujące - dokończył.

- Przyjęła twoje przeprosiny?

- O tak. Zachowała się bardzo uprzejmie. Powiedziała, że mogę zapomnieć o całej sprawie i że ona też zapomni.

- Więc czemu nie jesteś w łóżku i nie odsypiasz tego wszystkiego?

- Czekałem tu, bo spodziewałem się, że wrócisz o dziwnej porze. Chciałem jak najszybciej z tobą pogadać.

- No to ci się udało.

Wstał pomału i wziął swój kielich.

- Może wyjdziemy? - zaproponował.

- Niezła myśl.

Po drodze zabrał karafkę brandy, co także uznałem za dobry pomysł. Poszliśmy obok domu ścieżką w głąb ogrodu. W końcu siadł na starej kamiennej ławce pod wielkim dębem. Nalał sobie i mnie, wypił trochę.

- Tak. Twój brat ma też niezły gust, jeśli chodzi o trunki - zauważył.

Usiadłem przy nim i nabiłem fajkę.

- Kiedy ją przeprosiłem i przedstawiłem się, rozmawialiśmy jeszcze chwilę - powiedział. - Gdy się dowiedziała, że jestem z tobą, zadała mi masę pytań na temat Amberu, Cieni, ciebie i reszty rodziny.

Skrzesalem ognia.

- Powiedziałaś jej coś? - spytałem.

- Nie mógłbym, choćbym nawet chciał. Nie znałem odpowiedzi.

- To dobrze.

- Dało mi to jednak do myślenia. Benedykt chyba nie mówił jej zbyt wiele i rozumiem go. Lepiej przy niej uważać, co się mówi, Corwinie. Jest zanadto ciekawa.

Kiwnąłem głową i wypuściłem z fajki kłęb dymu.

- Są ku temu powody - wyjaśniłem. - I to bardzo istotne powody. Ale cieszę się, że zachowujesz rozsądek, nawet kiedy jesteś pijany. Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Wzruszył ramionami i łyknął brandy.

- Dobre cięgi działają trzeźwiąco. Poza tym twój sukces tu mój sukces.

- To fakt. A jak ci się podoba ta wersja Avalonu?

- Wersja? To jest mój Avalon - oświadczył. - Żyje już nowe pokolenie, ale to ta sama kraina. Odwiedziłem dziś Cierniowe Pote, gdzie w twojej służbie rozbiłem bandę Jacka Haileysa. To było to samo miejsce.

- Cierniowe Pole - westchnąłem.

- Tak, to jest mój Avalon - mówił dalej. - I wrócę tu na starość, o ile przeżyjemy Amber.

- Wciąż jeszcze chcesz jechać?

- Całe życie marzyłem, żeby zobaczyć Amber... no, odkąd pierwszy raz usłyszałem o nim od ciebie, w szczęśliwszych czasach.

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam, co mówiłem. Ale musiała to być dobra opowieść.

- Tej nocy byliśmy obaj cudownie pijani i zdawało mi się, że mówisz przez krótką chwilę tylko. Płacząc opowiadałaś o potężnej górze Kolvir, o szmaragdowych i złotych wieżach miasta, o promenadach, balkonach, tarasach, kwiatach i fontannach... Zdawało się, że chwila ledwie minęła, lecz przeszła prawie cała noc, gdyż świt już był, gdy dotoczyliśmy się do łóżek. Boże! Potrafiłbym chyba naszkicować mapę tego miejsca! Muszę je zobaczyć, nim umrę.

- Nie pamiętam tej nocy - powiedziałem powoli. - Musiałem być bardzo, ale tu bardzo pijany.

- W tamtych czasach umieliśmy się bawić - zachichotał. - I pamiętają nas tutaj. Ale jako tych, którzy żyli bardzo dawno temu... I wiele historii jest nieprawdziwych. Ale, do diabła, ilu ludzi potrafi porządnie zapamiętać choćby to, co się działo poprzedniego dnia?

Milczałem, paliłem i wspominałem dawne dzieje.

- ...Co nasuwa mi parę pytań - dodał.

- Wal.

- Czy twój atak na Amber mocno skłóci cię z Benedyktem?

- Sam chciałbym wiedzieć, naprawdę - odparłem. Myślę, że tak, z początku. Ale powinno mi się udać dokończyć moje przedsięwzięcie, zanim jakiegokolwiek wezwanie zdąży ściągnąć go do Amberu. To test, zanim zdąży tam dotrzeć z pomocą. On sam potrafi się tam zjawić natychmiast, jeśli tylko pomaga mu ktoś z tamtej strony. Ale to niewiele zmieni. Jestem pewien, że zamiast rozbijać Amber na części, raczej poprze każdego, kto zdoła utrzymać go w całości. Kiedy już usunę Eryka, będzie chciał możliwie szybko zakończyć walkę i pogodzi się z tym, że siedzę na tronie. Oczywiście, przede wszystkim nie zaaprobuje ataku.

- O to właśnie mi chodzi. Czy to popsuje układy między wami?

- Nie przypuszczam. To czysto polityczna sprawa. Znamy się od dzieciństwa i zawsze łączyły nas obu lepsze stosunki niż z Erykiem.

- Rozumiem. Siedzimy w tym razem, a Avalon zdaje się teraz należeć do Benedykta, zastanawiałem się więc, co powie na mój powrót tutaj. Czy znienawidzi mnie za to, że ci pomagałem?

- Bardzo wątpię. To nie ten typ.

- Posunę się więc o krok dalej. Bóg mi świadkiem, że jestem doświadczonym żołnierzem, a jeśli zdobędziemy Amber, to Benedykt będzie miał oczywisty tego dowód. Z unieruchomioną prawą ręką, czy zgodziłby się rozważyć mianowanie mnie dowódcą swojej milicji? świetnie znam teren. Mógłbym go zabrać na Cierniowe Pole i opowiedzieć o bitwie. Do diabła! Służyłbym mu dobrze. Równie dobrze jak tobie.

Roześmiał się.

- Przepraszam. Lepiej niż tobie.

Zachichotałem i łyknąłem brandy.

- To by było niezłe - stwierdziłem. - Oczywiście, pomysł mi się podoba. Wątpię jednak, czy kiedykolwiek udałoby ci się zdobyć jego zaufanie. Cała sprawa wydałaby mu się moją, aż zbyt oczywistą intrygą.

- Cholerna polityka! Nie oto mi idzie! Żołnierka jest wszystkim, co potrafię robić! I kocham Avalon!

- Wierzę ci. Ale czy on ci uwierzy?

- Będzie mu potrzebny dobry oficer, skoro ma tylko jedną sprawną rękę. Mógłby...

Wybuchnąłem śmiechem, lecz zaraz spowaźniałem, gdyż głos mógł nieść się daleko. Chodziło mi też o uczucia Ganelona.

- Przepraszam - powiedziałem. - Wybacz, proszę. Nic nie rozumiesz. Nie zdajesz sobie sprawy, kim był człowiek, z którym tamtej nocy rozmawialiśmy w namiocie. Mógł wydać ci się kimś zwyczajnym, do tego kaleką. Ale to nie tak. Boję się Benedykta. Nie jest podobny do żadnej innej istoty ani w Cieniu, ani w realnym świecie. To Wielki Hetman Amberu. Czy potrafisz wyobrazić sobie millennium? Tysiąc lat? Kilka tysięcy? Czy możesz pojąć człowieka, który każdy niemal dzień tak długiego życia poświęcał na ćwiczenia z bronią, na strategię i taktykę? Widzisz go w małym królestwie, dowodzącego skromną milicją, z zadbanym sadem koło domu, lecz nie daj się zwieść. W jego głowie mieści się cała istniejąca wiedza wojskowa. Aby sprawdzić swe teorie na temat sztuki wojennej, podróżował często od Cienia do Cienia, obserwując kolejne warianty tej samej bitwy w minimalnie zmienionych okolicznościach. Dowodził armiami tak potężnymi, że całymi dniami mógłbyś patrzeć, jak maszerują, i nie zobaczyć końca kolumn. Strata ręki trochę go ogranicza, lecz z

bronią czy bez, nie chciałbym z nim walczyć. To szczęście, że nie ma żadnych planów co do tronu. Inaczej już by na nim zasiadł. A wtedy chyba zrezygnowałbym natychmiast i złożył mu hołd. Boję się Benedykta.

Ganelon milczał przez chwilę, a ja napiłem się, gdyż zaschło mi w gardle.

- To prawda, nie wiedziałem o tym - odezwał się w końcu. - Będę szczęśliwy, jeżeli po prostu pozwoli mi wrócić do Avalonu.

- Na to możesz liczyć. Jestem pewien.

- Dara mówiła, że miała od niego wiadomości. Postanowił skrócić swój pobyt na polu bitwy.

Wraca prawdopodobnie jutro.

- Niech to szlag! - zakląłem wstając. - W takim razie musimy wyruszyć wkrótce. Mam nadzieję, że Doyle przygotował towar. Rano trzeba będzie do niego pojechać i załatwić sprawę. Chcę się stąd wynieść, zanim wróci Benedykt.

- Więc masz już te cudenka?

- Tak.

- Mogę je obejrzeć?

Odwiązałem od pasa i podałem mu sakiewkę. Otworzył ją i wyjął kilka kamieni. Położył je na lewej dłoni i wolno obracał palcami.

- Nie wyglądają nadzwyczajnie - oświadczył. O ile mogę to ocenić przy tym oświetleniu. Chwileczkę! Coś tu błyszczy! Nie...

- Naturalnie są surowe. Trzymasz w ręku majątek.

- Wstrząsające - stwierdził, wsypał kamienie do sakiewki i zawiązał ją. - To było dla ciebie takie łatwe...

- Nie aż takie.

- Mimo wszystko tak szybko zebrać fortunę, to wydaje się trochę nie w porządku.

Oddał sakiewkę.

- Dopilnuję, żabyś też stał się bogaty, kiedy już zakończymy robotę - obiecałem. - Będziesz miał rekompensatę, gdyby Benedykt nie zaproponował ci stanowiska.

- Teraz, kiedy wiem, kim on jest, bardziej niż kiedykolwiek jestem zdecydowany, by kiedyś dla niego pracować.

- Zobaczymy, co da się zrobić.

- Dzięki, Corwinie. A co z naszym wyjazdem?

- Idź teraz i prześpij się, bo ściągnę cię z łóżka o świcie. Gwiazda i świetlik nie będą zachwywne rolą koni pociągowych, ale trudno. Pożyczymy jeden z wozów Benedykta i ruszemy do miasta. Pogonimy z robotą Doyle'a, tego jubilera, zabierzemy ładunek i odjedziemy w Cień tak szybko, jak tylko stę da. Im większą będziemy mieć przewagę, tym trudniej Benedyktowi będzie nas wytropić. Gdybyśmy zyskali pół dnia, byłoby to praktycznie niemożliwe.

- A właściwie dlaczego miałoby mu tak zależeć na dogonieniu nas?

- Nie ufa mi ani trochę. I słusznie. Czeka na mój ruch. Wie, że jest tu coś, czego potrzebuję, ale nie wie co. Chce się dowiedzieć, bo dzięki temu uwolni Amber od jeszcze jednego zagrożenia. Gdy tylko zrozumie, że odjechaliśmy na dobre, domyśli się, że już to mamy, będzie chciał to zobaczyć.

Ganelon przeciągnął się, ziewnął i dopił brandy.

- Tak - powiedział. - Lepiej teraz odpocząć, żeby mieć potem siły na pośpiech. Teraz, kiedy wiem więcej o Benedykcie, ta druga sprawa, o której chciałem ci powiedzieć, wydaje się mniej zaskakująca. Ale wcale nie mniej niepokojąca.

- To znaczy...

Wstał, chwycił ostrożnie karafkę i skinął w stronę ścieżki.

- Jeśli pójdziesz w tym kierunku - powiedział - miniesz żywopłot znaczący koniec tej altanki, wejdiesz w las, a potem przejdiesz jeszcze jakieś dwieście kroków, dotrzesz do miejsca, gdzie rośnie niewielki zagajnik, na lewo, w zagłębieniu, ze cztery stopy poniżej ścieżki. W dole, przysypany liśćmi i przykryty gałęziami, jest świeży grób. Znalazłem go, kiedy poszedłem na spacer i skręciłem tam, żeby sobie ulżyć.

- Skąd wiesz, że to grób?

Zachichotał.

- Kiedy doły zawierają ciała, to tak się je zwykle nazywa. Jest dość płytki, a ja pogrzebałem trochę kijem. Są w nim cztery ciała: trzech mężczyzn i kobieta.

- Od dawna nie żyją?

- Od niedawna. Na oko parę dni.

- Zostawiłeś wszystko tak, jak było?

- Nie jestem durniem, Corwinie.

- Przepraszam. Ale ta sprawa mnie niepokoi, ponieważ w ogóle jej nie rozumiem.

- Najwyraźniej sprawiali Benedyktowi kłopoty, a on zrewanżował im się tym samym.

- Być może. Jacy oni byli? Jak zginęli?

- Nie szczególnego. Wszyscy w średnim wieku, mieli poderżnięte gardła, z wyjątkiem jednego z mężczyzn, który dostał w brzuch.

- Dziwne. Tak, dobrze, że już wyjeżdżamy. Mamy za dużo własnych problemów, żeby mieszać się do cudzych.

- Zgadza się. No, to chodźmy do łóżek.

- Ty idź. Ja jeszcze trochę posiedzę.

- Skorzystaj z własnej rady i spróbuj trochę odpocząć - poradził ruszając w stronę domu. - Nie siedź tu i nie martw się.

- Nie będę.

- No to dobranoc.

- Zobaczymy się rano.

Przyglądałem mu się, jak idzie ścieżką. Miał rację, oczywiście, lecz nie byłem jeszcze gotów, by pogrążyć się w nieświadomości. Jeszcze raz przemyślałem swoje plany, by być pewnym, że niczego nie przeoczyłem, dopiłem brandy i odstawiłem kielich na ławę. Potem wstałem i znacząc swój szlak obłoczkami fajkowego dymu, poszedłem przed siebie. Postanowiłem spędzić resztę nocy na dworze i szukałem miejsce, gdzie mógłbym się położyć.

Naturalnie zawędrowałem w końcu ścieżką do zagajnika. Pogrzebałem trochę w ziemi i stwierdziłem, że istotnie kopano tu niedawno. Nie miałem nastroju, by przy księżycu dokonywać ekshumacji - bez oporów uwierzyłem opowieści Ganelona o tym, co tutaj znalazł. Sam właściwie nie wiem, po co tu przyszedłem. Ponure ciągoty, jak sędzę. Wolałem jednak nie kłaść się spać w pobliżu.

Przeszedłem na północno - zachodni kraniec ogrodu i odszukałem niewidoczne z domu miejsce. Rósł tu wysoki żywopłot, a trawa była długa, miękka i pachnąca słodko.

Rozścieliłem płaszcz i usiadłem. Wyciągnąłem stopy pomiędzy chłodne źdźbła i westchnąłem. Już niedługo, pomyślałem. Cienie, diamenty, karabiny, Amber. Byłem w drodze. Rok temu gniłem w lochu, tak często przekraczając tam i z powrotem granicę pomiędzy rozsądkiem a szaleństwem, że prawie ją zatarłem. Teraz widziałem znowu, byłem wolny, silny i miałem plan. Byłem szukającą spełnienia groźbą, bardziej śmiertelną niż poprzednim razem. Teraz mój los nie wiązał się z cudzymi zamiarami. Tylko ode mnie zależał sukces bądź porażka.

To było przyjemne uczucie, równie miłe jak trawa pod stopami i alkobol przesączający się do krwi i rozgrzewający ciało. Wyczyściłem fajkę, odłożyłem ją na bok, przeciągnąłem się, ziewnąłem i zacząłem układać do snu.

Coś poruszyło się w dali. Oparłem się na łokciach i próbowałem to coś dostrzec. Nie musiałem długo czekać. Jakaś postać sunęła powoli ścieżką. Szła cicho i zatrzymywała się często. Zniknęła pod dębem, gdzie siedzieliśmy przedtem z Ganetonem, i nie pojawiła się przez dłuższą chwilę. Potem przeszła jeszcze z pięćdziesiąt kroków, stanęła i zdawało mi się, że patrzy w moją stronę. A potem ruszyła prosto na mnie. Przechodziła obok kępy krzaków i wynurzyła się z cienia, gdy księżyc oświetlił nagle jej twarz. Najwymźniej wiedziała o tym, gdyż uśmiechnęła się w moją stronę. Zwolniła podchodząc i zatrzymała się tuż przede mną.

- Jak widzę - stwierdziła - twoja kwatery niezbyt ci odpowiada, lordzie Corwinie.

- Ależ nie - zaprzeczyłem. - Lecz noc jest tak piękna, że taki włóczęga jak ja nie potrafi się oprzeć.

- Poprzedniej nocy zapewne także nie mogłeś się oprzeć - zauważyła. - Mimo deszczu.

Usiadła na płaszczu obok mnie.

- Spałeś pod dachem, czy pod gołym niebem? - zapytała.

- Na dworze - odparłem. - Ale nie spałem. Prawdę mówiąc nie spałem, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

- A gdzie byłeś?

- Nad morzem. Przesypywałem piasek.

- Nie brzmi to przyjemnie.

- I nie było przyjemne.

- Wiele myślałam, odkąd razem chodziliśmy w Cieniu.

- Wyobrażam sobie.

- Także nie spałam wiele. Dzięki temu słyszałam, jak wracasz, jak rozmawiasz z Ganelonem, wiedziałam, że jesteś gdzieś tutaj, kiedy on wrócił sam.

- Miałaś rację.

- Muszę się dostać do Amberu. Wiesz o tym. Muszę przejść Wzorzec.

- Wiem. Zrobisz to.

- Ale prędko, Corwinie. Prędko.

- Jesteś młoda, Daro. Masz mnóstwo czasu.

- Do licha! Czekałam całe życie... i nawet o tym nie wiedziałam! Czy nie ma sposobu, żebym mogła wyruszyć zaraz?

- Nie.

- Dlaczego? Mógłbyś szybko przeprowadzić mnie przez Cienie, wprowadzić do Amberu, pozwolić przejść Wzorzec...

- Gdyby nie zabili nas od razu, to przy odrobinie szczęścia moglibyśmy dostać na pewien czas sąsiednie cele. Albo dyby. Do egzekucji.

- Za co? Jesteś księciem tego miasta. Możesz robić, co chcesz.

Roześmiałem się.

- Jestem banitą, moja droga. Jeżeli wrócę do Amberu, to zostanę ścięty, o ile będę miał szczęście. Jeżeli nie, to czeka mnie coś znacznie gorszego, Jednak biorąc pod uwagę wszystko, co zdarzyło się poprzednim razem, sądzę, że zabiją mnie od razu. A ta uprzejmość z pewnością obejmie także tych, co będą mi towarzyszyć.

- Oberon nie zrobiłby niczego takiego.

- Zrobiłby, gdyby został dostatecznie mocno sprowokowany. Zresztą nie ma się nad czym zastanawiać. Oberona już nie ma. Eryk zasiada na tronie i nazywa siebie władoą.

- Kiedy to się stało?

- Kilka lat temu, według rachuby czasu Amberu.

- A dlaczego miałby pragnąć cię zabić?

- Oczywiście dlatego, żebym ja nie mógł zabić jego.

- Zrobiłbyś to?

- Tak. I zrobię. Sądzę, że już niedługo.

Zwróciła do mnie twarz i spojrzała mi w oczy.

- Dlaczego?

- Żeby samemu zasiąść na tronie. Widzisz, prawnie należy do mnie. Eryk jest uzurpatorem. Dopiero niedawno, po torturach i kilku latach w lochu, udało mi się wymknąć z jego rąk. Zrobił błąd i pozwolił sobie na luksus pozostawienia mnie przy życiu, by móc się napawać moim nieszczęściem. Nie przypuszczał, że uda mi się odzyskać wolność i że powrócę, by znów mu zagrozić. Szczerze mówiąc, ja też nie. Ale ponieważ miałem szczęście i dostałem jeszcze jedną szansę, postaram się nie popełnić tej samej pomyłki co on.

- Ale on jest twoim bratem!

- Zapewniam cię, że niewielu jest ludzi bardziej świadomych tego faktu niż on i ja.

- Jak sądzisz, kiedy zdołasz... zrealizować swój cel?

- Powiedziałem wczoraj, że jeśli zdołasz zdobyć Atuty, masz skontaktować się ze mną za jakieś trzy miesiące. Jeżeli nie dasz rady, a wszystko pójdzie tak, jak zaplanowałem, dotrę do ciebie wkrótce po przejściu władzy. Powinnaś otrzymać możliwość spróbowania Wzorca przed upływem roku.

- A jeśli przegrasz?

- Wtedy będziesz musiała poczekać dłużej. Dopóki Eryk nie zabezpieczy swej pozycji i póki Benedykt nie uzna go za króla. Widzisz, Benedykt wcale nie ma na to ochoty. Przez długi czas trzymał się z dala od Amberu i, zdaniem Eryka, nie ma go już wśród żywych. Gdyby pojawił się teraz, musiałby się opowiedzieć albo za, albo przeciw Erykowi. Jeżeli robi to pierwsze, to władza Eryka będzie zapewniona, a za to Benedykt nie chce być odpowiedzialny. Jeśli to drugie, to wybuchną walki, a tego także nie chce mieć na sumieniu. Nie chce korony dla siebie. Jedynie pozostając całkowicie poza sceną może zapewnić spokój. Gdyby się zjawił i odmówił zajęcia jakiegokolwiek stanowiska, byłoby tu równoważne z zanegowaniem prawa Eryka do tronu, więc także spowodowałoby kłopoty. A gdyby przybył tam razem z tobą, to musiałby zrzygnąć z własnego zdania, gdyż Eryk wywierałby na niego nacisk przez ciebie.

- Więc jeżeli przegrasz, mogę nigdy nie zobaczyć Amberu?

- Przedstawiam ci tylko sytuację tak, jak ją widzę. Na pewno istnieje wiele czynników, o których nie mam pojęcia. Przez dłuższy czas byłem wyłączony z obiegu.

- Musisz wygrać! - oświadczyła. - Czy dziadek cię poprze? - dodała po chwili.

- Wątpię. Sytuacja jednak będzie inna. Wiem o nim i o tobie. Nie będę go prosił o pomoc. Jak długo nie występuje przeciwko mnie, jestem zadowolony. A nie wystąpi, jeżeli będę szybki, skuteczny i zwycięski. Nie będzie zachwycony, że dowiedziałem się o tobie, ale kiedy się przekona, że nie chcę ci zrobić krzywdy, wszystko ułoży się dobrze.

- Dlaczego mnie nie wykorzystasz? To wydawałoby się logiczne.

- Zgadza się. Ale odkryłem, że cię lubię - wyjaśniłem. - To załatwia sprawę.

Roześmiała się.

- Oczarowałam cię! - stwierdziła.

Parsknąłem.

- Tak, na swój własny, delikatny sposób: ostrzem miecza.

Spowaźniała nagle.

- Dziadek wraca jutro - powiedziała. - Czy ten twój człowiek, Ganelon, mówił ci o tym?

- Tak.

- I jak to wpływa na twoje plany?

- Zanim wróci, mam zamiar być już piekielnie daleko stąd.

- A co on zrobi?

- Przede wszystkim rozgniewa się na ciebie za to, że jesteś tutaj. Potem będzie chciał wiedzieć, jak udało ci się wrócić i ile mi o sobie powiedziałaś.

- I co mam mu powiedzieć?

- Prawdę o swoim powrocie. To mu da do myślenia. Co do twojego statusu, to kobieca intuicja ostrzegła cię przede mną i obrałaś wobec mnie tę samą linię postępowania, co wobec Juliana i Gerarda. O mnie powiedz, że pożyczyłem wóz i pojechałem z Ganelonem do miasta, i że wrócimy późno.

- A gdzie pojedziecie naprawdę?

- Do miasta, ale na krótko. I nie wrócimy. Potrzebuję możliwie dużej przewagi, gdyż Benedykt potrafi tropić mnie poprzez Ciebie. Do pewnego czasu.

- Zatrzymam go dla ciebie najlepiej, jak potrafię. Czy nie miałeś zamiaru zobaczyć się ze mną przed wyjazdem?

- Cbciałem przeprowadzić tę rozmowę rano. Załatwiłaś ją przed czasem, bo byłaś niespokojna.

- Więc cieszę się, że byłaś... niespokojna. Jak chcesz zdobyć Amber?

Pokręciłem głową.

- Nie powiem ci, drogi Daro. Każdy spiskujący księżę musi zachować dla siebie kilka drobnych sekretów. To właśnie jeden z nich.

- Dziwie się, że w Amberze jest tyle nieufności i intryg.

- Dlaczego? Wszędzie masz takie same konflikty. Są wokół ciebie zawsze, gdyż wszystkie Cienie biorą swą formę z Amberu.

- Trudno to zrozumieć.

- Zrozumiesz to pewnego dnia. I na razie na tym poprzestańmy.

- Więc wytłumacz mi co innego. Ponieważ radzę już sobie trochę z Cieniami, nawet bez Wzorca, powiedz mi dokładniej, jak to robisz. Chcę być w tym lepsza.

- Nie! - powiedziałem stanowczo. - Nie chcę, byś bawiła się z Cieniem, dopóki nie będziesz gotowa - To niebezpieczne, nawet po przejściu Wzorca. Robienie tego wcześniej jest szaleństwem. Wtedy miałaś szczęście, ale nie próbuj po raz drugi. Pomogę ci w tym nie mówiąc więcej na ten temat.

- Dobrze - zgodziła się. - Chyba mogę zaczekać.

- Chyba możesz. Nie gniewasz się?

- Nie. Zresztą... - zaśmiała się. - Nic by mi to nie dało. Na pewno wiesz, co mówisz. Cieszę się, że troszczysz się o mnie.

Mruknąłem coś, a ona wyciągnęła rękę i dotknęła mojego policzka. Spojrzałem na nią. Jej twarz wolno zbliżała się do mojej, bez uśmiechu, z lekko rozchylonymi wargami i przymkniętymi oczyma. Pocałowaliśmy się. Poczułem, jak jej ręce obejmują moją szyję i ramiona, a moje czynią to samo. Zaskoczenie przemieniło się w słodycz, a potem w uczucie ciepła i ekscytacji.

Jeśli Benedykt dowie się o tym kiedykolwiek, będzie na mnie bardziej niż trochę rozgniewany.

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 07

Wóz skrzypiał monotonnie, a słońce, choć już niskie nad zachodnim horyzontem, wciąż zalewało nas gorącymi potokami światła. Z tyłu między skrzyniami chrapał Ganelon. Zazdrościłem mu tego hałaśliwego zajęcia - spał już od kilku godzin, a dla mnie był to trzeci dzień bez odpoczynku.

Byliśmy piętnaście mil od miasta i zmierzaliśmy na północny wschód. Doyle nie załatwił mojego zamówienia do końca, ale przekonaliśmy go z Ganelonem, żeby zamknął sklep i przyspieszył produkcję. Spowodowało to przekłete kilkugodzinne spóźnienie. Byłem zbyt spięty, by wtedy zasnąć. Teraz także nie mogłem sobie na to pozwolić, jadąc na skróty przez Cienie.

Zepchnąłem na bok zmęczenie i wieczór; znalazłem kilka chmur dających cień. Jechaliśmy suchą gliniastą drogą, z głębokimi koleinami. Głina miała paskudny żółty odcień; trzeszczała i sypała się pod kołami. Na obu poboczach zwisały bezsilnie brunatne źdźbła trawy, niskie i poskręcane drzewa wystawiały sękaty konary. Często mijaliśmy łupkowe wychodnie.

Dobrze zapłaciłem Doyle'owi za jego mieszankę. Kupiłem też niebrzydką bransoletę, którą poleciłem następnego dnia dostarczyć Darze. Sakiewkę z diamentami miałem u pasa, Grayswandir leżał pod ręką. Gwiazda i świetlik szły równo i bez wysiłku.

Znalazłem się na drodze do zwycięstwa.

Ciekawe, czy Benedykt wrócił już do domu. Zastanawiałem się, jak długo pozwoli się oszukiwać w kwestji miejsca mojego pobytu. Nadal był groźny. Bardzo daleko mógł podążać tropem przez Cień, a ja zostawiałem wyraźny ślad. Cóż, nie miałem wyboru. Potrzebowałem wozu, więc nie mogłem jechać szybciej, a nie dałbym sobie rady z jeszcze jednym piekielnym rajdem. Dokonywałem zmian powoli i ostrożnie, aż nadto świadom swych przytępionych zmysłów i narastającego zmęczenia. Miałem nadzieję, że stopniowe nakładanie się zmian i odległość zbuduje między mną a Benedyktem barierę, która wkrótce stanie się nie do przebycia.

Znalazłem drogę z późnego popołudnia z powrotem w środek dnia, choć zatrzymałem pochmurne niebo - potrzebne mi było jedynie światło, nie upał. Potem udało mi się zlokalizować lekki wietrzyk. Zwiększał prawdopodobieństwo deszczu, ale opłacał się. Nie można mieć wszystkiego.

Walczyłem z ogarniającą mnie sennością i pragnieniem, by zbudzić Ganelona. Mogłem zwyczajnie zwiększyć dystans o parę mil pozwalając mu powozić, kiedy ja będę spał. Bałem się tego jednak na początkowym etapie podróży. Zbyt wiele rzeczy pozostało jeszcze do zrobienia. Cbciąłem mieć więcej dziennego światła, ale pragnąłem też lepszej drogi i niedobrze mi się robiło od tej cholernej żółtej gliny. Musiałem zrobić coś z chmurami i cały czas pamiętać, dokąd zmierzamy...

Przetarłem oczy i kilka razy odetchnąłem głęboko. W głowie wszystko zaczynało mi skakać, a monotonne klap - klap końskich kopyt i skrzypienie wozu działały usypiająco. Nie czułem już kołysania i wstrząsów. Lejce luźno zwisały mi w rękach, a raz zdrzemnąłem się i wypuściłem je. Na szczęście konie świetnie wiedziały, czego się od nich oczekuje.

Po pewnym czasie pokonaliśmy długi łagodny podjazd wiodący w przedpołudnie. Niebo było już całkiem ciemne. Kilka mil i z dziesięć zakrętów zajęło mi częściowe rozproszenie płaszcza chmur. Burza szybko zmieniłaby nasz szlak w rzekę błota. Skrzywiłem się na tę myśl, zostawiłem niebo i

znowu zająłem się drogą.

Dotarliśmy do walącego się mostu, zawieszzonego nad korytem wyschniętego strumienia. Po drugiej stronie droga była bardziej równa i mniej żółta. W miarę dalszej jazdy stawała się coraz ciemniejsza, gładza i twardsza, a trawa zazieleniła się po bokach.

Tymczasem jednak zaczęło padać.

Walczyłem z tym przez chwilę, zdecydowany nie rezygnować z mojej trawy i ciemnego, łatwego szlaku. Głowa mnie rozboleła, lecz deszcz ustał ćwierć mili dalej i znowu wyszło słońce.

Słońce... ach tak, słońce.

Toczyliśmy się dalej; droga opadała w dół, wijąc się pośród jasnych drzew. Zjechaliśmy w chłodną kotlinkę i przejechaliśmy jeszcze jeden mostek, tym razem z płynącą w dole stróżką. Owinąłem lejce wokół nadgarstka, bo raz po raz zapadałem w drzemkę. Jakby z wielkiej odległości koncentrowałem uwagę, prostując, wybierając...

W głębi lasu po prawej stronie ptaki powątpiewały w nastanie dnia. Krople rosy lśniły na trawie i liściach. Było chłodno; skośne promienie porannego słońca przebijały się przez korony drzew...

Moje ciało nie dało się jednak oszukać przebudzeniem tego Cienia. Z ulgą dosłyszałem, jak Ganelon z tyłu rusza się i klnie. Gdyby nie oprzytomniał sam, wkrótce musiałbym go obudzić.

Wystarczy. Delikatnie ściągnąłem lejce, a konie pojęły mój zamiar i zatrzymały się. Byliśmy wciąż na podjeździe, więc zaciągnąłem hamulec i sięgnąłem po butlę z wodą.

- Hej! - odezwał się Ganelon, kiedy piłem. - Zostaw dla mnie kropelkę!

Oddałem mu butlę.

- Ty teraz powozisz - powiedziałem. - Ja muszę się przespać.

Pił przez pół minuty, po czym głośno wypuścił z płuc powietrze.

- Dobra - zgodził się, przechodząc przez klapę i zeskakując na drogę. - Ale czekaj chwilę. Natura wzywa. Zszedł na bok, a ja wczołgałem się do wozu i ułożyłem na jego miejscu, ze zwiniętym płaszczem pod głową. Chwilę później usłyszałem, jak wspina się na kozioł. Poczulem wstrząs, kiedy zwolnił bamulec. Cmoknął i potrząsnął lejcami.

- Czy to ranek? - zawołał w moją stronę.

- Tak.

- Boże, przespałem cały dzień i całą noc!

- Nie. Dokonałem paru zmian w Cieniach - wyjaśniłem. - Spałeś sześć czy siedem godzin.

- Nie rozumiem. Ale nie szkodzi, wierzę ci. Gdzie jesteście?

- Wciąż jedziemy na północny wschód - odparłem. - Jakies dwadzieścia mil od miasta i może dwanaście do domu Benedykta. Poruszaliśmy się także w Cieniu.

- Co mam robić?

- Trzymaj się drogi. Potrzebna nam jest odległość.

- Czy Benedykt może nas jeszcze dogonić?

- Chyba tak. Dlatego nie możemy dać koniom odpocząć.

- W porządku. Jest coś specjalnego, na co powinienem uważać?

- Nie.

- A kiedy cię obudzić?

- Nigdy.

Umilkł. Czekałem, aż zgaśnie moja świadomość i oczywiście myślałem o Darze. Z niewielkimi przerwami myślałem o niej cały dzień. Zajście nie było przeze mnie zaplanowane. Nawet nie myślałem o niej jako o kobiecie, póki nie znalazła się w moich ramionach i nie zmieniła mojego poglądu na tę sprawę. W chwilę później kontrolę przejął rdzeń kręgowy redukując pracę mózgu do

odruchów podstawowych, tak jak tłumaczył mi to kiedyś Freud. Nie mogę zrzucić winy na alkohol, gdyż nie wypłem go aż tyle i niespecjalnie na mnie podziałał. A dlaczego w ogóle chciałem zrzucić winę na cokolwiek? Bo czułem się nie całkiem w porządku. Nie chodziło o pokrewieństwo - było zbyt dalekie, by brać je pod uwagę. Nie sądzę, bym nieuczciwie wykorzystał sytuację - wiedziała, co robi, kiedy mnie szukała. To okoliczności skłaniały mnie do kwestionowania moich motywów, nawet w trakcie zajścia. Nie tylko na jej przyjaźni mi zależało, gdy rozmawiałem z nią za pierwszym razem i brałem na spacer w Cień. Chciałem, by część jej lojalności, przywiązania, uczucia dla Benedykta przeszła na mnie. Pragnąłem mieć ją po swojej stronie jako potencjalnego sprzymierzeńca w miejscu, które mogło się stać wrogim obozem. Miałem nadzieję, że będę mógł ją wykorzystać, gdyby sprawy poszły źle. To prawda, lecz nie chciałem uwierzyć, że tylko dlatego się z nią kochałem. Bałem się jednak, że tak właśnie było, przynajmniej po części. A to sprawiało, że czułem się trochę nieprzyjemnie i bardziej niż trochę niegodziwie. Dlaczego? W swoim czasie dokonywałem czynów, które wielu ludzi uznałoby za dużo gorsze. i niespecjalnie się tym przejmowałem. Było mi ciężko, bo znałem wyjaśnienie, choć nie bardzo chciałem je uznać. Zależało mi na tej dziewczynie. To było oczywiste. Uczucie to było zupełnie inne od przyjaźni, która łączyła mnie z Lorraine - przyjaźń pary weteranów, zawierającej element wspólnego zmęczenia życiem. Nie miało też w sobie tej niedawnej zmysłowości, która zaistniała na krótko pomiędzy Moire i mną, zanim po raz drugi przeszedłem Wzorzec. Znałem Darę tak krótko, że wszystko to było niemal alogiczne. Byłem człowiekiem, któremu ciążyły przeżyte stulecia. A jednak... Od wieków nie odczuwałem niczego takiego. Nie pamiętałem już, jak to jest. Do tej chwili. Nie chciałem jej kochać. Nie teraz. Może kiedyś, później. Ale jeszcze lepiej wcale. Nie była odpowiednia dla mnie. Była dzieckiem. Cokolwiek zechciałaby zrobić, cokolwiek uznałaby za nowe i fascynujące, wszystko to miałem już za sobą. Nie, to nie mogło się zdarzyć. Nic by mi nie przyszło z tego uczucia. Nie powinienem pozwolić...

Ganelon zarzucił fałszywie jakąś sprośną przyśpiwkę.

Wóz trząsał i skrzypiał, wspinając się w górę. Słońce zaświeciło mi w oczy, więc zasłoniłem twarz ramieniem.

Mniej więcej wtedy chwyciło mnie i ścisnęło mocno zapomnienie.

Gdy się przebudziłem, minęło już południe. Czułem się lepki od brudu. Napilem się wody, wylałem trochę na dłoń i przemyłem oczy. Przeczesałem palcami włosy i rozejrzałem się.

Wokół nas pełno było zieleni i wysoka trawa rosła między kępami drzew. Poza kilkoma chmurkami niebo było czyste. Blask i cień zastępowały się nawzajem w dość regularnych odstępach czasu. Dmuchał lekki wietrzyk.

- Znowu między żywymi! Dobrze! - odezwał się Ganelon, kiedy precyzyjnie się do przodu i zająłem miejsce obok niego. - Konie są zmęczone, Corwinie, a ja także chętnie bym rozprostował kości. Jestem porządnie głodny, a ty?

- Ja też. Skręć w tę ocienioną polankę; zrobimy krótki postój.

- Wolałbym przejechać kawałek dalej - oświadczył.

- Masz jakieś ważne powody?

- Tak. Chcę ci coś pokazać.

- No to jazda.

Prześląpaliśmy jeszcze miłą. Droga skręciła bardziej na północ, potem było wzgórze, a kiedy dotarliśmy na wierzchołek, zobaczyliśmy drugie, jeszcze wyższe.

- Jak daleko chcesz jeszcze jechać? - spytałem.

- Podjedźmy na tamtą górkę - odparł. - Stamtąd powinniśmy już to zobaczyć.

- Dobrze.

Konie z wysiłkiem wspinały się w górę, a ja wysiadłem i popychałem wóz z tyłu. Kiedy stanęliśmy wreszcie na szczycie, czułem, że lepię się jeszcze bardziej od potu, ale obudziłem się już zupełnie. Geneton szarpnął lejce, zaciągnął hamulec, przeszedł do wnętrza wozu i wspiął się na skrzynie. Osłaniając dłonią oczy spojrzał w lewo.

- Corwinie, chodź tu na górę!

Wszedłem na tylną klapę, a on przykucnął, podał mi dłoń i pomógł wspiąć się na paki. Stałem obok niego. Wyciągnął rękę, a ja spojrzałem tam, gdzie wskazywał.

Jakieś trzy czwarte mili od nas, od lewej do prawej i tak daleko, jak tylko sięgałem wzrokiem, biegła szeroka czarna wstęga. Znajdowaliśmy się o paręset metrów powyżej i mogliśmy widzieć mniej więcej pół mili jej długości. Miała kilkadziesiąt metrów szerokości i choć zakrzywiała się i dwukrotnie skręcała w polu widzenia, odległość od brzegu do brzegu wydawała się w przybliżeniu stała. Wewnątrz rosły drzewa, wszystkie czarne.

Zdawało mi się, że dostrzegam jakiś ruch, ale nie wiem, co to było. Może tylko wiatr poruszał rosnącą u jej brzegów czarną trawę. Miałem jednak wrażenie, że wstęga płynie niby szeroka ciemna rzeka.

- Co to jest? - spytałem.

- Miałem nadzieję, że może ty mi wyjaśnisz - odrzekł Ganeton. - Myślałem, że to może część tej twojej magii cieni.

Powoli pokręciłem głową.

- Byłem senny, ale pamiętałbym, gdybym spowodował pojawienie się czegoś tak niezwykłego. Skąd wiedziałeś, że to tam jest?

- Kiedy spałeś, przejechaliśmy parę razy w pobliżu tego czegoś, nim oddaliliśmy się znowu. Zrobiło to na mnie bardzo nieprzyjemne wrażenie... ale jakby znajome. Czy tu ci czegoś nie przypomina?

- Tak, przypomina. Niestety.

Kiwnął głową.

- Podobne jest do tego przekłętego Kręgu w Lorraine. Właśnie do niego.

- Czarna droga... - mruknąłem.

- Co?

- Czarna droga - powtórzyłem. - Wspominała o niej. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale teraz zaczynam rozumieć. Nie jest dobrze.

- Jeszcze jeden zły omen?

- Boję się, że tak.

Zaklął.

- Czy już zaraz będziemy mieć kłopoty?

- Chyba nie, ale nie jestem pewien.

Zlął ze skrzyń na dół, a ja za nim.

- Więc poszukajmy jakiejś trawy dla koni, a przy okazji możemy się zatroszczyć o własne żołądki.

- Tak.

Przeszliśmy na kozioł i Ganeton chwycił lejce. Odpowiednie miejsce znaleźliśmy u stóp wzgórza. Zabawiliśmy tam prawie godzinę, rozmawiając głównie o Avalonie. Nie mówiliśmy więcej o czarnej drodze, choć myślałem o niej. Naturalnie, trzeba było przyjrzeć się jej z bliska.

Kiedy byliśmy już gotowi, ja wziąłem lejce. Konie, które zdążyły trochę odpocząć, szły równym krokiem.

Ganelon siedział przy mnie, wciąż w nastroju do rozmów.

Teraz dopiero zaczynałem pojmować, jak wiele znaczył dla niego ten powrót. Odwiedził kilka spelunek z okresu swej banicji i ze cztery pola bitew, gdzie odznaczył się już jako szanowany oficer. Poruszyły mnie jego wspomnienia. Ten człowiek był tak niezwykle mieszaniną złota i gliny, że powinien urodzić się w Amberze.

Szybko mijała mila za milą, i zbliżyliśmy się znowu do czarnej drogi, kiedy poczułem znajome ukłucie. Podałem lejce Ganelonowi.

- Trzymaj! - rozkazałem. - I jedź!

- Co się stało?

- Później. Po prostu jedź dalej.

- Mam popędzić konie?

- Nie. Normalne tempo. Nie odzywaj się przez chwilę.

Zamknąłem oczy, oparłem głowę na rękach, opróżniłem umysł z wszelkich myśli i wzniosłem mur wokół tej pustki. Nie ma nikogo w domu. Wyszedłem na lunch. Biuro nieczynne. To mieszkanie jest wolne. Nie przeszkadzać. Wstęp wzbroniony. Uwaga, zły pies. W czasie deszczu niebezpieczeństwo poślizgu. Uwaga, spadające skały. Do wyburzenia w związku z przebudową... Nacisk zmalał, a potem uderzył znowu, mocno. Zablokowałem go. Później nadeszła trzecia fala - i tę także powstrzymałem. Potem wszystko minęło. Odetchnąłem, masując palcami powieki.

- Już dobrze - powiedziałem.

- Co się stało?

- Ktoś próbował połączyć się ze mną poprzez bardzo szczególne środki. Benedykt, prawie na pewno. Do tej pory musiał się dowiedzieć o wielu sprawach i pewnie chce nas zatrzymać. Teraz ja będę powoził. Boję się, że niedługo będzie już na naszym tropie. Ganelon oddał mi lejce.

- Jakie mamy szanse, żeby mu się wymknąć?

- Powiedziałbym, że całkiem niezłe teraz, kiedy dzieli nas spora odległość. Jak tylko przestanie mi się kręcić w głowie, spróbuję przeskoczyć jeszcze parę Cieni. Jechaliśmy, szlak wił się i skręcał, przez pewien czas prowadził równoległe do czarnej drogi, potem zbliżył się do niej. W końcu dzieliło nas już ledwie kilkaset jardów. Ganelon przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

- Za bardzo przypomina tamto miejsce - oświadczył. - Te kłębki mgły, to wrażenie, że cały czas dostrzegasz kątem oka jakiś ruch...

Przygryzłem wargę. Byłem zlany potem. Próbowałem oddalić się od tej drogi, lecz napotkałem opór. Nie było to owo uczucie monolitycznej niewzruszalności, jakie pojawia się przy próbie ruchu przez Cień w Amberze.

To była raczej... nieuchronność. Oczywiście, przemieszczaliśmy się w Cieniu. Słońce weszło wyżej, powracając do południa, gdyż wolałem wieczorem nie znaleźć się w pobliżu tego czegoś. Niebo straciło nieco błękitu, drzewa wokół strzeliły w górę, a na horyzoncie pojawiło się pasmo gór.

Czyżby ta droga przecinała Cień?

Na pewno. Gdyby nie, to czemu Julian i Gerard by jej szukali i byli zaintrygowani na tyle, by próbować ją zbadać?

Nie byłem z tego zadowolony, lecz wydawało się, że ta droga i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

Niech to diabli!

Jechaliśmy wzdłuż niej, a odległość stopniowo malała. W końcu nie była większa niż trzydzieści

metrów. Dwadzieścia...

Ściągnąłem lejce. Nabiłem fajkę i paląc spoglądałem na tę przeszkodę. Gwiazda i świetlik najwyraźniej nie były zachwycone czarnym pasmem, które przecięło nam drogę; rżały i starały się skręcić w bok. Jeśli chcieliśmy trzymać się drogi, musieliśmy przeciąć czarną wstęgę na ukos. Część jej obszaru była niewidoczna, ukryta za szeregiem niewysokich kamiennych pagórków. Na granicy czerni rosła gęsta trawa, której wąskie pasma widać było także u stóp wzgórz. Przemykały wśród nich strzępy mgły, a wokół unosił się ledwo widoczny opar. Niebo oglądane przez powietrze tego miejsce było o kilka odcieni ciemniejsze i wydawało się brudne, jakby okopcone. Zalegała cisza, nie będąca jednak spokojem. Zdawało się niemal, że jakaś niewidoczna istota czai się wstrzymując oddech.

A potem usłyszeliśmy krzyk. Głos należał do kobiety. Czyżby stary numer z dziewicą w niebezpieczeństwie? Wołanie dochodziło gdzieś z prawej strony, zza skałek.

Było bardzo podejrzane, lecz mimo to - do licha - mogło być prawdziwe.

Rzuciłem Ganelonowi lejce i chwyciwszy Grayswandira zeskoczyłem na ziemię.

- Zobaczę, o co chodzi - rzuciłem i skoczyłem na prawo, przeskakując biegnący wzdłuż drogi rów.

- Wracaj szybko!

Przedarłem się przez jakieś krzaki i wspiałem na kamieniste zbocze. Potem przepchnąłem się przez kolejny gąszcz. Zacząłem wchodzić wyżej. Znowu dobiegł mnie krzyk, lecz teraz słyszałem też inne głosy. W końcu dotarłem na wierzchołek i mogłem sięgnąć spojrzeniem dalej.

Czarny obszar zaczynał się o jakieś piętnaście metrów ode mnie, w dole, a scena, którą zobaczyłem, rozgrywała się pięćdziesiąt metrów od granicy.

Jeśli nie liczyć płomieni, obraz był czarno - biały. Kobieta, cała w bieli i z rozpuszczonymi czarnymi włosami, sięgającymi do pasa, przywiązana była do jednego z ciemnych drzew. U jej stóp płonęły złożone na stos gałęzie. Pół tuzina włochatych mężczyzn - albinosów, prawie całkiem nagich i rozbierających się dalej, chodziło dookoła, poszturchując kijami kobietę i płonący stos. Raz po raz chwyтали się za lędźwie. Płomienie były już wysokie i suknia ofiary zaczynała się tlić. Jej szaty były poszarpane i podarte. Dostrzegłem pod nimi piękne, zmysłowe kształty. Przez kłęby dymu nie mogłem dojrzeć twarzy.

Ruszyłem naprzód i przekroczyłem granicę czerni, przeskakując długie, splątane trawy. Wpadłem pomiędzy mężczyzn i zanim się zorientowali, ściałem głowę jednemu i przebiłem drugiego na wylot. Pozostali krzycząc starali się dosięgnąć mnie kijami. Grayswandir pracował wytrwale, póki wszyscy nie padli bez ruchu. Ich krew była czarna.

Odwróciłem się i wstrzymując oddech rozrzuciłem nogami płonące gałęzie. Potem zbliżyłem się do kobiety i rozciąłem jej więzy. Szlochając padła mi w ramiona. Wtedy dopiero zobaczyłem jej twarz - a raczej nie zobaczyłem. Nosila maskę z kości słoniowej, owalną i wypukłą, zupełnie gładką poza dwoma prostokątnymi wycięciami na oczy. Odciągnąłem ją od ognia i krwi. Dyszała ciężko przyciskając się do mnie całym ciałem. Odczekawszy należycie - moim zdaniem - długą chwilę, spróbowałem się uwolnić. Lecz ona nie chciała mnie puścić, a była przy tym zaskakująco silna.

- Już po wszystkim - zapewniłem ją jakoś tak czy podobnie, równie banalnie.

Niezgrabnie pieścizotliwymi ruchami przesuwala dłonie po moim ciele. Miało to niepokojący efekt - z każdą chwilą była bardziej atrakcyjna. Stwierdziłem, że głaszczę jej włosy. I całą resztę.

- Już po wszystkim - powtórzyłem. - Kim jesteś? Dlaczego chcieli cię spalić? Kim byli?

Nie odpowiedziała. Przestała szlochać, choć wciąż oddychała ciężko. Tyle że już w inny sposób.

- Dlaczego nosisz maskę?

Sięgnąłem po nią, lecz gwałtownym ruchem cofnęła głowę.

Zresztą problem nie wydawał mi się specjalnie ważny. Jakaś chłodna, logiczna część mego umysłu wiedziała wprawdzie, że ta namiętność jest nieracjonalna, lecz byłem bezsilny niczym bogowie epikurejczyków. Pragnąłem jej i byłem gotów ją posiadać.

Wtedy usłyszałem Ganelona wykrzykującego moje imię. Spróbowałem odwrócić się w tamtą stronę. Powstrzymała mnie. Byłem zdumiony jej siłą.

- Dziecię Amberu - dobiegł mnie jej jakby znajomy głos. - Jesteśmy ci to winni za wszystko, co nam dałeś, i teraz będziemy mieć cię całego.

Znow usłyszałem głos Ganelona, jednostajnie wykrzykujący przekleństwa.

Wyteżyłem siły i uścisk osłabł. Wyciągnąłem rękę i zerwałem maskę z jej twarzy. Uwalniając się, słyszałem jej gniewny okrzyk, a gdy maska opadła, cztery końcowe słowa, coraz cichsze:

- Amber musi być zniszczony!

Pod maską nie było twarzy. Nie było nic.

Suknia opadła i zawisła mi na ramieniu. Kobieta - czy cokolwiek to było - zniknęła.

Obejrzałem się szybko. Genelon leżał na samej granicy czerni ze skręconymi nienaturalnie nogami. Jego miecz wznosił się wolno i opadał, lecz nie widziałem, w co uderza. Ruszyłem doń.

Czarne trawy, nad którymi przedtem przeskakiwałem, owinięły się wokół jego kostek. Nawet gdy je odcinał, inne sięgały ku niemu, jakby chciały pochwycić rękę z mieczem. Udało mu się częściowo oswobodzić prawą nogę. Pochyliwszy się mocno do przodu, załatwiłem to do końca. Potem stanąłem za nim, poza zasięgiem trawy, i odrzuciłem maskę. Dopiero teraz zauważyłem, że ciągle ją ściskam. Upadła na ziemię tuż poza granicą czarnego pasa i natychmiast zaczęła dymić.

Złapałem Ganelona pod pachy i z wysiłkiem odciągnąłem do tyłu. Zielsko stawiało gwałtowny opór, też w końcu udało mi się. Trzymając go przeskoczyłem przez pas ciemnej trawy, oddzielający nas od jej spokojniejszej, zielonej odmiany, rosnącej już poza krawędzią czarnej drogi.

Ganelon stanął samodzielnie, lecz wciąż opierał się na mnie, pochylał i klepał po goleniach.

- Nic nie czuję - poinformował. - Nogi całkiem mi zdrętwiały.

Pomogłem mu dojść do wozu. Cbwycił burtę i zaczął mocno tupać.

- Czuję - oświadczył. - Chyba wraca czucie... Uuch!

W końcu utykając przeszedł na przód wozu. Pomogłem mu wdrapać się na kozioł i wszedłem za nim.

- Już lepiej - westchnął. - Poprawiają się. To paskudztwo zwyczajnie wysysało z nich energię. I z całej reszty mnie też. Co się stało?

- Nasz zły omen zrealizował swoje przepowiednie.

- I co teraz?

Chwyciłem lejce i zwolniłem hamulec. - Przejeżdżamy - stwierdziłem. - Muszę dowiedzieć się czegoś więcej. Trzymaj miecz w pogotowiu.

Odmruknął mi coś i położył broń na kolanach. Koniom nie spodobała się idea tej jazdy, ale uderzyłem je lekko batem po bokach i ruszyły. Wjechaliśmy w obszar czerni i było tak, jakbyśmy weszli w kronikę filmową z drugiej wojny światowej - wszystko odległe, choć niemal pod ręką, sztywne, przygnębiające, posępne. Nawet skrzywienie kół i odgłos kopyt były jakies stłumione i dalekie. Zaczęło mi cicho, lecz natrętnie dzwonić w uszach. Trawa przy drodze zadrżała, choć trzymałem się od niej z daleka. Przecieliśmy kilka pasemek mgły - nie miała zapachu, lecz za każdym razem oddychało się trudniej. Zbliżyliśmy się do pierwszego pagórka, gdy rozpocząłem zmianę, która migła przerzucić nas przez Cień.

Okrążyliśmy wzgórze.

Nic.

Mroczny posepny widok nie zmienił się.

Wtedy się zdenerwowałem. Wyrysowałem z pamięci głęboki Wzorzec; i utrzymując ten obraz przed oczyma duszy spróbowałem raz jeszcze.

Natychmiast zabolęła mnie głowa. Ból sięgał od czoła do tylnej części czaszki i tam pozostał niby rozżarzony drut. To tylko roznieciło mój gniew. Jeszcze mocniej starałem się przerzucić czarną drogę w nicość. Obraz zafalował. Mgła zgęstniała i w kłębach płynęła ponad drogą. Kontury zaczęły się rozmywać. Potrząsałem lejcami i konie ruszyły szybszym krokiem. Czułem w głowie pulsujący ból i miałem wrażenie, że za chwilę moja czaszka rozleci się na kawałki.

Zamiast niej rozleciało się wszystko inne. Ziemia drgnęła i zaczęła gdzieś pękać. Nie koniec na tym. Wszystko drgało spazmatycznie, a pęknięcie było czymś więcej niż tylko szczelinami w gruncie. Wyglądało to tak, jakby ktoś kopnął w stół na którym leżały luźno zestawione kawałki układanki. Luki pojawiły się w całym obrazie: tu zielona gałąź, tam błysk wodnej powierzchni, fragment błękitnego nieba, czerń, biała nicość, front budynku z cegły, twarze za oknem, kawałek nieba usianego gwiazdami...

Konie galopowały, a ja starałem się, jak mogłem, by nie krzyczeć z bólu.

Przesunęła się nad nami fała zmieszanych głosów; ludzkich, zwierzęcych, mechanicznych. Wydało mi się, że słyszę przeklinającego Ganelona, ale nie byłem pewien.

Myślałem, że zemdleję z bólu, lecz do tego czasu zdecydowany byłem - wyłącznie ze złości i uporu - nie rezygnować. Skupiłem swe myśli na Wzorcu tak, jak konający człowiek wzywa swego Boga. Całą wolę rzuciłem przeciwko istnieniu czarnej drogi.

A potem nagle uścisk zniknął, a konie pędziły jak szalone, wciągając nas w pole zieleni. Ganelon sięgnął po lejce, lecz sam je ściągnąłem i krzyczałem na zwierzęta, dopóki się nie zatrzymały.

Przejechaliśmy przez czarną drogę.

Obejrzałem się natychmiast. Obraz falował trochę, jakbym oglądał go przez wzburzoną wodę. Nasza trasa trwała jednak równa i czysta niby most lub tama, a po obu jej stronach trawa była zielona.

- Wiesz co - powiedział Ganelon. - To było gorsze niż ta jazda wtedy, kiedy mnie wyгнаłeś.

- Też tak myślę - odparłem. Przemówiłem łagodnie do koni i w końcu udało mi się je namówić, by wróciły na szlak i ruszyły dalej.

Świat tutaj miał jaśniejsze barwy. Wjechaliśmy między drzewa - wysokie sosny, których zapachem przesiąknięte było powietrze. Ptaki i wiewiórki śmigały wśród gałęzi, a gleba była ciemniejsza i bardziej żyzna. Dobrze, że dokonaliśmy przeskoku, i to w pożądanym kierunku.

Szlak skręcił, cofnął się trochę, wyprostował. Co pewien czas widzieliśmy czarną drogę, niezbyt daleko od nas po prawej stronie. Teraz byłem już pewien, że przecina Cięń. Z tego, co mogłem zaobserwować, znów powróciła do swej normalnej, wrogiej natury.

Ból głowy minął i mój nastrój trochę się poprawił. Dostaliśmy się nieco wyżej i przed nami roztoczył się piękny widok pokrytego tasami i wzgórzami terenu. Przypominał mi niektóre części Pensylwanii, gdzie tak lubiłem jeździć wiele lat temu. Przeciągnąłem się.

- Jak twoje nogi? - spytałem.

- Nieźle - odparł Ganelon i spojrzał w tył. - Mam dobry wzrok, Corwinie...

- Tak?

- I widzę jeźdźca. Zbliża się szybko.

Wstałem i obejrzałem się. Chyba jęknąłem opadając z powrotem na kozioł. Szarpnąłem lejce. Był jeszcze zbyt daleko, żeby go rozpoznać - po przeciwnej stronie czarnej drogi. Ale kto inny mógłby to

być, pędzący z taką szybkością naszym tropem?

Zakląłem.

Zbliżaliśmy się do wierzchołka wzniesienia.

- Przygotuj się na piekielny rajd - powiedziałem do Ganelona.

- To Benedykt?

- Chyba tak. Za dużo straciliśmy czasu. Jest sam, więc może jechać niesamowicie szybko.

Zwłaszcza przez cień.

- Myślisz, że damy jeszcze radę go zgubić?

- Przekonamy się - stwierdziłem. - Już niedługo.

Cmoknąłem na konie i potrząsnąłem lejcami. Wjechaliśmy na wierzchołek i uderzył w nas lodowaty wicher. Droga biegła poziomo, a z lewej strony zaciemnił niebo cień wielkiego głazu. Minęliśmy go, lecz mrok pozostał i kryształki drobnego śniegu kłuły nam twarze i dłonie.

Kilka chwil później znów zjeżdżaliśmy w dół, a płatki śniegu przekształciły się w oślepiającą zawieję. Wiatr gwizdał w uszach; wóz trzeszczał i ześlizgiwał się. Szybko wyrównałem drogę. Dookoła potworzyły się zasy, a szlak był biały. Oddechy skraplały się w parę; lód lśnił na drzewach i skałach.

Ruch i chwilowa dezorientacja zmysłów. Nie do uniknięcia... Pędziliśmy dalej, a wiatr zawodził, uderzał i gryzł. Zasy pokrywały szlak.

Minęliśmy zakręt i wynurzyliśmy się z burzy. Świat był ciągle pokryty lodem, z rzadka opadał śniegowy płatek, lecz słońce uwolniło się z chmur i zalało ziemię światłem. Znowu zjechaliśmy w dół...

...Poprzez mgłę, by wynurzyć się na nagim i bezśnieżnym skalnym pustkowiu...

...Gdzie skręciliśmy w prawo, odzyskaliśmy słońce i podążaliśmy krętym szlakiem wijącym się po równinie pomiędzy wysokimi, bezkształtnymi stosami błękitnoszarego kamienia...

...Za którymi, daleko po prawej, biegła wraz z nami czarna droga.

Oblewały nas fale gorąca. Ziemia parowała. Bąble gazu pękały we wrzącej mazi wypełniającej kratery, a ich wyziewy unosiły się w wilgotnym powietrzu. Płytkie kałuże wyglądały jak rozrzucona garść nowych brązowych monet.

Konie ruszyły jak oszalałe, kiedy wzdłuż szlaku zaczęły wybuchać gejzery. O włos od nas wrząca woda zalewała drogę parującymi strugami. Niebo było jak mosiądz, słońce jak przegniłe jabłko, a wiatr jak zdyszany pies z cuchnącym oddechem.

Ziemia zadrżała. W dali, z lewej strony, góra cisnęła w niebo swój wierzchołek i rzuciła za nim płomienie. Biły w nas fale wstrząsów i huki, od których pękały bębenki w uszach. Wóz kołysał się i podskakiwał. Grunt dygotał i wicher walił z siłą huraganu, a my pędziliśmy w stronę szeregu wzgórz o czarnych szczytach. Drogę pozostawiliśmy, gdy skręciła w niepożądanym kierunku, i podskakując, trzęsąc się ruszyliśmy przez nagą równinę.

Wzgórza wirowały we wzburzonym powietrzu.

Obejrzałem się, czując dłoń Ganelona na ramieniu. Krzyczał coś, lecz nie słyszałem ani słowa. Potem wyciągnął rękę do tyłu. Podążyłem wzrokiem za jego gestem, lecz nie zobaczyłem nic, czego bym nie oczekiwał. Szalał wicher, wirował kurz, jakieś śmieci i popioły. Wzruszyłem ramionami i skupiłem uwagę na wzgórzach.

Ciemność pojawiła się u podstawy najbliższego. Skierowałem się ku niej. Grunt znów się pochylił, a ciemność rozrastała się przede mną, póki nie stała się rozległą bramą jaskini, ukrytą za zasłoną pyłu i piasku.

Strzeliłem z bata. Galopem przebyliśmy ostatnie pół kilometra i wjechaliśmy do wnętrza.

Natychmiast zacząłem hamować konie. Pozwoliłem im odpocząć w niespiesznym kłusie.

Zjeżdżaliśmy coraz niżej. Skręciliśmy i znaleźliśmy się w obszernej, wysoko sklepionej grocie, światło przeciekało do wnętrza przez otwory w odległym stropie, malowało na stalaktytach jasne plamki i padało na rozedrgane zielone sadzawki. Grunt się kołysał, a mój słuch zaczął chyba wracać do normy, gdyż zobaczyłem, jak kruszy się masywny stalagmit, i usłyszałem delikatny stuk jego upadku.

Przejechaliśmy nad czarnodenną otchłanią po moście, który był chyba z wapienia, bo rozsypał się za nami i znikł. Z góry spadały kawałki skały, a czasem także większe gązdy. W zakątkach i szczelinach lśniły plamy zielonego i czerwonego próchna, skrzyły się żyły minerałów, wielkie kryształy i płaskie kwiaty białego kamienia dodawały temu wilgotnemu miejscu posępnego piękna. Toczyliśmy się przez jaskinie niby bańki i jechaliśmy z biegiem spienionego potoku, póki nie zniknął w czarnej dziurze.

Długa, spiralna galeria raz jeszcze poprowadziła nas w górę. Usłyszałem cichy głos Ganelona, odbijający się echem:

- Zdawało mi się, że zauważyłem jakiś ruch... to mógł być jeździec... na szczycie... tylko chwilę... za nami.

Przedostaliśmy się do odrobinę jaśniejszej komory.

- Jeśli to był Benedykt, to trudno mu będzie jechać za nami - krzyknąłem. Dobiegło nas drżenie i stłumiony huk, kiedy coraz więcej skał waliło się z tyłu. Jechaliśmy dalej, naprzód i w górę, aż w sklepieniu zaczęły pojawiać się otwory, ustępujące miejsca łatom czystego błękitnego nicha. Stuk końskich kopyt i skrzypienie wozu nabrały z wolna normalnej głośności. Słyszeliśmy także echo. Drgania ustały, ptaki śmigwały nam nad głowami i światło było coraz jaśniejsze. Droga skręciła raz jeszcze i zobaczyliśmy wyjście - szeroki, jasny korytarz w dzień. Musieliśmy pochylić głowy przejeżdżając pod wyszczerbionym stropem. Podskoczyliśmy na wystającej krawędzi omszałego gązdu. Przed nami leżał kamienisty żleb, niby wykoszony na zboczu między gigantycznymi drzewami i znikający pod nimi w dole. Cmoknąłem na konie, zachęcając je do dalszej drogi.

- Są już zmęczone - zauważył Ganelon.

- Wiem. Tak czy inaczej, wkrótce będą mogły odpocząć.

Żwir chrząścił pod kołami. Przyjemnie było znowu poczuć zapach drzew.

- Zauważyłeś? Tam w dole, na prawo...

- Co..? - zacząłem odwracając głowę w tamtą stronę. I dokończyłem: - Och! Piekielna czarna droga znów była z nami, odległa może o siedem - osiem kilometrów.

- Ile cieni może przecinać? - zastanowiłem się głośno.

- Wydaje się, że wszystkie - stwierdził Ganelon.

- Mam nadzieję, że nie - odparłem.

Zjeżdżaliśmy w dół pod błękitnym niebem i złotym słońcem, które - tak jak powinno - chyliło się ku zachodowi.

- Trochę się bałem wyjazdu z tej jaskini - odezwał się Ganelon. - Nigdy nie wiadomo, co czeka po drugiej stronie.

- Konie nie wytrzymałyby dłużej. Musiałem trochę popuścić. Jeśli to Benedykta widzieliśmy, to lepiej dla jego konia, żeby był w dobrej formie. Poganiał go ostro. I musiał znieść to wszystko... Chyba nie da rady.

- Może jest przyzwyczajony - zasugerował Ganelon, gdy z chrzęstem kół na żwirze skręciliśmy w prawo i straciliśmy jaskinię z oczu.

- To zawsze jest możliwe - zgodziłem się i znów pomyślałem o Darze. Ciekawe, wrobi w tej

chwili.

Droga prowadziła w dół. Wolno dokonywałem ledwie zauważalnych zmian. Nasz szlak zbaczał ciągle w prawo, i zakładałem zdając sobie sprawę, że cały czas zbliżamy się do czarnej drogi.

- Cholera! Jest natrętna jak agent ubezpieczeniowy - stwierdziłem, czując, że mój głos przekształca się w coś zbliżonego do nienawiści. - Zniszczę ją, kiedy nadejdzie czas!

Genelon nie odpowiadał. Pił wodę. Potem podał mi butelkę, więc także się napiłem.

Z czasem osiągnęliśmy bardziej płaski teren. Szlak nadal wyginał się i zakręcał z byle powodu. Dawało to koniom nieco odpocząć i nie pozwalało na szybki pościg. Minęła godzina i trochę się uspokoilem. Zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść. Kończyliśmy właśnie, kiedy Ganelon - cały czas wpatrujący się w zbocze - wstał i osłonił oczy.

- Nie! - skoczyłem na równe nogi. - Nie wierzę!

Z jaskini wynurzył się samotny jeździec. Widziałem, jak zatrzymuje się na chwilę, by po chwili ruszyć dalej.

- Co robimy? - spytał Ganelon.

- Zbieramy rzeczy i jedziemy. Przynajmniej odsuniemy trochę to, czego nie da się uniknąć. Chcę mieć trochę czasu do namysłu.

Ruszyliśmy w umiarkowanym tempie, lecz moje myśli gnały z pełną szybkością. Musiał być jakiś sposób, żeby go zatrzymać. Jeśli się da, to nie zabijając.

Żadnego jednak nie potrafiłem wymyślić.

Jeśli by nie brać pod uwagę czarnej drogi, która znowu się przybliżyła, to nastąpiłoby śliczne popołudnie w pięknym miejscu. Hańbą byłoby plamienie go krwią. Tym bardziej że mogła to być moja krew. Bałem się spotkania z Benedyktem, nawet walczącym lewą ręką. Ganelon nie na wiele mógł mi się przydać - tamten nawet go nie zauważy.

Dokonałem zmiany, gdy byliśmy na zakręcie. Po chwili do moich nozdrzy doleciał słaby zapach dymu. Znowu przeskok, minimalny...

- Zbliża się szybko - poinformował Ganelon. - Widziałem właśnie... Dym! Ogień! Las się pali!

Obejrzałem się ze śmiechem. Dym zakrywał połowę zbocza, wśród zieleni błyskały pomarańczowe języki ognia. Teraz dopiero usłyszałem trzask płomieni. Konie bez popędzania przyspieszyły kroku.

- Corwin! Czy to ty...?

- Tak. Gdyby było bardziej stromo i bez drzew, spróbowałbym lawiny.

W powietrze uniosły się stada ptaków. Zbliżaliśmy się do czarnej drogi. Światlik potrząsnął głową i zarżał; na pysku miał krople piany. Szarpnął uprząż, potem stanął dęba i kopał przednimi nogami. Gwiazda parskała przestraszona i ciągnęła w prawo. Po krótkiej walce odzyskałem kontrolę. Postanowiłem, że pozwolę im pogalopować.

- On ciągle jedzie! - krzyknął Ganelon.

Zakładałem. Popędziliśmy naprzód. Szlak doprowadził nas w końcu na sam skraj czarnej drogi. Wjechaliśmy na długi prosty odcinek. Spojrzałem w tył - całe zbocze stało w ogniu, a droga - niby brzydka blizna - biegła samym jego środkiem. Wtedy dostrzegłem jeźdźca. Był już w połowie zjazdu i gnał, jakby startował w derbach Kentucky. Boże! Cóż to musiał być za koń! Ciekawe, jaki cień go zrodził.

Ściągnąłem lejce, lekko z początku, potem coraz mocniej. Zaczęliśmy zwalniać. Znaleźliśmy się ledwie kilkadziesiąt metrów od czarnej drogi i dopilnowałem, by niezbyt daleko w przodzie odległość zmalała do ośmiu - dziesięciu metrów. Udało mi się zatrzymać konie, kiedy dotarliśmy do tego punktu. Stały drżące. Oddałem lejce Ganelonowi, wyciągnąłem Grayswandira i zeskoczyłem

na ziemię.

Czemu nie? Teren był płaski, równy i otwarty, a ten przeklęty czarny pas tuż obok, tak ostro kontrastujący z barwami życia i rozkwitu, przemawiał może do moich mrocznych instynktów.

- Co teraz? - spytał Ganelon.

- Nie damy rady odskoczyć - odparłem. - Jeśli przejedzie przez ogień, to będzie tu za parę minut. Dalsza ucieczka nie ma sensu. Spotkam się z nim tutaj.

Ganelon zawiązał lejce na poręczy i sięgnął po miecz.

- Nie - powstrzymałem go. - W żaden sposób nie zdołasz wpłynąć na wynik starcia. Oto co chcę, byś zrobił: podciągnij wóz trochę dalej i czekaj. Jeśli sprawy ułożą się po mojej myśli, pojedziemy. Jeśli nie, natychmiast poddaj się Benedyktowi. Jemu zależy na mnie. A będzie jedyną osobą, która potrafi z tobą wrócić do Avalonu. I robi to. Przynajmniej przeżyjesz resztę swych dni w ojczyźnie.

Zawahał się.

- Jedź - przynagliłem. - I rób, co powiedziałem.

Spuścił wzrok. Odwiązał lejce. Spojrzał na mnie.

- Powodzenia - powiedział i popędził konie.

Zszedłem ze szlaku, by zająć pozycję za niewielką kępą drzewek, i czekałem. Nie wypuszczałem z rąk Grayswandira. Raz spojrzałem na czarną drogę, a potem patrzyłem już tylko na szlak.

Po krótkiej chwili pojawił się w pobliżu linii ognia, otoczony płomieniami i dymem, pośród padających na ziemię płonących konarów. Tak, tu był Benedykt z częściowo zasłoniętą twarzą, z oczami zakrytymi kikutem prawej ręki, zbliżający się niby upiorny uciekinier z piekła. Przejechał pod deszczem iskier i popiołu, dotarł do czystego terenu i pognął naprzód.

Wkrótce słyszałem już tętent kopyt. Być może póki czekałem, uprzejmie z mojej strony było schować miecz do pochwy. Gdybym jednak to zrobił, może nie miałbym już szansy, by wyciągnąć go z powrotem.

Zdałem sobie sprawę, że zastanawiam się, jak Benedykt będzie używał miecza. I jaki to będzie miecz? Prosty? Zakrzywiony? Długi? Krótki? Każdym władał równie skutecznie. To on uczył mnie szermierki.

Schowanie Grayswandira może być nie tylko uprzejme, ale i sprytne. Może będzie chciał najpierw porozmawiać... a tak sam ściągam na siebie kłopoty. Gdy jednak tętent narastał, stwierdziłem, że boję się odłożyć broń.

Zdażyłem raz wytrzeć spoconą dłoń, zanim zjawił się w polu widzenia. Zwolnił przed zakrętem i musiał mnie dostrzec w tej samej chwili, w której ja go zobaczyłem. Ruszył prosto na mnie, coraz wolniej. Nie wydawało się jednak, by miał zamiar się zatrzymać.

To było niemal mistyczne przeżycie - nie wiem, jak można inaczej je określić. Podjeżdżał, a mój umysł wyprzedzał czas i było tak, jakbym miał całą wieczność, by obserwować zbliżanie się tego człowieka, który był moim bratem. Ubranie miał brudne, poczerniałą twarz, uniesiony kikut prawej ręki wskazywał pustkę. Wielka bestia, której dosiadał, była pasiasta, czarno - ruda, z płomiennie rudą grzywą i ogonem. Ale to naprawdę był koń - przewracający oczami, z pianą na pysku i boleśnie ciężkim oddechem. Zauważyłem też, że Benedykt nosi miecz przymocowany na plecach, gdyż rękojeść sterczała wysoko ponad jego prawym ramieniem. Wpatrzony we mnie, zwalniając ciągle, zjechał z drogi, kierując się trochę w lewo od miejsca, gdzie stałem. Raz tylko szarpnął cugle i puścił je, by prowadzić konia jedynie naciskiem kolan. Uniósł lewą dłoń - jakby salutując - przesunął ją nad głowę i chwycił rękojeść broni. Miecz wyszedł z pochwy bez dźwięku, zakreślił piękny łuk i znieruchomiał w śmiertelnym układzie, na ukos w tył od lewego ramienia, niby pojedyncze skrzydło z matowej stali, z linią ostrza błyszczącą jak zwierciadlana nitka. Obraz ten wrył mi się w pamięć jako

wzniosły i dziwnie poruszający swym splendorem. Miecz miał długie, podobne do kosa ostrze. Widziałem kiedyś, jak się nim posługiwał. Wtedy jednak staliśmy obok siebie, naprzeciw wspólnego wroga, o którym zaczynałem już sądzić, że jest niezwyciężony. Owej nocy Benedykt wykazał, że jest inaczej. Teraz, gdy zobaczyłam tę klingę wzniesioną przeciwko sobie, ognrnęło mnie przemożone uczucie własnej śmiertelności, którego nigdy dotąd nie doświadczyłem tak silnie. Miałem wrażenie, że ktoś zdarł ze świata zasłonę; i nagle w pełni pojąłem istotę śmierci.

Chwila minęła. Cofnąłem się do zagajnika i stanąłem tak, by wykorzystać osłonę drzew. Wszedłem między nie na jakieś cztery metry i zrobiłem dwa kroki w lewo. Koń stanął dęba w ostatniej możliwej chwili, parsknął, zarżał rozszerzając wilgotne nozdrza i zdzierając murawę skręcił w bok. Ramię Benedykta poruszyło się tak szybko, że niemal niewidocznie, jak język ropuchy, a ostrze miecza przeszło przez pień drzewka dziesięciocentymetrowej - na oko - średnicy. Drzewo stało jeszcze przez moment, po czym wolno runęło.

Jego buty uderzyły o ziemię. Ruszył w moją stronę. Zagajnik był mi potrzebny, także po to, by to on musiał przyjść za mną w miejsce, gdzie długie ostrze będzie zawadzać o pnie i gałęzie. Lecz on zbliżając się poruszał niedbale mieczem tam i z powrotem, a wokół niego padały drzewa. Gdyby tylko nie był tak piekielnie fachowy. Gdyby tylko nie był Benedyktem...

- Benedykcie - odezwałem się normalnym głosem. - Ona jest już dorosła i może sama decydować o pewnych rzeczach...

Jeśli mnie słyszał, to nie dał mi tego poznać. Po prostu szedł dalej machając mieczem w prawo i w lewo. Ostrze dzwoniło niemal rozcinając powietrze, potem następowało ciche tukk!, i minimalnie tylko zwalniając przecinało kolejny pień.

Wycelowałem w jego pierś ostrze Grayswandira.

- Nie podchodź bliżej. Benedykcie - ostrzegłem. - Nie chcę z tobą walczyć.

Uniósł miecz do ataku i wyrzekł jedno jedyne słowo:

- Morderca!

Poruszył dłonią i jednocześnie moja klinga odskoczyła na bok. Sparowałem jego pchnięcie, a on odbił moją ripostę i znów poszedł do przodu.

Tym razem nawet się nie trudziłem kontratakiem. Odparowałem tylko i cofnąłem się za drzewo.

- Nie rozumiem - powiedziałem i zbiłem w dół jego ostrze, które dosięgło mnie niemal, prześlizgnąwszy się obok pnia. - Nikogo ostatnio nie zabiłem. A już na pewno nie w Avalonie.

Jeszcze jedno tukk! i drzewo runęło na mnie. Odskoczyłem. cofałem się i broniłem.

- Morderca! - powtórzył.

- Nie wiem, o czym mówisz Benedykcie.

- Kłamca!

Zatrzymałem się i wytrzymałem jego atak. Niech to dtabli! To idiotyczne ginąć przez pomyłkę! Ripostowałem najszybciej, jak mogłem, szukając jakiegokolwiek luki w jego obronie. Nie było żadnej.

- Wytłumacz przynajmniej! - krzyknąłem.

On chyba skończył już z rozmowami. Przycisnął mocniej, a ja znów się cofnąłem. To było jak próba walki z lodowcem. Zaczynałem nabierać przekonania, że zwariował, ale tu niczego nie zmieniało. U kogokolwiek innego szaleństwo spowodowałoby przynajmniej częściową utratę kontroli. Benedykt jednak wykonywał swoje odruchy przez stulecia i całkiem poważnie sądziłem, że usunięcie kory mózgowej nie wpłynęłoby na perfekcję jego ruchów.

Ciągle spychał mnie w tył. Kryłem się za drzewami, a on je ścinał i szedł dalej. Popełniłem błąd i zaatakowałem, po czym ledwie mi się udało powstrzymać jego ripostę, o włos od mojej piersi. Z trudem stłumiłem pierwszą falę grozy, gdy zauważyłem, że zmusza mnie do cofania się w stronę

krańca zagajnika. Wkrótce będzie mnie miał na otwartym polu, bez drzew, które by go hamowały.

Cała moja uwaga było skupiono na nim tak dokładnie, że nie miałem pojęcia, co ma się zdarzyć, dopóki to nie nastąpiło.

Ganelon wyskoczył skądś z głośnym okrzykiem i chwycił Benedykta od tyłu, przyciskając mu lewą rękę do tułowia.

Choćbym nawet chciał, nie miałem szans, by go wtedy zabić. Był zbyt szybki, a Ganelon nie miał pojęcia o jego sile.

Benedykt skrzył ciało w prawo, ustawiając napastnika między sobą a mną, a równocześnie machnął kikutem ręki jak maczugą. Trafił Ganelona w skroń. Potem uwolnił lewe ramię, chwycił go za pas i cisnął we mnie. Odskoczyłem, a on podniósł miecz leżący tam, gdzie go upuścił, i znów ruszył do ataku. Ledwie miałem czas zauważyć, że Ganelon upadł bezwładnie jakieś dziesięć kroków za mną.

Odparowałem atak i zacząłem się cofać. Pozostała mi już tylko jedna sztuczka i smutna była myśl, że gdy i ona zawiedzie, Amber zostanie pozbawiony swego prawowitego władcy.

Trochę trudniej jest walczyć z dobrym leworęcznym przeciwnikiem niż z równie dobrym praworęcznym. To także działało przeciwko mnie. Musiałem jednak trochę poeksperymentować. Było coś, czego musiałem się dowiedzieć niezależnie od ryzyka.

Zrobiłem długi krok do tyłu i na moment znalazłem się poza jego zasięgiem. Potem wychyliłem się do przodu i zaatakowałem. Wszystko było dokładnie wyliczone i bardzo szybkie.

Nieoczekiwany rezultat mojej akcji, a także - jestem pewien - szczęścia, było to, że przedostałem się przed osłonę, choć nie sięgnąłem celu. Grayswandir znalazł się wysoko ponad blokiem i zaciął Benedykta w ucho. Zwolniło to jego ruchy, ale bez konsekwencji. Jeżeli w ogóle był jakiś efekt, to tylko wzmocnienie obrony. Dalej atakowałem, ale tam zwyczajnie nie było żadnej luki. Skaleczenie było niewielkie, lecz krew ciekła po uchu i kapłała w dół, po kilka kropel naraz. Mogłoby to nawet rozpraszać, gdybym pozwolił sobie na coś więcej niż odnotowanie faktu.

A potem zrobiłem to, czego się bałem, ale nie miałem wyboru. Pozostawiłem małą lukę, tylko na moment. Wiedziałem, że zaatakuje przez nią, mierząc mi w serce.

Zrobił to. Sparowałem w ostatniej chwili. Nie lubię wspominać, jak niewiele wtedy brakowało.

Znów zacząłem ustępować oddając teren i wycofując się z zagajnika. Parowałem i odstępowałem; przeszedłem obok miejsca, gdzie leżał Ganelon, i cofnąłem się jeszcze z pięć metrów. Walczyłem defensywnie i ostrożnie.

A potem dałem Benedyktowi kolejną szansę.

Poszedłem do przodu tak samo jak poprzednio i znów udało mi się go zatrzymać. Potem jeszcze bardziej wzmocnił swoje ataki, spychając mnie na sam brzeg czarnej drogi.

Zatrzymałem się tam i ustępowałem, wolno przesuając się do wybranego punktu. Musiałem powstrzymać go jeszcze przez kilka chwil. Wtedy będę mógł to dobrze rozegrać.

To były trudne chwile, gdy broniłem się wściekle i przygotowywałem.

Potem otworzyłem mu taką samą lukę.

Wiedziałem, że zaatakuje tak samo jak poprzednim razem. Odstawiłem prawą nogę w bok i do tyłu, za lewą. Wyprostowałem się tak, jak on. Minimalnie tylko odbiłem w bok jego klingę i odskoczyłem na czarną drogę, wyciągając przed siebie prawe ramię, by uniemożliwić zwanie.

Zrobił to, na co liczyłem. Zbił moją klingę i kiedy opuściłem ją do kwarty, zaatakował...

...co spowodowało, że stanął na pasie czarnej trawy, nad którym ja przeskoczyłem.

Z początku nie śmiałem nawet spojrzeć w dół. Po prostu nie cofałem się dając roślinom szansę.

Trwało to tylko chwilę. Benedykt zrozumiał, co się dzieje, gdy tylko spróbował się poruszyć.

Dostrzegłem na jego twarzy zdumienie, potem wysilek. Wiedziałem już, że go mam. Nie byłem jednak pewny, czy trawa zdoła utrzymać go dłużej, więc natychmiast zrobiłem, co trzeba. Krok w prawo usunął mnie z zasięgu jego miecza. Podbiegłem i przeskoczyłem przez trawę, poza czarną drogę. Próbował się odwrócić, ale źdźbła oplotły mu nogi aż do kolan. Zachwiał się, lecz szybko odzyskał równowagę.

Przeszedłem za nim na jego prawą stronę. Jedno proste pchnięcie i byłby trupem. Ale teraz nie miałem żadnego powodu, by go zabijać.

Sięgnął ręką za plecy, odwrócił głowę i skierował ostrze w moją stronę. A potem zaczął uwalniać lewą nogę.

Zrobiłem zwód w prawo, a gdy próbował go odparować, walnąłem płazem Grayswandira w tył głowy. To go oszołomiło, mogłem więc podejść i lewą ręką wyprowadzić cios w nerki. Pochylił się lekko, a ja zablokowałem mu lewe ramię i znów uderzyłem z tyłu w szyję, tym razem pięścią i mocno. Padł nieprzytomny.

Wyjąłem mu z ręki miecz i odrzuciłem na bok. Płynąca z ucha krew kreśliła na jego szyi wzór przywodzący na myśl kształt jakiegoś egzotycznego kolczyka.

Odłożyłem Grayswandira, chwyciłem Benedykta pod pachy i ściągnąłem z czarnej drogi. Trawy trzymały mocno, lecz wyteżyłem wszystkie siły i w końcu mi się udało.

Tymczasem podniósł się Ganelon. Przykuśtykał do mnie i popatrzył na Benedykta.

- Co to za człowiek - powiedział. - Co to za człowiek... Co z nim zrobimy?

- Na razie zaniemiemy do wozu - odparłem. - Weźmiesz miecze?

- Jasne.

Poszliśmy drogą. Benedykt był ciągle nieprzytomny - na szczęście, bo nie miałem ochoty znowu go bić, dopóki nie było potrzeby. Ułożyłem go obok sporego drzewa niedaleko wozu.

Gdy nadszedł Ganelon, schowałem miecze do pochew i kazałem mu odwiązać liny z kilku skrzyń. Sam tymczasem obszukałem Benedykta i znalazłem to, co było mi potrzebne.

Potem przywiązałem go do drzewa. Ganelon przyprowadził jego konia, którego uwiązałem do jakiegoś krzaka w pobliżu. Tam też powiesiłem miecz Benedykta.

W końcu wspiąłem się na kozioł. Ganelon usiadł przy mnie.

- Chcesz go zwyczajnie tak zostawić? - zapytał.

- Na razie - odrzekłem.

Ruszyliśmy. Nie oglądałem się za siebie, w przeciwieństwie do Ganelona.

- Jeszcze się nie rusza - oznajmił. I dodał: - Nikt nigdy tak mnie nie podniósł i nie rzucił. I to jedną ręką.

- Dlatego kazałem ci czekać przy wozie i nie walczyć z nim, gdybym przegrał.

- Co się teraz z nim stanie?

- Postaram się, żeby ktoś się nim zajął.

- Ale nic mu nie będzie?

Pokręciłem głową.

- To dobrze.

Przejechaliśmy jeszcze ze dwie mile. Dopiero wtedy zatrzymałem konie i zszedłem na ziemię.

- Nie denerwuj się, cokolwiek by się działo - powiedziałem. - Muszę załatwić pomoc dla Benedykta.

Zszedłem z drogi i stanąłem w cieniu. Wyjąłem komplet Atutów, które miał przy sobie Benedykt, przerzuciłem je, znalazłem Gerarda i wyjąłem go z talii. Resztę schowałem do wyściełanego jedwabiem, inkrustowanego kością słoniową drewnianego pudełka, w którym je znalazłem.

Trzymałem przed sobą Atut Gerarda i wpatrywałem się weń. Po pewnym czasie obraz stał się ciepły, realny, jakby ruchomy. Poczułem obecność Gerarda. Był w Amberze. Szedł ulicą, którą znałem. Jest bardzo podobny do mnie, tyle że większy i cięższy. Nadal nosi brodę.

Zatrzymał się i wytrzeszczył oczy.

- Corwin!

- Tak, Gerardzie. Dobrze wyglądasz.

- Twoje oczy! Ty widzisz!

- Tak, znowu widzę.

- Gdzie jesteś?

- Chodź do mnie, to sam zobaczysz.

Zesztywniał.

- Nie jestem pewien, czy mogę to zrobić, Corwinie. Jestem akurat bardzo zajęty.

- Chodzi o Benedykta - wyjaśniłem. - Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać na tyle, by prosić o pomoc dla niego.

- Benedykt! Czy ma jakieś kłopoty?

- Tak.

- Więc dlaczego sam mnie nie wezwał?

- Nie może. Nie ma swobody ruchów.

- Jak? Dlaczego?

- To zbyt długa i skomplikowana historia, by teraz ją opowiadać. Uwierz mi, on potrzebuje twojej pomocy, i to szybko.

Przygryzł zębami pasemko włosów z brody.

- I nie możesz sam tego załatwić?

- Absolutnie nie.

- I sądzisz, że ja mogę?

- Wiem, że możesz.

Poluzował miecz w pochwie.

- Nie chciałbym cię posądzać o jakiś podstęp, Corwinie.

- Zapewniam cię, że to nie podstęp. Mając tyle czasu na myślenie zorganizowałbym coś bardziej subtelnego, nie sądzisz?

Westchnął. Potem kiwnął głową.

- Dobrze. Idę do ciebie.

- No to chodź.

Przez chwilę stał nieruchomo, a potem postąpił krok do przodu.

Stanął obok mnie. Wyciągnął rękę i położył mi dłoń na ramieniu.

- Corwin! - powiedział. - Cieszę się, że znowu masz oczy.

Odwróciłem wzrok.

- Ja także. Ja także.

- Kto to jest, tam koło wozu?

- Przyjaciel. Nazywa się Ganelon.

- Gdzie jest Benedykt? Co się stało?

- Tam - skinąłem ręką. - Jakies dwie mile stąd, koło drogi. Jest przywiązany do drzewa. Jego koń stoi obok.

- Więc czemu jesteś tutaj?

- Uciekam.

- Przed czym?

- Przed Benedyktem. To właśnie ja go związałem.

Zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

Potrząsnąłem głową.

- Nastąpiło nieporozumienie. Nie mogłem mu wytłumaczyć. Walczyliśmy. Uderzyłem go i stracił przytomność. Potem go związałem. Nie mogę go uwolnić - bo znów się na mnie rzuci. I nie mogę tak zostawić. Coś może mu się stać, zanim się wypłacze. Dlatego wezwałem ciebie. Proszę cię, idź do niego, uwolnij i odprowadź do domu.

- A co ty będziesz robił w tym czasie?

- Będę stąd wiał najszybciej, jak się da, żeby się zgubić w Cieniu. Wyświadczysz nam obu przysługę, powstrzymując go od pościgu. Nie chcę się z nim bić po raz drugi.

- Rozumiem. Powiesz mi, co się stało?

- Nie jestem pewien. Nazwał mnie mordercą. Daję słowo, że nie zabiłem nikogo przez cały czas, gdy byłem w Avalonie. Powtórz mu to, proszę. Nie mam powodów, by cię oszukiwać, i przysięgam, że to prawda. Jest jeszcze jedna sprawa, która mogła go zirytować. Jeśli o niej wspomni, powiedz mu, że musi polegać na wyjaśnieniach Dary.

- A o co chodzi?

Wzruszyłem ramionami.

- Dowiesz się, jeśli zaczniesz o tym mówić. Jeżeli nie, zapomnij o wszystkim.

- Dara, powiadasz?

- Tak.

- Dobrze, zrobię, o co prosisz. A teraz, czy mógłbyś mi powiedzieć, jak udało ci się uciec z Amberu?

Uśmiechnąłem się.

- Akademicka ciekawość? Czy też obawa, że pewnego dnia sam będziesz musiał skorzystać z tej trasy?

Roześmiał się.

- Taka informacja może okazać się bardzo użyteczna.

- Żałuję, drogi bracie, ale świat jeszcze nie jest gotów do przyjęcia tej wiedzy. Gdybym musiał komuś powiedzieć, powiedziałbym tobie. W żaden sposób jednak ci się tu nie przyda, podczas gdy zachowanie tajemnicy może mi jeszcze kiedyś posłużyć.

- Innymi słowy, masz prywatne wejście i wyjście z Amberu. Co ty planujesz, Corwinie?

- A jak myślisz?

- Odpowiedź jest oczywista. Lecz ja żywię w tej sprawie dość mieszane uczucia.

- Opowiesz mi o nich?

Skinął ręką w stronę widocznego z naszego miejsca odcinka czarnej drogi.

- To coś sięga teraz stóp Kolviru - powiedział. - Najróżniejsze groźne stwory docierają tą drogą do Amberu. Bronimy się i jak na razie zawsze zwyciężamy. Lecz ataki są coraz niebezpieczniejsze i zdarzają się coraz częściej. Nie jest to dobry czas na wykonanie twego ruchu, Corwinie.

- A może właśnie najlepszy - odrzekłem.

- Może dla ciebie. Ale niekoniecznie dla Amberu.

- Jak Eryk radzi sobie z sytuacją?

- Należycie: Jak powiedziałem, zawsze zwyciężamy.

- Nie chodzi mi o te ataki, ale o całość problemu, o jego przyczynę.

- Sam wyruszyłem czarną drogą i dotarłem daleko.

- I...?

- Nie zdołałem dojechać do końca. Wiesz, że w miarę oddalania się od Amberu cienie stają się coraz dziksze i dziwniejsze?

- Tak.

- ...Aż sam umysł zwraca się ku szeleństwu?

- Tak.

...A gdzieś poza tym wszystkim leżą Dworce Chaosu. Droga biegnie dalej, Corwinie. Jestem przekonany, że dociera aż do nich.

- Tego się właśnie obawiałem.

- Właśnie dlatego, czy cię popieram czy nie, nie zachęcałbym do działania w takich czasach. Bezpieczeństwo Amberu jest ważniejsze niż wszystko inne.

- Rozumiem. W takim razie dalsza dyskusja jest zbędna.

- A twoje plany?

- Ponieważ ich nie znasz, nie ma sensu cię informować, że się nie zmieniły. Ale się nie zmieniły.

- Nie wiem, czy życzyć ci powodzenia, ale życzę ci jak najlepiej. Cieszę się, że odzyskałeś wzrok - uściskał mi rękę. - Lepiej już pójdę po Benedykta. Jak rozumiem, nie jest zbyt poraniony?

- Nie przeze mnie. Uderzyłem go tylko parę razy. Nie zapomnij przekazać wiadomości.

- Nie zapomnę.

- I zabierz go z powrotem do Avalonu.

- Spróbuję.

- Żegnaj. Do zobaczenia, Gerardzie.

- Do widzenia, Corwinie.

Odwrócił się i odszedł drogą. Nie wróciłem do wozu, czekałem, aż zniknie mi z oczu. Potem dołożyłem jego Atut do pozostałych i podjąłem swą podróż do Antwerpii.

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 08

Stałem na szczycie wzgórza i patrzyłem na dom. Dookoła rosły jakieś krzaki, więc nie rzucałem się specjalnie w oczy.

Nie wiem doprawdy, co spodziewałem się zobaczyć. Wypaloną skorupę? Samochód na podjeździe? Rodzinę wypoczywającą w ogrodowych fotelach? Uzbrojonych strażników?

Zauważyłem, że na dachu przydałoby się kilka nowych dachówek, a trawnik już dawno powrócił do naturalnego stanu. Byłem zdziwiony, że widać tylko jedno wybite okno, na tyłach.

A więc to miejsce miało robić wrażenie opuszczonego, pomyślałem.

Rozłożyłem na ziemi kurtkę i usiadłem. Zapaliłem papierosa. Najbliższe domy dzieliła ode mnie spora odległość.

Dostałem za diamenty prawie siedemset tysięcy dolarów, a dobiecie targu zajęło niemal półtora tygodnia. Z Antwerpii przenieśliśmy się do Brukseli. Spędziliśmy kilka wieczorów w klubie przy Rue de Char et Pain, nim znalazł mnie człowiek, którego potrzebowałem.

Arthur był trochę zdziwiony zamówieniem. Niewysoki siwowłosy mężczyzna z niewielkim

wąsikiem, oksfordczyk i były oficer RAF-u, zaczął kręcić głową już po dwóch minutach rozmowy i stale mi przerywał pytaniami o sposób dostawy. Nie był co prawda sir Basilem Zaharoffem, ale naprawdę się przejmował, gdy życzenia klienta wydawały się zanadto zwariowane. Nie lubił, by coś się waliło zaraz po odbiorze. Sądził chyba, że w jakiś sposób rzutuje to na jego opinię. Z tego też powodu bardziej niż inni pomagał przy ekspedycji towaru. Przejął się moimi planami dotyczącymi transportu, ponieważ - jak mu się zdawało - nie miałem żadnych.

Przy tego typu transakcjach zwykle jest potrzebne świadectwo końcowego użytkownika. W zasadzie jest to dokument stwierdzający, że państwo X zamówiło broń, o którą chodzi. Konieczny jest dla uzyskania zezwolenia na wywóz z kraju producenta, który dzięki temu może czuć się ucziwy, nawet jeśli dostawa zaraz po przekroczeniu granicy zostaje skierowana do kraju Y. Aby uzyskać takie świadectwo, zazwyczaj kupuje się pomoc jakiegoś urzędnika ambasady państwa X, najlepiej posiadającego krewnych lub przyjaciół powiązanych z jego ojczystym ministerstwem obrony. Nie jest to tanie i nie wątpię, że Arthur miał w głowie pełną listę aktualnie obowiązujących cen.

- Ale jak chce je pan przewieźć? - pytał bez przerwy. - Jak je pan przetrzuci tam, gdzie mają trafić?

- To moja sprawa - odpowiedziałem. - Pozwól, że sam będę się oto martwił.

On jednak ciągle kręcił głową.

- Nie opłaca się ścinać zakrętów w ten sposób, pułkowniku - powiedział (byłem dla niego pułkownikiem od czasu naszego pierwszego spotkania kilkanaście lat temu; zresztą nie jestem pewien). - Zupełnie się nie opłaca. Próbuje pan zaoszczędzić parę dolarów, a może pan stracić cały ładunek i wpakować się w poważne kłopoty. Mógłbym to załatwić przez któreś z tych młodych państw afrykańskich, i tu za całkiem rozsądną...

- Nie. Po prostu załatw mi broń.

Podczas tej rozmowy Ganelon siedział przy nas popijając piwo, rudobrody i jak zawsze groźnie wyglądający, i przytakiwał każdemu mojemu słowu. Nie znał angielskiego, więc nie miał pojęcia, w jakim stadium znajdują się negocjacje, i zapewne niewiele go to obchodziło. Stosował się jednak do moich instrukcji i od czasu do czasu odzywał się do mnie w thari. Zamieniliśmy w tym języku kilka słów na tematy ogólne. Czysta perwersja. Biedny stary Arthur był niezłym lingwistą i bardzo chciał poznać przeznaczenie sprzętu. Widziałem, jak za każdym razem stara się zidentyfikować język, którym się posługujemy. W końcu zaczął kiwać głową, jakby mu się udało.

Po chwili dalszej rozmowy wyciągnął szyję i oznajmił: - Czytuję gazety. Jego grupę stać na zabezpieczenie towaru.

Było to dla mnie prawie warte przyjęcia propozycji.

- Nie - powiedziałem jednak. - Uwierz mi, gdy tylko je przejmę, te karabiny znikną z powierzchni Ziemi.

- To niezły numer - stwierdził - zwłaszcza że jeszcze nie wiadomo, gdzie będzie je pan odbierał.

- To bez znaczenia.

- Pewność siebie jest piękną rzeczą. Istnieje również głupota... - wzruszył ramionami. - Niech będzie, jak pan chce. To pańska sprawa.

Powiedziałem mu o amunicji i wtedy musiał nabrać pewności, że postradałem zmysły. Po prostu gapił się na mnie i nawet nie kręcił głową. Dobre dziesięć minut trwało namawianie go, by cbcociaz popatrzył na specyfikację. Wtedy dopiero zaczął potrząsać głową i mamrotać coś na temat srebrnych kul i niepalnych spłonek.

Ostateczny argument - forsa - przekonał go jednak, że załatwimy tę sprawę po mojemu. Nie będzie większych problemów z karabinami i ciężarówkami, stwierdził, ale przekonanie producenta,

aby wyprodukował moją amunicję, może sporo kosztować. Nie był nawet pewien, czy zdoła znaleźć takiego, który by się zgodził. Moje zapewnienie, że koszty nie grają roli, zdenerwowało go jeszcze bardziej. Jeżeli mogę sobie pozwolić na tę zwariowaną eksperymentalną amunicję, to świadectwo końcowego użytkownika będzie stosunkowo tanie...

Nie, powiedziałem mu. Po mojemu, przypominałem.

Westchnął i szarpał koniec wąsika. Potem pokiwał głową. Proszę bardzo, niech będzie, jak sobie życzę.

Zdarł ze mnie, oczywiście. Ponieważ wszystkie inne kwestie omawiałem rozsądnie, uznał, że jeżeli nie jestem chory umysłowo, to muszę mieć powiązania z jakimś bogatym frajerem. Na pewno intrygowały go odgałęzienia tej transakcji lecz najwyraźniej postanowił nie wtykać zbyt daleko nosa w takie podejrzane przedsięwzięcie. Gotów był wykorzystać każdą stworzoną przeze mnie sposobność, by wypłatać się z całej sprawy. Gdy tylko znalazł ludzi od amunicji - w Szwajcarii, jak się okazało - ochoczo skontaktował mnie z nimi i umył ręce od wszystkiego z wyjątkiem pieniędzy.

Na fałszywych papierach wyruszyliśmy więc z Ganelonem do Szwajcarii. On był Niemcem, a ja Portugalczykiem. Nie obchodziło mnie specjalnie, co stwierdzał mój paszport, byle był dobrze podrobiony, ale dla Ganelona zdecydowałem się na niemiecki. Jakiegoś języka musiał się nauczyć, a tam wszędzie było pełno niemieckich turystów. Uczył się zresztą bardzo szybko. Każdemu prawdziwemu Niemcowi i każdemu Szwajcarowi, który by o to pytał, kazałem mówić, że wychowywał się w Finlandii.

Siedzieliśmy w Szwajcarii trzy tygodnie, dopóki nie byłem w pełni zadowolony z mojej amunicji. Jak przypuszczałem, w tym cieniu proszek był obojętny. Opracowałem jednak jego formułę i tylko to się liczyło. Srebro oczywiście kosztowało sporo. Byłem może przesadnie ostrożny, są jednak w Amberze istoty, które najłatwiej zabić tym metalem. A zresztą, czyż może być lepszy pocisk - poza złotym - dla króla? Gdybym w końcu zastrzelił Eryka, nie byłoby żadnego lese-majeste. Darujcie mi, bracia.

Potem zostawiłem Ganelona, żeby sam się sobą zajął. Wprawił się do swej roli turysty w stylu godnym Stanisławskiego. Odwiozłem go do Włoch, z błędnym spojrzeniem i aparatem fotograficznym na szyi, po czym poleciałem z powrotem do Stanów.

Z powrotem? Tak. Opuszczony budynek na wzgórzu przez prawie dziesięć lat był moim domem. Tam właśnie jechałem, kiedy zepchnęło mnie z drogi i zdarzył się wypadek, będący początkiem wszystkich przyszłych zdarzeń.

Zaciągnąłem się papierosem i przyjrzałem się domkowi. Wtedy nie był opuszczony. Zawsze o niego dbałem. Spłaciłem go całkowicie. Sześć pokoi i garaż na dwa samochody w przybudowce. Jakieś siedem akrów - praktycznie całe wzgórze. Na ogół mieszkalem tu sam. Lubiłem to. Wiele czasu spędzałem w tych kątach, w moim warsztacie. Ciekawe, czy drzeworyt Moriego ciągle jeszcze wisi w gabinecie? Nazywał się "Twarzą w twarz" i przedstawiał dwóch wojowników w śmiertelnym starciu. Miło by było go odzyskać. Cóż, pewnie już go nie ma. Pewnie wszystko, czego nie ukradziono, zostało zlicytowane na zaległe podatki. Wyobrażałem sobie, że tak właśnie postąpiłyby władze stanu Nowy Jork. Byłem zaskoczony, że sam dom - przynajmniej tak się zdawało - pozostał nie zamieszany. Przyglądałem mu się, by mieć pewność. Do diabła, nie musiałem się spieszyć. Nigdzie się nie wybierałem. Z Gerardem skontaktowałem się wkrótce po przybyciu do Belgii. Wołałem przez pewien czas nie próbować rozmów z Benedyktem. Bałem się, że w ten czy inny sposób spróbuje mnie zaatakować.

Gerard przyglądał mi się uważnie. Był gdzieś w otwartym terenie, chyba sam.

- Corwin? - zapytał. - Tak...

- Zgadza się. Co z Benedyktem?

- Znalazłem go, tak jak mówiłeś, i uwolniłem. Chciał dalej cię ścigać, ale przekonałem go jakoś, że minęło już sporo czasu, odkąd się z tobą rozstałem. Mówiłeś, że zostawiłeś go nieprzytomnego, więc pomyślałem - że to najlepszy sposób. Zresztą jego koń był bardzo zmęczony. Wróciliśmy razem do Avalonu. Zostałem z nim do pogrzebów, potem pożyczyłem konia. Teraz wracam do Amberu.

- Pogrzebów? Jakich pogrzebów?

Znów to badawcze spojrzenie.

- Naprawdę nie wiesz?

- Do licha, gdybym wiedział, tobym nie pytał!

- Jego słudzy. Ktoś ich pomordował. On uważa, że to ty.

- Nie - powiedziałem. - Nie. To śmieszne. Po co miałbym zabijać jego służących? Nie rozumiem...

- Zaraz po swoim powrocie zaczął ich szukać, bo nie zjawili się, by go powitać. Znalazł trupy, a ty i twój towarzysz odjechaliście.

- Teraz widzę, jak to wyglądało - mruknąłem. Gdzie były ciała?

- Zakopane, ale niezbyt głęboko, w małym lasku za ogrodem na tyłach domu.

Więc tak... Lepiej nie wspominać, że wiedziałem o tym grobie.

- A jak on sądzi, dlaczego miałbym zrobić coś takiego?

- Jest zaintrygowany. Teraz nawet bardzo zaintrygowany. Nie mógł zrozumieć, dlaczego go nie zabiłeś, gdy miałeś taką możliwość. I dlaczego mnie wezwałeś, kiedy mogłeś po prostu go tam zostawić.

- Teraz rozumiem, dlaczego w czasie walki nazwał mnie mordercą, ale... Czy powtórzyłeś mu to, co ci powiedziałem... że nie zabiłem nikogo?

- Tak. Najpierw wzruszył tylko ramionami. Uznał to za normalną wymówkę. Powiedziałem mu, że moim zdaniem mówiłeś szczerze i sam byłeś zaskoczony. Sądzę, że trochę się przejął twoim naleganiem, bym mu to wszystko powtórzył. Parę razy pytał, czy ci uwierzyłem.

- A uwierzyłeś?

Spuścił wzrok.

- Do licha. Corwinie! W co powinienem wierzyć? Wszedłem w sam środek historii. I tak długo się nie widzieliśmy...

Spojrzał mi w oczy.

- Jest jeszcze coś - powiedział.

- O co chodzi?

- Dlaczego właśnie mnie wezwałeś na pomoc? Miałeś pełną talię, mogłeś przywołać kogokolwiek z nas.

- Chyba żartujesz - oświadczyłem.

- Nie. Chcę, żebyś mi odpowiedział.

- Proszę bardzo. Jesteś jedyny, któremu ufam.

- I to wszystko?

- Nie. Benedykt nie chce, by w Amberze znano miejsce jego pobytu. Ty i Julian jesteście jedyni, o których wiem na pewno, że je znają. Nie lubię Juliana i nie ufam mu. No więc wezwałem ciebie.

- Skąd wiedziałeś, że Julian i ja wiemy o Benedykcie?

- Pomógł wam, kiedy mieliście kłopoty na czarnej drodze. Zajmował się wami, dopóki nie wróciliście do zdrowia. Dara mi o tym powiedziała.

- Dara! A właściwie kim jest Dara?

- Sierota. córka małżeństwa, które kiedyś pracowało dla Benedykta - wyjaśniłem. - Była tam, kiedy przyjechaliście z Julianem.

- A ty posłałeś jej bransoletkę. Wspominałeś też o niej na drodze, kiedy mnie przywołałeś.

- Zgadza się. A o co chodzi!

- O nic, tylko naprawdę jej nie pamiętam. Powiedz, dlaczego wyjechałeś nagle? Musisz przyznać, wyglądało to tak, jakbyś był winien.

- Tak - zgodziłem się. - Byłem winien... ale nie morderstwa. Przybyłem do Avalonu, żeby coś znaleźć. Dostałem to i wyniosłem się. Widziałeś wóz i widziałeś ładunek. Wyjechałem, zanim wrócił Benedykt, żeby nie odpowiadać na jego pytania. Do diabła! Gdybym chciał po prostu uciec, nie ciągnąłbym za sobą tej fury! Pojechałbym konno, szybko i bez obciążenia.

- A co było w wozie?

- Nie pytaj - odparłem. - Nie chciałem tłumaczyć Benedyktowi i nie chcę mówić tobie. Och, przypuszczam, że on się dowie. Ale jeśli już musi tak być, to nie będę mu ułatwiał. Zresztą to nieistotne. Powinien wystarczyć fakt, że przyjechałem po coś i zdobyłem to. Rzecz nie ma tam szczególnej wartości, ale nabiera jej w innym miejscu. Wystarczy?

- Tak - przyznał. - To ma jakiś sens.

- W takim razie powiedz mi jedno: czy myślisz, że to ja ich zabiłem?

- Nie - odparł. - Wierzę ci.

- A co z Benedyktem? Co on sądzi?

- Porozmawia, zanim znów cię zaatakuje. Nie jest już całkiem pewny. Tyle wiem.

- Dobrze. To już jest coś. Dzięki, Gerardzie. Odchodzę.

Poruszyłem się, by przerwać kontakt.

- Chwileczkę, Corwinie! Zaczekaj!

- O co chodzi?

- Jak przejechałeś czarną drogę? Zniszczyłeś ją na odcinku, gdzie ją przekraczaliście. Jak to zrobiłeś?

- To Wzorzec - wyjaśniłem. - Jeśli będziesz kiedyś miał problemy z czarną drogą, zaatakuj Wzorcem. Wiesz, że czasem trzeba go sobie wyobrazić, kiedy Cień przestaje cię słuchać i wszystko wariuje?

- Tak. Próbowałem, ale to nic nie dało. Tylko głowa mnie rozboleła. Ta droga nie należy do Cienia.

- I tak, i nie - stwierdziłem. - Wiem, czym ona jest. Nie próbowałeś dostatecznie mocno. Ja atakowałem Wzorcem tak, że głowa mało mi się nie rozpadła na kawałki, prawie przestałem widzieć z bólu i zaraz, miałem zemdleć. I wtedy droga rozpadła się przede mną. Nie było to przyjemne, ale odniosło skutek.

- Będę pamiętał - zapewnił. - Czy masz zamiar porozmawiać teraz z Benedyktem?

- Nie - odparłem. - On wie już wszystko. Kiedy się uspokoi, zacznie zestawiać z sobą fakty. A nie chcę ryzykować jeszcze jednej walki. Teraz, kiedy przerwę, będę milczał przez dłuższy czas i będę się opierał wszelkim próbom skontaktowania ze mną.

- A co z Amberem, Corwinie? Co z Amberem?

Spuściłem wzrok.

- Nie wchodź mi w drogę, kiedy wrócę. Gerardzie. Wierz mi, to nie będzie równa walka.

- Corwinie... Czeka. Chcę cię prosić, byś jeszcze raz to rozważył. Nie uderzaj teraz na Amber. Jest skrajnie osłabiony.

- Przykro mi, Gerardzie, lecz jestem przekonany, że przez ostatnie pięć lat myślałem o tej sprawie

więcej niż wszyscy pozostali razem wzięci.

- W takim razie mnie także jest przykro.
- Chyba będzie lepiej, jak już sobie pójdę.

Kiwnął głową.

- Do widzenia, Corwinie.
- Do widzenia, Gerardzie.

Odczekałem kilka godzin - aż słońce skryło się za wzgórzem, zanurzając dom w przedwczesnym półmroku. Zgasiłem papierosa, wstałem, strzepnąłem i założyłem kurtkę. W domu nie działo się nic. Za brudnymi szybami okien nie dostrzegłem żadnego ruchu. Powoli zacząłem schodzić w dół.

Mieszkanie Flory w Westchester zostało sprzedane kilka lat temu. Nie zaskoczyło mnie to, sprawdziłem z ciekawości, skoro już znalazłem się w mieście. Raz nawet przejechałem pod jej niegdyś oknami. Nie było powodów, by nadal pozostawała na Cieniu-Ziemi. Wieloletnia warta Flory dobiegła szczęśliwego końca. Otrzymała nagrodę w Amberze. Być tak blisko niej przez tyle lat i nawet nie wiedzieć o jej obecności - to było trochę irytujące.

Zastanawiałem się, czy nie spróbować kontaktu z Randomem, ale postanowiłem tego nie robić. Zyskałbym najwyżej kilka informacji na temat aktualnej sytuacji w Amberze. Owszem, chętnie bym się czegoś dowiedział, ale nie było to konieczne. Byłem mniej więcej pewien, że mogę mu ufać. W końcu wiele wtedy dla mnie zrobił. Nie z czystego altruizmu, to prawda... ale posunął się dalej, niż musiał. Minęło jednak pięć lat i wiele się w tym czasie wydarzyło. Znow był tolerowany w Amberze. No i miał teraz żonę. Może chętnie wzmocniłby swoją pozycję?... Nie wiedziałem tego, zważywszy jednak na możliwe zyski i straty uznałem, że lepiej zrobię, jeśli zaczekam i pomówię z nim, osobiście, kiedy następnym razem będę w mieście.

Dotrzymałem danego Gerardowi słowa i opierałem się wszelkim próbom kontaktu. Zdarzały się prawie codziennie w czasie moich pierwszych dwóch tygodni na Cieniu - Ziemi. Minęło jednak jeszcze trochę czasu i zostawili mnie w spokoju. Po cóż miałbym dawać komuś swobodny wgląd w moją myślącą maszynę? Nie, nie, bracia. Dziękuję.

Dotarłem na tyły domu, znalazłem okno i wytarłem je rękawem. Obserwowałem to miejsce od dwóch dni i wydawało się wysoce nieprawdopodobne, że ktokolwiek był w środku. Jednak...

Zajrzałem.

Był tam, oczywiście, straszny bałagan i brakowało wielu moich rzeczy. Ale trochę zostało. Skręciłem w prawo i podszedłem do Drzwi. Były zamknięte. Zachichotałem.

Obszedłem patio. Dziewiąta cegła od rogu, czwarta od dołu. Klucz ciągle był. Wytarłem go o kurtkę i wróciłem do drzwi. Otworzyłem.

Wszędzie zalegała równa powłoka kurzu, naruszona w kilku miejscach. Tu i tam teżały kubki po kawie, opakowania po kanapkach, a w kominku zeschnięty na kamień hamburger. Sporo deszczówki wlało się do środka przewodem kominowym. Podszedłem i zamknąłem szyber.

Frontowe drzwi miały wyłamany zamek. Sprawdziłem - były zabite gwoździami. Ktoś wydrapał sprośny rysunek na ścianie hallu. Poszedłem do kuchni. Tutaj bałagan był totalny. Wszystko, co pozostało po splądrowaniu domu, leżało na podłodze. Po kuchence i lodowce pozostały jedynie rysy w miejscach, gdzie przepychano je do drzwi.

Potem obejrzałem warsztat. Był całkowicie ogołocony.

Mijając sypialnię ze zdziwieniem zauważyłem swoje łóżko, wciąż nie pościelone, i dwa kosztowne fotele, jeszcze całe. Gabinet sprawił mi przyjemną niespodziankę, śmieci i odpadki pokrywały wprawdzie blat wielkiego biurka, ale w końcu zawsze tak było. Usiadłem i zapaliłem papierosa. No cóż, pewnie było zbyt duże i ciężkie, żeby je wynieść. Książki w komplecie stały na

półkach. Nikt nie kradnie książek oprócz przyjaciół. A tam..

Nie mogłem uwierzyć. Wstałem i podszedłem do ściany, by przyrzeć się z bliska.

Przepiękny drzeworyt Yoshitoshi Moriego wisiał tam, gdzie zawsze, czysty, wyraźny, elegancki, pełen gwałtowności. Pomyśleć, że nikt nie wyniósł mego najcenniejszego nabytku...

Czysty?

Przyjrzałem się dokładnie. Przejechałem palcem po obrzeżu.

Za czysty. Nie było na nim nawet śladu kurzu i brudu, pokrywających wszystko inne w tym domu. Sprawdziłem, czy nie ma pod nim jakichś przewodów, nie znalazłem żadnych i zdjąłem go. Nie, ściana pod nim nie była jaśniejsza. Była dokładnie taka sama jak reszta.

Odłożyłem dzieło Moriego na parapet i wróciłem za biurko. Byłem zdziwiony; niewątpliwie ktoś chciał, żebym się zdziwił. Ktoś najwyraźniej zabrał drzeworyt i zajął się nim - za co byłem mu wdzięczny - a potem zwrócił. I to całkiem niedawno. Jak gdyby spodziewał się mego powrotu.

Powinno to być wystarczającym powodem do natychmiastowej ucieczki. Nonsens! Jeżeli to pułapka, to już się zatrzasnęła. Wyjąłem z kieszeni kurtki rewolwer i wepchnąłem go za pasek. Ja sam nie wiedziałem, że tu wrócę. Zdecydowałem się, bo miałem trochę wolnego czasu. Nie byłem nawet pewien, dlaczego właśnie chciałem znowu zobaczyć to miejsce.

Rzecz była zatem zaplanowana na wszelki wypadek. Gdybym tak trafił znowu na stare śmieci, to może po to, by zabrać jedyną rzecz warta zabrania. Trzeba więc ją zachować i wystawić tak, bym zwrócił na to uwagę.

No dobra, zwróciłem. Nikt mniejszce nie napadł, więc chyba nie chodziło o zasadzkę. A o cóż?

Wiadomość. To była jakaś wiadomość.

Jaka? Gdzie? I od kogo?

Najbezpieczniejszym miejscem w tym domu powinien być sejf. O ile nikt go jeszcze nie obrobił. Otworzenie go nie przekraczało możliwości mojego rodzeństwa. Podszedłem do ściany, odsunąłem pokrywę, ustawiłem właściwą kombinację i otworzyłem drzwiczki starą laską.

Nic nie wybuchło. To dobrze. Zresztą nie oczekiwałem wybuchu.

W środku nie było nic wartościowego - paręset dolarów gotówką, jakieś umowy, rachunki, listy...

I koperta. Czysta, biała koperta leżąca na samym wierzchu. Nie pamiętałem jej.

Eleganckim charakterem wypisano na niej moje imię.

I to nie długopisem.

Zawierała list i kartę.

Bracie mój, Corwinie, było tam napisane, jeżeli czytasz ten list. to znaczy, że wciąż myślimy na tyle podobnie, bym w pewnej mierze potrafił przewidzieć twoje postępowanie.

Dziękuję Ci za wypożyczenie drzeworytu - według mnie jednej z dwóch możliwych przyczyn twojego powrotu do tego nędznego Cienia. Niechętnie go zwracam, gdyż gusty także mamy podobne i od kilku lat zdobił on moją komnatę. Jego tematyka poruszała we mnie jakąś znajomą strunę. Zwrot tego dzieła niech będzie dowodem mej dobrej woli i prośbą o uwagę. Jeśli chcę przekonać Cię o czymkolwiek, muszę być z Tobą szczery; nie będę więc prosił o wybaczenie tego, co zaszło między nami. Prawdę mówiąc żałuję tylko jednego - że nie zabiłem Cię, gdy miałem ku temu okazję. To własna próżność wystrychnęła mnie na dudka. Co prawda czas zdołał przywrócić Ci wzrok, wątpię jednak, czy kiedykolwiek odmieni nasze wobec siebie uczucia. Twój list - "Wrócę" - leży teraz na moim biurku. Gdybym to ja go napisał, to wróciłbym z całą pewnością, nie bez zrozumienia oczekuję

więc Twego przybycia. A wiedząc, że nie jesteś głupcem, spodziewam się, że nie zjawisz się samotny. W tym miejscu dzisiejsza duma zapłacić musi za dawną próżność. Chcę Zawrzeć pokój, Corwinie, dla dobra kraju, nie dla mnie. Potężne siły regularnie wynurzają się z Cienia, by atakować Amber. Nie w pełni pojmuję ich naturę. Przeciwno tym siłom - najgroźniejszym ze wszystkich, jakie za mojej pamięci naruszały spokój Amberu - cała rodzina zjednoczyła się pod moim dowództwem. Chciałbym otrzymać Twą pomoc w tej walce. Gdybyś odmówił, to proszę, zaniechaj na pewien czas inwazji. Jeśli zaś zechcesz pomóc, nie będę wymagał żadnego hołdu. Wystarczy, że na czas kryzysu uznasz mnie za przywódcę.

Możesz oczekiwać swych normalnych przywilejów. Ważne jest, byś skomaktował się ze mną i na własne oczy przekonał o prawdziwości mych słów. Nie udało mi się osiągnąć Ciebie poprzez Twój Atut, załączam więc własny do Twego użytku. Myśl, że mogę kłamać, nasuwa Ci się zapewne, daję jednak słowo, że tak nie jest. - Eryk lord Amberu.

Przeczytałem list jeszcze raz i roześmiałem się. Cóż on myślał do czego służyć klątwy?

Nic z tego, drogi bracie. To miło z twojej strony, że w potrzebie pomyślałeś o mnie - i wierzę ci, oczywiście, przecież wszyscy jesteśmy ludźmi honoru - ale nasze spotkanie nastąpi wtedy, kiedy ja je zaplanuję, nie ty. Co do Amberu, to, naturalnie, martwi mnie jego sytuacja i zajmę się nią - w swoim czasie i na swój sposób.

Popełniasz błąd, Eryku, uważając się za kogoś niezbędnego. Cmentarze są pełne ludzi niezastąpionych. Poczekam jednak, by ci to powiedzieć osobiście.

Wepchnąłem list i Atut do kieszeni kurtki. Zgniotłem papierosa w brudnej popielniczce na biurku. Potem wzięłem z sypialni jakąś powłoczkę i owinąłem w nią moich wojowników. Tym razem zaczekają na mnie w bezpiecznym miejscu.

Raz jeszcze obszedłem cały dom. Zastanawiałem się, po co właściwie wróciłem. Myślałem o ludziach, których znałem, gdy mieszkałem tutaj, i o tym, czy wspominają mnie czasem, czy martwili się, gdy zniknąłem. Nigdy się tego nie dowiem.

Nadeszła noc. Niebo było czyste i pierwsze gwiazdy świeciły jasno, kiedy wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Klucz schowałem na miejsce, za cegłę przy patio.

Potem ruszyłem w górę.

Na szczycie obejrzałem się. Dom zmalął jakby w ciemności, stał się częścią pustki, niby rzucona na pobocze puszka po piwie. Zacząłem schodzić do miejsca, gdzie zaparkowałam wóz, żałując, że spojrziałem za siebie.

Zelazny Roger - Karabiny Avalonu - Rozdział 09

Opuściliśmy z Ganelonem Szwajcarię w dwóch ciężarówkach, którymi przyjechaliśmy z Belgii. W mojej były karabiny: licząc po pięć kilogramów na sztukę, trzysta dawało jakieś półtorej tony - całkiem nieźle.

Po załadowaniu amunicji zostało jeszcze mnóstwo miejsca na paliwo i zapasy. Oczywiście skorzystaliśmy ze skrótu przez Cień, by uniknąć ludzi, którzy czekają na granicach i tamują ruch.

Wyjechaliśmy w ten sam sposób. Ja prowadziłem, by - że tak powiem - otwierać drogę.

Prowadziłem nas przez krainę mrocznych wzgórz i rozciągniętych wzdłuż drogi wiosek, gdzie mijaliśmy jedynie konne wozy. Kiedy niebo stało się jaskrawocytrynowe, zwierzęta pociągowe zrobiły się pasiaste i upierzone.

Jechaliśmy długie godziny. Spotkaliśmy w końcu czarną drogę, przez jakiś czas ciągnęliśmy równolegle do niej, by potem skręcić w inną stronę. Niebo nie zmieniało się przez kilka przeskoków, a teren stapał się i przekształcał, od gór do równin i z powrotem. Pełzliśmy wolno po fatalnych drogach i ślizgaliśmy się po nawierzchniach twardych i gładkich jak szkło. Wspinaliśmy się na górskie zbocza i pędziliśmy brzegiem ciemnego jak wino morza. Przebijaliśmy się przez burze i mgły. Pół dnia trwało, zanim znów ich znalazłem - ich cień na tyle podobny, by nie robiło tu różnicy. Tak, tych samych, których już kiedyś wykorzystałem. Byli niscy, mocno owłosieni, mieli bardzo ciemną skórę, długie siekacze i wysuwane szpony, ale także palce do naciskania spustów. I czcili mnie. Byli zachwyceni moim powrotem.

Nie miało znaczenia, że pięć lat temu poprowadziłem na śmierć w obcym kraju ich najlepszych mężczyzn. Nie kwestionuje się boskich działań - bogów się wielbi. Byli rozczarowani, że potrzebują tylko kilkuset najemników. Tysiące ochotników musiałem odprawić z niczym. Nie przejmowałem się specjalnie moralną stroną mego postępowania. Można było spojrzeć na nie choćby tak, że zatrudniając owych kilkuset dbałem, by tamci nie umierali daremnie. Oczywiście, ja nie rozumowałem w ten sposób. Po prostu lubię czasem tego typu sofistykę stosowaną. Przypuszczam, że mogłem także uznać ich za najemników opłacanych duchową monetą. Co za różnica, czy walczyli za pieniądze czy za wiarę? Kiedy potrzebowałem żołnierzy, mogłem zdobyć i jedno, i drugie.

Zresztą ci akurat byli bezpieczni jako jedyni w okolicy dysponujący bronią palną. Co prawda w ich ojczyźnie moja amunicja była ciągle bezużyteczna i kilka dni musieliśmy maszerować przez Cień, nim znaleźliśmy kraj na tyle podobny do Amberu, by zaczęła działać. Problem polegał na tym, że Cienie podlegają prawu przylegania podobieństw, więc to miejsce leżało naprawdę blisko Amberu. Niepokoiłem się tym przez cały czas ćwiczeń.

Było wprawdzie mało prawdopodobne, by zabłąkał się tutaj któryś z moich braci, ale zdarzały się już gorsze przypadki.

Ćwiczyliśmy prawie trzy tygodnie, zanim uznałem, że jesteśmy gotowi. Wtedy, o pięknym, świeżym poranku, zwinęliśmy obóz i ruszyliśmy w Cień - kolumny żołnierzy za ciężarówkami. Kiedy zbliżyliśmy się do Amberu, ich silniki zgasną - już teraz sprawiają kłopoty - ale na razie można je wykorzystać do przetrzucenia sprzętu tak daleko, jak tylko się da. Tym razem postanowiłem osiągnąć szczyt Kolviru od północy, zamiast znowu szturmować ścianę zwróconą ku morzu. Ludzie zapoznali się z ukształtowaniem terenu, wyznaczyłem też i przeciwiczyłem rozlokowanie oddziałów.

Zatrzymaliśmy się koło południa, podjedliśmy nieźle i ruszyliśmy dalej, a cienie prześlizgiwały się wokół nas. Niebo nabrało ciemnej, lecz intensywnie niebieskiej barwy - to było niebo Amberu. Ziemia między skałami była czarna, a trawa jasnozielona. Liście drzew i krzewów lśniły wilgocią, czyste powietrze pachniało słodko.

Przed wieczorem weszliśmy między potężne drzewa na skraju Ardeny. Wystawiliśmy silne warty i rozbiliśmy obóz. Ganelon, ubrany teraz w mundur koloru khaki i beret, długo w noc siedział ze mną nad mapami, które kreśliłem. Od gór dzieliło nas jeszcze czterdzieści mil.

Ciężarówki odmówiły posłuszeństwa następnego popołudnia. Przeszły przez ciąg przekształceń, gasły co chwila, aż wreszcie silniki nie chciały więcej zapalić.

Zepchnęliśmy je do wąwozu, maskując naciętymi gałęziami. Amunicję i resztę zapasów rozdzieliliśmy między ludzi i szliśmy dalej. Zeszliśmy tylko z drogi i maszerowaliśmy przez las.

Dobrze go znałem, więc nie było to trudne. Tempo oczywiście zmalało, lecz wraz z nim także szanse na spotkanie któregoś z patroli Juliana. Drzewa były wysokie, gdyż wkroczyliśmy już do właściwego Lasu Ardeńskiego; szybko przypominałem sobie szczegóły topografii.

Tego dnia nie napotkaliśmy żadnych istot groźniejszych od lisów, saren, królików i wiewiórek. Zapach tych miejsc, ich zieleń, brąz i złoto ożywiały w pamięci wspomnienia szczęśliwych dni. Pod wieczór wspiałem się na leśnego olbrzyma i zdołałem dostrzec na horyzoncie łańcuch górski, gdzie wznosił się Kolvir. Nad szczytami szalała burza i chmury skrywały wyższe partie.

Następnego dnia w południe wpadliśmy na jeden z patroli Juliana. Naprawdę nie wiem, kto kogo zaskoczył i kto był bardziej zaskoczony. Strzelanina wybuchła niemal natychmiast. Do zachrypnięcia musiałem krzyczeć, by przerwano ogień, gdyż zdawało się, że wszyscy marzą wyłącznie o wypróbowaniu broni na żywych celach. Patrol nie był zbyt liczny - półtora tuzina ludzi - i wybiliśmy wszystkich. My mieliśmy tylko jednego lekko rannego: jeden z naszych postrzelił drugiego, czy też ten drugi sam się postrzelił - nie udało mi się tego wyjaśnić. Oddaliliśmy się pospiesznie, ponieważ narobiliśmy sporo hałasu, a nie byłem pewien, czy w okolicy nie ma innych oddziałów.

Do wieczora przebyliśmy sporą odległość i znaleźliśmy się dość wysoko. Gdy nic nie przeskaniało pola widzenia, mogliśmy zobaczyć góry; wokół szczytów wciąż kłębiły się chmury burzowe. Podnieceni potyczką żołnierze zasypiali z trudem.

Następnego dnia dotarliśmy do podnóża gór, unikając po drodze spotkania z dwoma patrolami jeszcze po zmroku szliśmy naprzód i w górę, by osiągnąć zaplanowany punkt. Zatrzymaliśmy się o jakiś kilometr wyżej niż poprzedniej nocy. Chmury zakrywały niebo; nie padało, choć w powietrzu czuło się napięcie, jakie zwykle zapowiada burzy. Tej nocy nie spałem dobrze.

Śniłem o płonącej kociej głowie i o Lorraine.

Wyruszyliśmy rankiem. Niebo było szare, a ja bezlitośnie poganiałem ludzi - ciągle pod górę. Słyszeliśmy dalekie grzmoty; atmosfera była naładowana elektrycznością.

Tuż przed południem, gdy prowadziłem oddział krętym szlakiem między skałami, usłyszałem z tyłu krzyk, a potem kilka strzałów. Pobiegiem tam natychmiast.

Kilku ludzi, wśród nich Ganelon, przyglądało się czemuś leżącemu na ziemi. Rozmawiali cicho. Przepchnąłem się między nimi.

Trudno było uwierzyć. Nigdy za mej pamięci nie widziano żadnej z nich tak blisko Amberu. Cztery metry długości, ohydna parodia ludzkiej twarzy na lwich barkach, orle skrzydła złożone na pokrwawionych teraz bokach, drgający jeszcze ogon jak u skorpiona. Na wyspach daleko na południu widziałem już raz manticorę, przerażającą bestię, zawsze mieszczącą się w czołówce mojej czarnej listy.

- Rozerwał Ralla na pół... rozerwał Ralla na pół - bełkotał jeden z ludzi.

Dwadzieścia kroków dalej zobaczyłem to, co zostało z Ralla. Przykryliśmy go brezentem i przycisnęliśmy kamieniami; to naprawdę wszystko, co można było zrobić. Ale całe zajście na nowo rozbudziło czujność uspioną poprzednim łatwym zwycięstwem. Ostrożnie i w ciszy ruszyliśmy w dalszą drogę.

- Niezły potwór - mruknął Ganelon. - Czy jest tak inteligentny jak człowiek?

- Naprawdę nie wiem.

- Mam jakieś dziwne, denerwujące przecucie, Corwinie. Jakby miało się stać coś strasznego.

Nie wiem, jak inaczej to wyrazić.

- Wiem, o co ci chodzi.

- Ty też to czujesz?

- Tak.

Pokiwał głową.

- Może to ta pogoda - powiedziałem.

Kiwnął głową jeszcze raz, wolniej.

Wchodziliśmy wciąż wyżej, a nico ciemniało i grzmoty nie cichły nawet na chwilę. Na zachodzie błyskało, a wiatr dmuchał coraz mocniej. Ogromne masy chmur kłębiły się nad szczytami, a wokół krążyły czarne ptasie kształty.

Spotkaliśmy jeszcze jedną manticorę, ale załatwiliśmy ją szybko i bez strat. A jakąś godzinę później zaatakowało nas stado wielkich ptaków o ostrych jak brzytwa dziobach. Przepędziliśmy je, lecz byłem coraz bardziej niespokojny. Wspinaliśmy się w górę, w każdej chwili oczekując wybuchu burzy. Prędkość wiatru wzrosła.

Było ciemno, choć wiedziałem, że słońce jeszcze nie zaszło. Pojawiła się mgła - zbliżaliśmy się do chmur.

Skały były śliskie, a wilgoć przenikała na wskroś. Chętnie ogłosiłbym postój, ale do Kolviru było jeszcze daleko, a wolałem uniknąć problemów z żywnością, której ilość była dokładnie wyliczona.

Przeszliśmy jeszcze pięć kilometrów i kilkaset metrów w górę, zanim musieliśmy się zatrzymać. Zapadła całkowita ciemność i tylko błyskawica dawały trochę światła. Szerokim kręgiem rozłożyliśmy się na nagim skalnym zboczu, wystawiając warty ze wszystkich stron. Grzmoty huczały niby werble, a temperatura spadała. Gdybym nawet zezwolił na ogniska, to i tak nie było nic, co można by spalić. Przygotowaliśmy się na zimną, ciemną i wilgotną noc.

Manticory zaatakowały kilka godzin później, nagle i cicho. Zginęło siedmiu ludzi, zabiliśmy szesnaście bestii.

Nie mam pojęcia, ilu udało się uciec. Opatrując swe rany przeklinałem Eryka i zastanawiałem się, z jakiego cienia ściągnął te potwory. Podczas tego, co nastąpiło zamiast poranka, przeszliśmy jakieś osiem kilometrów w stronę Kolviru, po czym odbiliśmy na zachód. Była to jedna z trzech możliwych tras i zawsze uważałem ją za najlepszą do przeprowadzenia ataku. Ptaki nękały nas nadal.

Nadlatywały w większej liczbie i były bardziej uparte.

Wystarczyło jednak zastrzelić kilka, by przepłoszyć całe stado.

Okrążyliśmy wielkie urwisko. Nasza droga wiodła dalej, w górę, poprzez gromy i mgłę, aż nagle roztoczyła się przed nami panorama dziesiątków kilometrów Doliny Garnath, którą mijaliśmy po prawej.

Zarządziłem postój i poszedłem się rozejrzeć. Kiedy ostatnio widziałem tę piękną niegdyś dolinę, była dzikim pustkowiem. Teraz wyglądała jeszcze gorzej.

Czarna droga przecinała ją, dobiegała do samych stóp Kolviru i tam się kończyła. W dolinie wrzała bitwa. Kawaleria nacierała i odskakiwała. Szeregi pieszych żołnierzy szły naprzód, ścierały się i wycofywały. Błyskawice biły bez przerwy, a czarne ptaki krążyły wśród nich jak zwęglone strzępy na wietrze.

Niby lodowaty dywan zalegała wszędzie wilgoć. Grzmoty odbijały się echem od szczytów, a ja oszołomiony patrzyłem na toczącą się w dole bitwę.

Odległość była zbyt wielka, bym mógł rozpoznać walczących. Z początku zdawało mi się, że ktoś próbuje dokonać tego, co ja zaplanowałem, że może Bleys przeżył i powrócił z nową armią.

Lecz nie, Ci przybywali z zachodu, czarną drogą. Teraz widziałem wyraźnie, że to z nimi były ptaki, a także skaczące bestie - ani ludzie, ani konie. Być może manticory.

Szli, a błyskawice uderzały w nich, rozpraszając, paląc, zabijając... Za uważyłem, że nigdy nie trafiały w obrońców, i pomyślałem, że Eryk uzyskał pewną kontrolę nad urządzeniem znanym jako

Klejnot Wszechmocy, którym tato zmuszał do posłuszeństwa pogodę nad Amberem. Pięć lat temu Eryk z niezłym rezultatem użył go przeciwko nam.

A więc siły z Cienia, o których słyszałem tak wiele, były potężniejsze niż sądziłem. Wyobrazałem sobie jakieś drobne starcia, ale nie zażartą bitwę u stóp Kolviru. Spojrzałem w dół próbując dostrzec jakieś poruszenia wśród czerni. Droga roiła się niemal od ciągnących wojsk.

Ganelon zbliżył się i stanął obok mnie. Nie odzywał się. Nie chciałem, by mnie pytał, ale nie potrafiłbym tego powiedzieć inaczej niż odpowiadając.

- Co teraz, Corwinie?

- Musimy przyspieszyć marsz - powiedziałem.

Chcę być w Amberze dziś wieczorem. Ruszyliśmy. Przez jakiś czas drogi była łatwiejsza. To pomagało. Burza bez deszczu trwała nadal, błyskawice i gromy były coraz bardziej jaskrawe, coraz głośniejsze.

Szliśmy w półmroku.

Gdy osiągnęliśmy miejsce, które wydawało się bezpieczne - mniej niż pięć kilometrów od granic Amberu - kazałem się zatrzymać na odpoczynek i ostatni posiłek. Musieliśmy krzyczeć, by się usłyszeć, więc nie mogłem przemówić do ludzi. Przekazałem tylko, że jesteśmy już blisko i żeby byli gotowi.

Oni wypoczywali, a ja wziąłem swoją rację i poszedłem na zwiady. Przeszedłem może milę, wspiąłem się na stromy stok i zatrzymałem na grani. Na zboczu naprzeciw mnie trwała bitwa.

Przeglądałem się z ukrycia. Siły Amberu potykały się z dużym oddziałem napastników, którzy przeszli tędy przed nami albo trafili innym sposobem. Podejrzewałem to drugie, gdyż nie zauważyliśmy śladów niedawnego przemarszu. To starcie tłumaczyło też, dlaczego sprzyjało nam szczęście i nie spotkaliśmy po drodze żadnych patroli.

Przysunąłem się bliżej. Atakujący mogli wprawdzie posłużyć się jedną z dwóch pozostałych tras, lecz coraz więcej przemawiało przeciw temu. Wciąż się pojawiali, a widok robił tym groźniejsze wrażenie, że przybywali drogą powietrzną, od zachodu, jak chmury niesionych wiatrem liści.

Siły powietrzne, które obserwowałem z daleka, składały się nie tylko z wojowniczych ptaków. Napastnicy przybywali na skrzydłach dwunożnych, podobnych do smoków, stworów, których najbliższym znanym mi odpowiednikiem byłaby heraldyczna bestia - wyvern.

Nigdy dotąd nie widziałem żywego wyverna, ale też nigdy nie czułem specjalnej chęci, by go szukać.

Między obrońcami było sporo łuczników, który zbierali krwawe żniwo wśród wrogów w powietrzu. Wybuchały między nimi wiry piekielnego ognia, gdy pioruny, błyskając i paląc, strącały ich, spopielenych, na ziemię.

Wciąż jednak pojawiali się nowi i lądowali, by i bestie, i jeźdźcy mogli włączyć się do walki. Rozejrzałem się i dostrzegłem w centrum największej grupy obrońców, okopanej u stóp urwiska, pulsujący blask działającego Klejnotu Wszechmocy.

Przeglądałem się i obserwowałem koncentrując uwagę na tym, który nosił Klejnot. Tak, nie mogło być wątpliwości. To był Eryk.

Położyłem się na brzuchu i przeczłogałem jeszcze dalej.

Przywódca najbliższego oddziału obrońców jednym cięciem miecza odciął głowę lądującemu wyvernowi, potem chwycił lewą ręką jeźdźca i cisnął nim na dziesięć metrów, poza krawędź przepaści. Gdy się odwrócił, by rzucić jakiś rozkaz, poznałem Gerarda. Jak się zdawało, prowadził ze skrzydła uderzenie na napastników atakujących grupę pod urwiskiem. Po przeciwnej stronie podobny oddział żołnierzy przeprowadzał analogiczny manewr. Jeszcze jeden z moich braci?

Zastanawiałem się, jak długo już trwała bitwa, ta w dolinie i ta tutaj, na górze. Chyba dość długo, jeżeli sędzić po czasie trwania tej niezwyklej burzy. Przesunąłem się w prawo i spojrzałem w stronę zachodu. Walka w dolinie wrzała nadal z nie słabnącą siłą.

Z daleka nie sposób było rozpoznać, kto jest kim, a tym mniej, kto zwycięża. Widziałem jednak, że nie przybywają już nowe siły, by wspomagać atakujących.

Nie wiedziałem, co powinienem robić. Nie mogłem przecież zaatakować Eryka, zaangażowanego teraz w akcję o kluczowym znaczeniu dla obrony samego Amberu. Poczekać, a potem pozbierać to, co zostanie - wydawało się najrozsądniejszym wyjściem. Już jednak czułem, jak wgryzają się w tę ideę zęby wątpliwości. Nawet bez posiłków dla atakujących rezultat bitwy wcale nie był pewny. Najeźdźcy byli liczni i silni, a nie miałem pojęcia, co może mieć w odwodzie Eryk. W tej chwili trudno było przewidzieć, czy warto stawiać na Amber.

Jeżeli Eryk przegra, sam będę musiał zająć się napastnikami, i to po zmarnowaniu znacznej części rezerw siły ludzkiej miasta.

Gdybyśmy teraz bez zwłoki włączyli aię do bitwy z bronią automatyczną, to nie miałem wątpliwości, że szybko zmieciemy jeźdźców na wyvernach. W dolinie musi być przynajmniej jeden z moich braci, więc można by ustawić przejście przez Atuty dla części naszych żołnierzy. Strzelcy byłiby z pewnością przykrą niespodzianką dla czegokolwiek, co było tam na dole.

Powróciłem do obserwacji rozgrywającego się bliżej mnie starcia. Nie, nie działo się tam za dobrze. Zastanawiałem się, jakie będą rezultaty mojej interwencji. Na pewno Eryk znajdzie się w takim położeniu, że nie będzie mógł zwrócić się przeciwko mnie.

Oprócz współczucia zyskanego tym, co na jego rozkaz przeszedłem, zdobędę też podziw wyciągając z ognia jego kasztany. A on, wdzięczny za okazaną pomoc, na pewno nie będzie zachwycony ogólną sympatią dla mnie. Znowu znajdę się w Amberze, tym razem w otoczeniu śmiertelnie groźnej ochrony osobistej i popierających mnie tłumów.

Interesująca myśl. Tak, to powinno mi zapewnić gładszą drogę do tronu niż planowany frontalny atak zakończony królobójstwem.

Tak.

Uśmiechnąłem się. Miałem zostać bohaterem.

Muszę jednak przyznać się do odrobiny przyzwoitości. Gdyby mój wybór ograniczony był jedynie do Amberu z Erykiem na tronie i Amberu pobitego, to moja decyzja byłaby z pewnością taka sama: atakować! Sprawy nie szły na tyle dobrze, żeby być pewnym. Wprawdzie zwycięstwo działałoby na moją korzyść, to jednak owa korzyść nie byłaby w ostatecznym rozrachunku aż tak istotna. Nie mógłbym tak cię nienawidzić, Eryku, bym Amberu nie kochał bardziej.

Wycofałem się i pobiegłem z boczem w dół, a światło błyskawic rzucało we wszystkie strony mój cień. Zatrzymałem się na skraju naszego obozowiska. Na drugim końcu Ganelon krzychał coś do samotnego jeźdźca. Rozpoznałem konia.

Zbliżyłem się. Na znak jeźdźca koń ruszył z miejsca i wymijając żołnierzy skierował się w moją stronę. Ganelon pokręcił głową i poszedł za nim.

Jeźdźcem była Dara.

- Co ty tu robisz, do diabła! - krzyknąłem, gdy tylko mogła mnie usłyszeć.

Zsiadła i stanęła przede mną z uśmiechem.

- Chciałam się dostać do Amberu - powiedziała. - Więc jestem.

- Jak się tu dostałaś?

- Jechałam za dziadkiem - wyjaśniła. - Odkryłam, że łatwiej jest podążać przez Ciebie za kimś, niż próbować samemu.

- Benedykt jest tutaj?

Kiwnęła głową.

- Tam, w dole. Dowodzi wojskami w dole. Julian też tam jest.

Ganelon stanął obok nas.

- Mówi, że podążała za nami! - krzyknął. - Jedzie za nami od paru dni.

- Czy to prawda? - spytałem.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- To nie było zbyt trudne - stwierdziła.

- Ale dlaczego to zrobiłaś?

- Żeby dostać się do Amberu, oczywiście. Chcę przejść Wzorzec. Przecież tam właśnie zmierzasz, prawda?

- Naturalnie. Ale tak się złożyło, że po drodze jest wojna.

- I co masz zamiar zrobić?

- Wygrać ją, ma się rozumieć.

- Dobrze. Poczekam.

Kląłem przez kilka minut, by zyskać nieco czasu do namysłu.

- Gdzie byłaś, kiedy wrócił Benedykt? - spytałem w końcu.

Uśmiech zniknął.

- Nie wiem - stwierdziła. - Kiedy wyjechałeś, wybrałam się na przejażdżkę. Nie było mnie cały dzień. Chciałam zostać sama, żeby trochę pomyśleć. Kiedy wróciłam wieczorem jego już nie było. Rankiem wyruszyłam znowu. Odjechałam dość daleko i kiedy się ściemniło, postanowiłam zanoćować na dworze. Często to robię. Następnego dnia po południu, kiedy wróciłam do domu, wyjechałam na wzgórze i zobaczyłam w dole, że przejeżdża kierując się na wschód. Postanowiłam ruszyć za nim. Droga wiodła przez Ciebie, teraz to rozumiem. Miałaś rację, łatwiej iść za kimś. Nie wiem, jak długo to trwało: czas całkiem się poplątał. Dojechał aż tutaj. Poznałam to miejsce: było przedstawione na karcie.

Spotkał się z Julianem w tym lesie na północy, a potem obaj wrócili tutaj, do bitwy - skinęła w stronę doliny. - Kilka dni kryłam się w lesie. Nie wiedziałam, co robić. Bałam się zgubić. gdybym próbowała wrócić. Wtedy zobaczyłam twój oddział wspinający się w górę. Dostrzegłam ciebie i Ganelona na czele. Wiedziałam, że Amber leży w tamtej stronie, więc ruszyłam za wami. Nie zbliżałam się aż do teraz, bo chciałam, byś był już zbyt blisko Amberu, żeby odesłać mnie z powrotem.

- Nie wierzę, żeby to była cała prawda - oświadczyłem. - Ale nie mam teraz czasu, by jej dochodzić. Zaraz ruszamy. Będziemy walczyć. Najbezpieczniej dla ciebie będzie, jeśli zostaniesz tutaj. Zostawię ci paru ludzi do ochrony.

- Nie chcę!

- Nie obchodzi mnie, czy chcesz. Zostaną z tobą. Przyślę po ciebie, gdy tylko bitwa się skończy.

Odwróciłem się, wybrałem dwóch pierwszych z brzegu ludzi i kazałem im zostać i pilnować jej. Nie wydawali się zachwyceni tym poleceniem.

- Co to za broń mają twoi żołnierze? - spytała Dara.

- Później - rzuciłem. - Jestem zajęty.

Zrobiłem krótką odprawę i wydałem rozkazy.

- Zdaje się, że masz bardzo niewielu ludzi - zauważyła.

- Wystarczy - odparłem. - Zobaczymy się później.

Zostawiłem ją ze strażnikami.

Wyruszyliśmy tą samą drogą, którą przedtem szedłem sam. Grzmoty ucichły w czasie marszu, a cisza, która nastąpiła, nie przynosiła ulgi, raczej zwiększała napięcie. Znowu ogarnął nas mrok. Pociłem się mocno w wilgotnym powietrzu.

Zatrzymaliśmy się przed pierwszym moim punktem obserwacyjnym. Poszedłem tam tylko z Ganelonem.

Jeźdźcy na wyvernach byli wszędzie, a ich wierzchowce walczyły wraz z nimi. Coraz mocniej przyciskali obrońców do urwiska. Rozglądałem się, ale nie mogłem dostrzec ani Eryka, ani lśnienia jego klejnotu.

- Którzy są nieprzyjaciółmi? - zapytał Ganelon.

- Ci na smokach.

Teraz, kiedy ucichła niebiańska artyleria, lądowali wszyscy i gdy tylko dotknęli stałego gruntu, ruszali do ataku. Patrzyłem uważnie, lecz nie dostrzegłem Gerarda wśród obrońców.

- Przyrowadź naszych - poleciłem unosząc broń. - Powiedz im, żeby strzelali do ludzi i do zwierząt. Ganelon odszedł, a ja wymierzyłem w zniżającego się wyverna. Strzeliłem i obserwowałem, jak spokojny lot zmienia się w szaleńczy wir skrzydeł. Zwierzę uderzyło o zbocze i zaczęło kuśtykać bezradnie. Strzeliłem po raz drugi. Konający potwór wybuchnął płomieniem. W krótkim czasie miałem na koncie trzy takie ogniska. Przeczółgałem się na drugą z moich poprzednich pozycji i bezpieczny wymierzyłem znowu. Trafiłem następnego, lecz tymczasem inne zawracały już w moją stronę. Wystrzelałem resztę amunicji i w pośpiechu zacząłem przeładowywać. One już do mnie leciały. I były szybkie. Udało mi się jakoś je powstrzymać i właśnie lądowałem znowu, kiedy nadciągnęła pierwsza grupa moich ludzi.

Wzmocniliśmy ogień, a kiedy nadeszli pozostali, przeszliśmy do natarcia. W dziesięć minut było po wszystkim. W ciągu pierwszych pięciu minut wrogowie najwyraźniej pojęli, że nie mają szans, i pognali w stronę krawędzi, gdzie rzucali się w przepaść i przechodzili do lotu. Strzelaliśmy do nich cały czas, a płonące ciała i tłące się kości zaścieliły ziemię dookoła.

Po lewej stronie wznosiła się stroma skała; jej szczyt ginał w chmurach i zdawało się, że może ciągnąć się w górę bez końca. Wiatr rozwiewał dym i mgłę, a kamienie były splamione i zbryzgane krwią.

Szliśmy naprzód strzelając, a obrońcy Amberu szybko zrozumieli, że przybywamy z odsieczą, i rozpoczęli natarcie pod urwiskiem. Zobaczyłem, że prowadzi ich mój brat Caine. Nasze spojrzenia spotkały się na moment; potem rzucił się w wir walki.

Napaścicy wycofywali się w pośpiechu, a rozproszone oddziały żołnierzy Amberu tworzyły drugą linię ataku. Ograniczali nam pole ostrzału nacierając z flanki na ludzi - bestie i ich wyverny, ale nie mogłem ich o tym powiadomić. Przybliżyliśmy się i strzelaliśmy celnie.

Niewielka grupka ludzi pozostała pod urwiskiem.

Wyczuwałem, że pilnują Eryka, zapewne rannego, skoro burza nagle minęła. Wolno torowałem sobie drogę w tamtym kierunku.

Strzelanina zaczynała już cichnąć, kiedy zbliżyłem się do tych ludzi. Zbyt późno pojąłem, co się zdarzyło.

Coś dużego pędziło z tyłu i w jednej chwili było przy mnie. Padłem na ziemię i przetoczyłem się w bok, automatycznie unosząc karabin do strzału. Mój palec jednak nie przycisnął spustu - to była Dara. Przemknęła obok mnie. Obejrzała się i roześmiała, kiedy wrzasnąłem:

- Wracaj i złaż natychmiast! Niech cię diabli! Zabiją cię!

- Zobaczymy się w Amberze! - krzyknęła, przejeżdżając po zalanych krwią skałach, i po chwili było już na drodze.

Byłem wściekły, ale nie mogłem zrobić. Klnąc ze złości wstałem i poszedłem dalej.

Gdy byłem blisko, usłyszałem kilka razy powtórzone swoje imię. Ludzie odwracali się w moją stronę i cofali, by zrobić mi przejście. Wielu z nich rozpoznałem, ale nie zatrzymałem się.

Dostrzegłem Gerarda chyba w tej samej chwili, w której on mnie zobaczył. Klęczał, ale podniósł się i czekał. Jego twarz nie wyrażała niczego.

Podszedłem bliżej i przekonałem się, że miałem rację. Klęczał przy rannym: to był Eryk.

Stałem obok Gerarda i skinąłem mu głową. Patrzyłem w dół, na Eryka. Trudno powiedzieć, co wtedy czułem. Krew płynęła z kilku ran na jego piersi; była bardzo jasna i było jej dużo. Całkiem pokryła zwisający wciąż na łańcuchu z jego szyi Klejnot Wszechmocy.

Nadal pulsował słabym, niesamowitym blaskiem, w rytmie uderzeń serca. Oczy Eryka były zamknięte, głowa spoczywała na zrolowanym płaszczu. Oddychał z trudem.

Ukląłem, niezdolny oderwać oczu od jego poszarzałej twarzy. Umierał. Starłem się uciszyć moją nienawiść, by mieć szansę zrozumienia tego człowieka, który przez kilka pozostałych mu jeszcze chwil był moim bratem.

Potrafiłem wzbudzić w sobie coś w rodzaju sympatii myśląc o wszystkim, co tracił wraz z życiem, i zastanawiając się, czy to ja bym tu leżał, gdybym zwyciężył pięć lat wcześniej. Starłem się wymyślić coś, co przemawiałoby za nim, ale jedyne, co przychodziło mi do głowy, to kilka słów brzmiących jak epitafium:

"Zginął walcząc o Amber!". To już było coś. To zdanie stałe brzmiało mi w uszach.

Jego powieki zadrżały i rozchyliły się. Twarz wciąż była bez wyrazu. Kiedy popatrzył na mnie. Zastanawiałem się, czy w ogóle mnie rozpoznał. Wymówił jednak moje imię.

- Wiedziałem, że to ty - przerwał i odetchnął kilka razy. - Zaoszczędzili ci kłopotu, co?

Milczałem. Sam znał odpowiedź.

- Pewnego dnia nadejdzie twoja kolej - mówił dalej. - Wtedy będziemy równi.

Zachichotał, zbyt późno zdając sobie sprawę, że nie powinien tego robić. Przez chwilę kasłał spazmatycznie. Potem spojrzał na mnie.

- Czułem twoją klątwę - powiedział. - Wszędzie. Cały czas. Nic musiałeś umierać, żeby zadziałała. Uśmiechnął się słabo, jakby czytał z moich myśli.

- Nie - oświadczył. - Nie mam zamiaru rzucać mej śmiertelnej klątwy na ciebie. Rezerwuję ją dla wrogów Amberu, tam - wskazał ruchem oczu.

A potem wypowiedział ją szeptem, a ja zadrżałem.

Przez chwilę wpatrywał się w moją twarz. Potem pociągnął za łańcuch wiszący mu na szyi.

- Klejnot... - powiedział. - Zabierz go do centrum Wzorca. Podnieś. Bardzo blisko do oka. Spójrz w niego. Pomyśl, że to miejsce. Spróbuj przerzucić się... do wnętrza. Nic uda ci się. Ale jest w tym... przeżycie... Potem będziesz wiedział, jak go używać...

- Jak...? - zacząłem i urwałem. Powiedział mi już, jak dostroić się do Klejnotu. Po co ma marnować oddech na wyjaśnianie, w jaki sposób do tego doszedł?

Usłyszał jednak.

- Notatki Dworkina... - zdołał wymówić. W kominku... moim...

Chwycił go kolejny atak kaszlu i krew popłynęła z nosa i ust. Wciągnął do płuc powietrze i usiadł z wysiłkiem, dziko tocząc wzrokiem.

- Obyś spisał się tak dobrze jak ja... bękarcie! - powiedział, po czym upadł mi w ramiona i wydał z siebie ostatnie, krwawe tchnienie.

Trzymałem go przez chwilę, zanim położyłem z powrotem na ziemi. Oczy miał wciąż otwarte, więc wyciągnąłem rękę i zamknąłem je. Niemal odruchowo złożyłem mu ręce na martwym teraz

kryształe. Nie potrafiłem go zabrać. Wstałem, zdjąłem płaszczyz i przykryłem ciało Eryka. Obejrzałem się. Wszyscy patrzyli na mnie. Tak wiele znajomych twarzy. Kilku obcych.

Tak wielu z nich było tam owej nocy, kiedy w łańcuchach przybyłem na ucztę...

Nie, to nie był odpowiedni czas na takie myśli.

Uciszyłem je. Strzelanina ucichła; Ganelon zbierał ludzi i ustawiał ich w luźny szyk.

Ruszyłem z miejsca. Poszedłem między ludźmi Amberu. - Przeszedłem między poległymi. Miąłem własnych żołnierzy i zbliżyłem się do skraju przepaści. Poda mną w dolinie trwała walka. Kawaleria pędziła jak wzburzona fala, uderzała, wirowała, cofała się; rola się piechota.

Wyjąłem karty Benedykta i znalazłem jego Atut.

Zamigotałmi przed oczami i po chwili miałem już kontakt.

Dosiadał tego samego rudo - czarnego konia, na którym mnie ścigał. Jechał naprzód, a wokół niego wrzała bitwa.

Milczałem widząc, że stał się z innym jeźdźcem. On wymówił tylko jedno słowo.

- Czekaj - powiedział.

Dwoma szybkimi cięciami rozprawił się z przeciwnikiem, potem zawrócił konia i zaczął wycofywać się z bitwy. Zauważyłem, że cugle jego konia były przedłużone i luźną pętlą obwiązane wokół tego, co pozostało z jego prawej ręki. Minęło prawie dziesięć minut, nim znalazł stosunkowo spokojne miejsce. Wtedy spojrzał na mnie. Widziałem, że obserwuje obraz za moimi plecami.

- Tak, jestem na górze - potwierdziłem. - Zwyciężyliśmy. Eryk zginął w walce.

Nadał mi się przyglądał czekając, co jeszcze powiem. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Wygraliśmy, gdyż przyprowadziłem ludzi z karabinami - oświadczyłem. - Znalazłem w końcu materiał wybuchowy, który może tu funkcjonować.

Jego oczy zwęziły się. Kiwnął głową. Wiedziałem, że zrozumiał od razu, co to jest i skąd to wziąłem.

- Jest wiele spraw, które chciałbym z tobą omówić - ciągnąłem. - Najpierw jednak muszę zająć się nieprzyjacielem. Jeżeli utrzymasz kontakt, pošlę ci paruset strzelców.

Uśmiechnął się.

- Spiesz się - powiedział.

Krzyknąłem na Ganelona - stał kilka kroków za mną. Kazałem mu uformować ludzi w pojedynczą kolumnę. Kiwnął głową i wykrzykując rozkaz wziął się do dzieła.

Czekałem.

- Benedykcie - powiedziałem. - Dara jest tutaj. Udało się jej podążać za tobą przez Ciebie, kiedy jechałeś tu z Avalonu. Chciałbym...

Wyszczerzył zęby.

- Kim, do diabła, jest ta Dara, o której stale wspominasz?! - krzyknął. - Nie słyszałem o niej, dopóki się nie pojawiła. Powiedz, proszę! Naprawdę chętnie się dowiem!

- To na nic - pokręciłem głową i uśmiechnąłem się słabo. - Wiem o niej. Ale nikomu nie powiedziałem, że masz prawnuczkę.

Mimowolnie otworzył usta i wytrzeszczył oczy.

- Corwinie - rzekł. - Jesteś szalony albo zostałeś oszukany. Nie wiem nic o żadnym moim potomstwie. A co do jazdy za mną przez Ciebie, to przybyłem tu przez Atut Juliana.

A więc to tak! Zaabsorbowanie bitwą było jedynym usprawiedliwieniem faktu, że jej od razu nie przyłapałem. Benedykt został powiadomiony o ataku przez Atut. Po cóż miałby tracić czas na podróż, jeżeli miał pod ręką błyskawiczny środek transportu?

- Diabli! - mruknąłem. - Teraz już jest w Amberze. Słuchaj, Benedykcie! Złapię Caine'a albo

Gerarda, żeby zajęli się przetruceniem ludzi. Ganelon też pójdzie. Rozkazy wydawaj przez niego.

Rozejrzałem się i dostrzegłem Gerarda rozmawiającego z kilkoma ze szlachty. Zawołałem do niego rozpaczliwie. Obejrzał się natychmiast i biegiem ruszył w moją stronę.

- Corwinie! Co się dzieje? - krzyknął Benedykt.

- Nie wiem! Ale coś bardzo niedobrego.

Wcisnąłem Gerardowi Atut do ręki, kiedy tylko się zbliżył.

- Dopilnuj, żeby moi ludzie dotarli do Benedykta! - powiedziałem. - Czy Random jest w pałacu?

- Tak.

- Wolny czy w zamknięciu?

- Wolny, mniej więcej. Będzie z nim paru strażników. Eryk ciągle mu nie ufa... to znaczy nie ufał.

Obejrzałem się.

- Ganelon! - zawołałem. - Rób, co Gerard ci powie. Poślę cię na dół - skinąłem głową. -

Przypilnuj, żeby ludzie wykonywali rozkazy Benedykta. Ja muszę się teraz dostać do Amberu.

- Dobrze! - odkrzyknął.

Gerard ruszył ku niemu, a ja, jeszcze raz wyjąłem Atuty.

Znalazłem Randoma i skoncentrowałem się. W tej samej chwili zaczął padać deszcz. Kontakt nastąpił niemal natychmiast.

- Cześć, Random - powiedziałem, gdy tylko jego obraz nabrał życia. - Pamiętasz mnie?

- Gdzie jesteś? - zapytał.

- W górach - wyjaśniłem. - Wygraliśmy właśnie tę część bitwy i posyłam Benedyktowi pomoc, żeby mógł oczyścić dolinę. Teraz jednak potrzebuję twojej pomocy. Przeciągnij mnie do siebie.

- Nie wiem, Corwinie, Eryk...

- Eryk nie żyje.

- Więc kto jest teraz szefem?

- A jak myślisz! Przeciągnij mnie!

Skinąłem głową i wyciągnąłem rękę. Klepnąłem w nią. Postąpiłem krok naprzód. Stałem obok niego na balkonie wiszącym nad którymś z dziedzińców. Poręcz była z białego marmuru, a w dole nie kwitło zbyt wiele.

Byliśmy dwa piętra nad ziemią. Zatoczyłem się, a on chwycił mnie za ramię.

- Jesteś ranny! - zawołał.

Potrząsałem głową. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony. Niewiele spałem w ciągu kilku ostatnich nocy. A jeszcze cała reszta...

- Nie - powiedziałem spoglądając na pokrwawione strzępy, które były kiedyś moją koszulą. - Po prostu zmęczony. To krew Eryka.

Przecesał palcami swe słomiane włosy i zacisnął wargi.

- Dostałeś go w końcu... - powiedział cicho.

- Nie. Umierał już, kiedy się do niego dorwałem. Chodź teraz ze mną! Szybko! To ważne!

- Ale gdzie? O co chodzi?

- Do Wzorca - wyjaśniłem. - Dlaczego? Nie jestem pewien, ale wiem, że to ważne. Chodź!

Weszliśmy do wnętrza i ruszyliśmy w stronę najbliższych schodów. Tkwiło tam dwóch strażników, ale na nasz widok stanęli na baczność i nie próbowali przeszkadzać.

- Cieszę się, że to prawda z twoimi oczami! - mówił Random, kiedy zbiegliśmy w dół. - Czy wzrok masz już zupełnie dobry?

- Tak. Słyszałem, że nadal jesteś zonaty.

- Tak. Jestem.

Znaleźliśmy się na parterze i skręciliśmy w prawo. U dołu schodów była jeszcze jedna para strażników, ale i ci nie próbowali nas zatrzymać.

- Tak - powtórzył gdy bieглиśmy w stronę środkowej części pałacu. Jesteś zaskoczony, prawda?
- Owszem. Sądziłem, że zechcesz przetrzymać jakoś ten rok i skończyć całą sprawę.
- Ja też tak myślałem - przyznał. - Ale pokochałem ją. Naprawdę.
- Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Minęliśmy marmurową salę bankietową i znaleźliśmy się w długim wąskim korytarzu, prowadzącym przez mrok i kurz daleko na tyły.

- Jej naprawdę na mnie zależy - dodał. - Jak nigdy nikomu przedtem.
- Bardzo się cieszę.

Dotarliśmy do drzwi. Otwierały się na platformę, z której biegły w dół długie spiralne schody. Drzwi nie były zamknięte. Minęliśmy je i zaczęliśmy zejście. - A ja nie - oświadczył, gdy przebiegaliśmy kółko za kółkiem. - Nie chciałem się zakochać. Nie wtedy. Wiesz, cały czas byliśmy więźniami. Jak mogła być ze mnie dumna?

- Teraz już się skończyło - zapewniłem. - Stałeś się więźniem, bo poszedłeś za mną i próbowałeś zabić Eryka, prawda?

- Tak. Ona dołączyła do mnie już tutaj.
- Nie zapomnę ci tego.

Biegliśmy. Do końca schodów było bardzo daleko, a latarnie paliły się tylko co jakieś dziesięć metrów.

Byliśmy w olbrzymiej naturalnej grocie. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek wiedział, ile przylegało do niej tuneli i korytarzy. Ogarnęła mnie nagle litość dla wszystkich tych nieszczęsnych wyrzutków gnijących w lochach, nieważne, z jakich powodów. Postanowiłem uwolnić ich albo wymyślić dla nich coś lepszego.

Mijały minuty. Widziałem już w dole migotanie lamp i pochodni.

- Jest tam dziewczyna - zacząłem. - Ma na imię Dara. Mówiła, że jest prawnuczką Benedykta, i dałem się przekonać. Opowiedziałem jej trochę o Cieniu, rzeczywistości i Wzorcu. Ma pewną władzę nad Cieniem i bardzo jej zależało, żeby przejść Wzorzec. Zmierzała tutaj, kiedy ostatni raz ją widziałem. A teraz Benedykt przysięga, że nic o niej nie wie. Przestraszyłem się nagle. Nie chcę dopuścić jej do Wzorca. Muszę jej zadać kilka pytań.

- Dziwne - przyznał. - Nawet bardzo. Masz rację. Czy sądzisz, że ona już tam jest?
- Jeśli nawet nie, to mam przecucie, że niedługo będzie.

W końcu stanęliśmy na ziemi. Wystartowałem do biegu przez ciemność w stronę właściwego tunelu.

- Czeka! - krzyknął Raudom.

Zatrzymałem się i obejrzałem. Minęła chwila, zanim go zauważyłem. Był za schodami. Zawróciłem. Nie zdążyłem wypowiedzieć cisnącego mi się na usta pytania. Random klęczał przy potężnym brodatym mężczyźnie.

- Nie żyje - poinformował. - Bardzo wąskie ostrze. Czyste pchnięcie. Przed chwilą.
- Chodźmy!

Ruszyliśmy biegiem do tunelu, potem dalej. Siódme odgałęzienie było tym właściwym. Zbliżywszy się chwyciłem Grayswandira, gdyż wielkie okute żelazem odrzwia stały otworem.

Skoczyłem do środka. Random był tuż za mną.

Podłoga tej olbrzymiej sali jest czarna i wydaje się gładka jak szkło, choć nie jest śliska. Płonie na niej Wzorzec, skomplikowany labirynt krzywych linii, długi może na pięćdziesiąt metrów.

Zatrzymaliśmy się na jego skraju i patrzyliśmy.

Coś tam było wewnątrz, i szło naprzód. Poczułem znajomy chłód i mrowienie, jakie zawsze odczuwam, kiedy na to patrzę. Czy była to Dara? Trudno było dostrzec sylwetkę pośród gejzerów iskier tryskających wokół niej. Ktokolwiek to był, musiał być królewskiej krwi, gdyż powszechnie wiadomo, że Worzec zniszczyłby kogoś innego. Tymczasem ten ktoś przekroczył już Wielką Krzywą i zmagał się właśnie ze skomplikowaną serią łuków prowadzących do Końcowej Zasłony.

Świetlista sylwetka zdawała się zmieniać swój kształt w czasie marszu. Moje zmysły przez chwilę odrzucały momentalne, podświadome obrazy, które miały przecieżyć do mnie docierać. Usłyszałem, jak obok sapnął Random, i to chyba przełamało tamę mej świadomości. Masa wrażeń zalała mój umysł.

Postać zdawała się wznosić pod strop tej zawsze trochę nierzeczywistej komory. Potem zmaląła, prawie znikła. Przez chwilę zdawała się szczupłą kobietą - być może Darą, o włosach rozjaśnionych blaskiem, miękkich, trzaskających iskrami wyładowań. A potem to już nie były włosy, lecz wielkie zakrzywione rogi, wyrastające z szerokiego, ledwo widocznego czoła. Ich krzywonogi posiadacz z trudem przesuwiał kopyta po lśniącej ścieżce. Jeszcze coś innego... Olbrzymi kot... Kobieta bez twarzy... Jasnoskrzydła, nieopisanie piękna istota... Wieża popiołów...

- Dara! - krzyknąłem. - Czy to ty?

Echo powtórzyło mój krzyk, i to była jedyna odpowiedź. Kimkolwiek lub czymkolwiek to było, teraz zmagало się z Końcową Zasłoną. Mimowolnie napiąłem mięśnie, jakbym chciał pomóc w tym wysiłku.

W końcu przebiło się.

Tak, to była Dara! Wysoka teraz i wyniosła, piękna i jednocześnie jakby straszna. Jej obraz rozdzierał osnowę mego umysłu. Tryumfalnie uniosła w górę ramiona i z jej ust wydobył się nieludzki śmiech. Chciałem odwrócić wzrok, lecz nie mogłem. Czyżbym naprawdę trzymał w ramionach, pieścił, kochał... to? Czuję odrazę, a równocześnie pociągała mnie jak nigdy przedtem. Nie mogłem pojąć tego rozdwojenia uczuć.

Spojrzała na mnie. śmiech ucichł. Usłyszałem jej zmieniony głos.

- Lordzie Corwinie, czy jesteś teraz władcą Amberu?

Znalazłem gdzieś dość sił, by odpowiedzieć.

- Praktycznie rzecz biorąc, tak.

- Dobrze! Ujrzyj zatem swą zgubę!

- Kim jesteś? Czym jesteś?

- Nigdy się nie dowiesz - odrzekła. - Teraz jest już za późno.

- Nie rozumiem. Co masz na myśli?

- Amber - powiedziała - będzie zniszczony.

I znikła.

- Co to było, do diabła? - odezwał się wtedy Random.

Pokręciłem głową.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. A czuję, że jest najważniejszą sprawą na świecie, żebyśmy się dowiedzieli.

- Corwinie - ścisnął mnie za rękę. - Ona..., to coś... mówiło poważnie. A sam wiesz, że mogłoby to być możliwe.

Kiwnąłem głową.

- Wiem.

- I co masz zamiar zrobić?

Wsunąłem Grayswandira do pochwy i zawróciłem do drzwi.

- Pozbierać to, co zostało - odparłem. - Rzecz, o której zawsze myślałem, że jej najbardziej pragnę, jest teraz w zasięgu ręki. Muszę ją zabezpieczyć. I nie mogę czekać na to, co nadejdzie. Muszę to odszukać i powstrzymać, zanim jeszcze dosięgnie Amberu.

- A wiesz, gdzie trzeba szukać? - zapytał.

Skręciliśmy do tunelu.

- Sądzę, że leży na drugim końcu czarnej drogi - odparłem.

Dotarliśmy przez grotę do schodów, gdzie leżał martwy mężczyzna, a potem szliśmy w koło, w koło ponad nim, w ciemność.